

BIULETYN IPN

nr 4 (25)/2014

pamięć pl

Akcja „Wisła”

1989: dookoła ordynacji

Oklamany mściciel Katynia

Grabski przeciw milionom

Cena 6 zł (5% VAT)

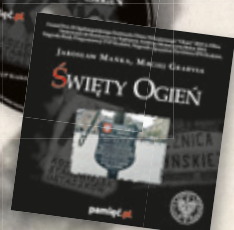
ISSN 2084-7319



9 772084 731002 23

numer indeksu 284521
nakład 10 500 egz.

**Dodatek specjalny:
płyta z filmem *Święty ogień***





- 3** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

- 8** Krzysztof Gottesman, **Przegrana Solidarność**

STOP-KLATKA

- 10** Paweł Zielony, **Miejsca uświęcone krwią**

Z ARCHIWUM IPN

- 14** Filip Gańczak, Grzegorz Majchrzak, **Bratnia współpraca**

WYWIAD

- 16** Kawaleczek ziemi – rozmowa z Krystyną Budnicką, ocalałą z warszawskiego getta

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 21** Wojciech Morawski, Władysław Grabski – sam przeciw milionom
- 25** Maciej Żuczkowski, Okłamany mściciel Katynia
- 29** Krzysztof Łągojda, Tropem listy białoruskiej
- 33** Marek Hańderek, Lista koreańska
- 36** Piotr Łapiński, „Burza” na Białostocczyźnie
- 40** Tomasz Osiński, Satyrą w ziemian
- 44** Jan Pisuliński, Ukraińska rana
- 49** Paulina Codogni, Dookoła ordynacji
- 54** Jan Oleński, Kartki na kartki



Fot. Leonard Sempoliński / AIPN



Fot. MPW



Fot. K. Stanczewski



Fot. KWAFU



Fot. ze zbiorów WCEO



Fot. „Szpilki” 1946, nr 24



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...

- 56** Tęsknota za Polską zwycięską – relacja ks. Zdzisława Peszkowskiego

ORZEŁ BIAŁY

- 61** Tomasz Zawistowski, **Orły na policyjnych hełmach wz. 25**

Z BRONIĄ W RĘKĘ

- 65** Michał Mackiewicz, **„SU-czki” ze wschodu**

EDUKACJA HISTORYCZNA

- 68** Grzegorz Wołk, **Święty ogień, święty człowiek**
- 69** Karol Wisłocki, **Zbrodnia Katyńska w filmie**
- 70** Krzysztof Gottesman, **Bard, który nie chciał być bardem. Jacek Kaczmarski (1957–2004)**

71 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

13 kwietnia 1943 roku władze III Rzeszy na falach berlińskiego radia podały do publicznej wiadomości informację o odkryciu masowych grobów w lesie katyńskim. Potwierdziły się najgorsze przypuszczenia dotyczące losu tysięcy polskich oficerów wziętych do radzieckiej niewoli we wrześniu 1939 roku. Niemcy, ze złe udawanym współczuciem, skwapliwie wykorzystały propagandowo tragedię przeciwko swemu byłemu sojusznikowi, Związkowi Radzieckiemu. Na reakcję nie trzeba było długo czekać i kilka dni później moskiewskie radio i dziennik – *nomen omen* – „Prawda” oskarżyły Niemców o popełnienie tej zbrodni. Tak narodziło się kłamstwo katyńskie. Można zatem powiedzieć, że sowiecka „Prawda” jest matką kłamstwa. Choć już w PRL kwiecień był miesiącem pamięci narodowej, to upamiętniano wówczas zupeł-

nie inne wydarzenia. O Katyńiu można było głośno powiedzieć dopiero w wolnej Polsce. W 2007 roku polski parlament ustanowił 13 kwietnia Dniem Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej. W 70. rocznicę zbrodni Polską wstrząsnęła kolejna tragedia, związana z wydarzeniami z 1940 roku: w Smoleńsku rozbił się rządowy samolot z prezydentem RP Lechem Kaczyńskim i innymi przedstawicielami Rzeczypospolitej, lecącymi na uroczystości upamiętniające katyńskie ludobójstwo. Wśród ofiar katastrofy znalazło się wiele osób, które w okresie PRL walczyły o ujawnienie prawdy o Katyńiu, a w wolnej Polsce – angażowały się w jej upowszechnienie. Należał

do nich prezes IPN Janusz Kurtyka. Kontynuacja ich pracy jest dla nas szczególnie ważnym zadaniem.


W kwietniowym numerze nie mogło zabraknąć tekstów o Zbrodni Katyńskiej. Maciej Żuczkowski opisuje przypadek ofiary kłamstwa katyńskiego: radziecki żołnierz, Anatol Łarin, służył w jednostce noszącej ponoć nazwę „Mściciel Katyńia”, wchodzącej w skład... armii Berlinga. Z kolei Krzysztof Łagajda odtwarza losy aresztowanego przez NKWD w 1939 roku polskiego policjanta, którego ślad urywa się w Mińsku. W kwietniu pamiętamy także o losach polskich Żydów, którzy zginęli w czasie Zagłady. O codziennym życiu w warszawskim getcie, sposobach i ludziach, dzięki którym udało się przetrwać dwa powstania, opowiada ocalała z warszawskiego getta Krystyna Budnicka w rozmowie z Damianem Kwiekim. Po II wojnie światowej decyzją mocarstw przesunęły się granice Polski. Zmiany terytorialne pociągnęły za sobą migracje ludności – dobrowolne i przymusowe. Dla instalujących się właśnie w Polsce władz komunistycznych kłopotem było nie tylko polskie podziemie niepodległościowe, lecz także ukraińskie. Polityka odpowiedzialności zbiorowej to nieodłączny element działań reżimów totalitarnych – zastosowanie jej wobec Ukraińców miało rozwiązać problemy natury politycznej, etnicznej i politycznej. O przebiegu akcji „Wisła” i jej społecznych kosztach pisze Jan Pisuliński.

Ponadto w numerze kontynuujemy cykl tekstów o akcji „Burza” – tym razem Piotr Łapiński opisuje przebieg operacji na Białostocczyźnie. Rozpoczynamy także nowy cykl artykułów poświęcony 25. rocznicy Okrągłego Stołu, wyborów czerwcowych i transformacji ustrojowej. Otwiera go tekst Pauliny Codogni na temat niełatwych negocjacji dotyczących ordynacji wyborczej w pierwszych w PRL częściowo wolnych wyborach do sejmu i senatu.

Do numeru dołączyliśmy płytę DVD z filmem Jarosława Mańki i Macieja Grabysy *Święty agień*, opisującym historię człowieka, który zdobył się na najwyższe poświęcenie, by zaprotestować przeciwko ukrywaniu prawdy o Zbrodni Katyńskiej.

Redaktor naczelny

Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:

Institut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:

dr hab. Robert Klementowski,
dr hab. Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarek,
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: dr Dawid Golik,
Krzysztof Gottesman, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek,
Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:

Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11

Korekta: Magdalena Pabich

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.

ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

LEGENDY OKRĄGŁEGO STOŁU

Rozmowy przedstawicieli władz i opozycji w Magdalence i przy Okrągłym Stole przygotowały grunt pod transformację ustrojową w Polsce. Czy było to „porozumienie elit”, czy warunek niezbędny i pierwszy krok ku demokracji? O czarnej i białej legendzie Okrągłego Stołu opowiada prof. Andrzej Paczkowski.

4 VII 89

■ Działalność Instytutu Pamięci Narodowej pozytywnie ocenia połowa Polaków (49 proc.). Co siódmy (14 proc.) odnosi się do niej negatywnie, a reszta nie ma na ten temat zdania – wynika z marcowego reprezentatywnego **sondażu** Centrum Badania Opinii Społecznej.

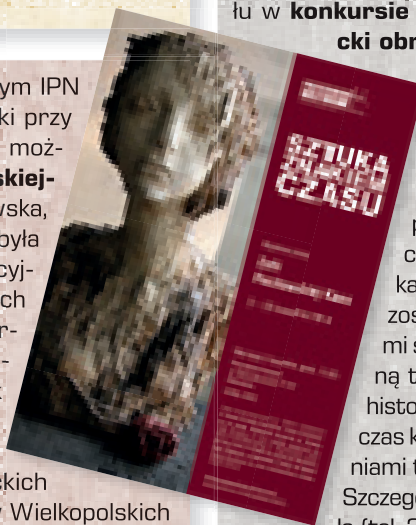
Odsetek respondentów, którzy o pracy **IPN** wyrażają się z uznaniem, wzrósł w ciągu ostatniego półrocza o 4 pkt proc. Spośród instytucji, o które pytał CBOS, lepiej oceniane są dziś tylko policja (67 proc.), wojsko (66 proc.), Kościół katolicki (62 proc.) oraz najwięksi nadawcy telewizyjni i radiowi.



Znamy już laureatów **konkursu im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny Roku**. W kategorii prac doktorskich dwie równorzędne II nagrody po 12,5 tys. zł otrzymali Magdalena Heruday-Kielczewska za pracę *Solidarność nad Sekwaną: działalność Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Paryżu 1981–1989* oraz Bartłomiej

Różycki za pracę *Polska Ludowa wobec Hiszpanii frankistowskiej i hiszpańskiej transformacji ustrojowej 1945–1977*. W kategorii prac magisterskich I nagrodę w wysokości 10 tys. zł odebrała Kinga Żelazko za pracę *Metody kamuflażu zbrodni nazistowskich na ludności żydowskiej*, a równorzędne II nagrody po 5 tys. zł otrzymali Adam Zabłocki za pracę *Urząd Bezpieczeństwa w Suwałkach 1944–1956. Powstanie i działalność* oraz Paweł Wrona za pracę *Armia Komendanta. Związek Strzelecki na Lubelszczyźnie w Drugiej Rzeczypospolitej*. Nagrody przyznała powołana przez prezesa IPN oraz dyrektora Instytutu Historii PAN komisja w składzie: prof. dr hab. Andrzej Paczkowski (przewodniczący), prof. dr hab. Andrzej Chojnowski, prof. dr hab. Tomasz Szarota, dr hab. Marek Kornat, prof. dr hab. Antoni Dudek, dr Władysław Bulhak (sekretarz).

■ Do 28 kwietnia w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki przy ul. Marszałkowskiej 21/25 w **Warszawie** można oglądać **wystawę prac Zofii Pociłowskiej-Kann „Sztuka znakiem czasu”**. Pociłowska, rocznik 1920, w czasie II wojny światowej była więziona w niemieckim obozie koncentracyjnym Ravensbrück, gdzie – pomimo nieludzkich warunków – podjęła pierwsze próby rzeźbiarskie i pisała wiersze. W latach pięćdziesiątych ukończyła stoletnią Akademię Sztuk Pięknych. Zaprojektowała później liczne pomniki, m.in. ku czci ofiar Pawiaka w Warszawie, osób pomordowanych w niemieckich egzekucjach w Magdalence i Powstańców Wielkopolskich w Inowrocławiu. Na wystawie prezentowane są m.in. miniatury rzeźby obozowe, portrety i wiersze jej autorstwa. Ekspozycję wzbogacają prace jej córki i wnuczek: Aleksandry Kann-Bogomilskiej, Weroniki Kann i Natalii Kann.



■ 14 kwietnia w sali parafii Wszystkich Świętych w **Sieradzu** przy ul. Kolegiackiej 11 zostanie otwarta **wystawa „Zbrodnia Katyńska”**, przygotowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Łodzi. Jest to poszerzona wersja ekspozycji powstałej cztery lata temu. Ważne miejsce zajmują wątki poprzednio nieuwzględnione lub tylko zasygnalizowane: okoliczności odkrycia zbrodni, geneza kłamstwa katyńskiego i droga do prawdy. Wystawa prezentuje sylwetki nie tylko ofiar, lecz także świadków i sprawców. Można ją oglądać w Sieradzu do 24 kwietnia, a od 28 kwietnia w siedzibie Oddziału IPN w **Łodzi** przy ul. Orzeszkowej 31/35.



Fot. M. Foks

► Brama byłego obozu Buchenwald z napisem „Jedem das Seine”

■ Instytut Pamięci Narodowej zaprasza studentów i pełnoletnich uczniów szkół ponadgimnazjalnych do udziału w **konkursie „Nie liczby widzę, a twarze... Literacki obraz zbrodni totalitaryzmów”**. Zadaniem

uczestników jest napisanie tekstu prozatorskiego ukazującego losy jednostki w systemie totalitarnym. Historia przedstawiona w pracy może być autentyczna lub być fikcją literacką stworzoną na podstawie wydarzeń historycznych. Prace należy nadsyłać **do 19 maja** na adres katarzyna.cegiela@ipn.gov.pl. Wyniki konkursu zostaną opublikowane do 4 czerwca. Nagrodami są publikacje książkowe IPN. Laureaci zostaną też zaproszeni do udziału we wrześniowym historycznym konwersatorium objazdowym, podczas którego odwiedzą miejsca związane ze zbrodniami totalitaryzmu na terenie Niemiec.

Szczegółowych informacji udziela Katarzyna Cegiela (tel. 22 431 83 44, katarzyna.cegiela@ipn.gov.pl). Regulamin konkursu i metrykę pracy można pobrać na stronie www.pamiec.pl w zakładce Edukacja/Konkursy.

POSTAĆ MIESIĄCA

8 kwietnia 1979: Edward Raczyński objął urząd Prezydenta RP na uchodźstwie.

Pochodził ze znanego rodu wielkopolskich arystokratów. Studiował w Lipsku, Londynie i Krakowie, uzyskując doktorat z prawa. Od 1919 roku służył w dyplomacji, m.in. jako stały delegat przy Lidze Narodów. W latach 1934–1945 był ambasadorem RP w Londynie, a od 1941 do 1943 roku dodatkowo kierował Ministerstwem Spraw Zagranicznych. To on w sierpniu 1939 roku podpisał polsko-brytyjski układ sojuszniczy. W grudniu 1942 roku przedstawił społeczności międzynarodowej raport o zagładzie Żydów – pierwszy oficjalny dokument na ten temat, znany też jako nota Raczyńskiego. Wiosną 1943 roku, gdy Niemcy ogłosili odkrycie w lesie katyńskim grobów pomordowanych polskich oficerów, opowiadał się za zbadaniem tej zbrodni przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Rok później bezskutecznie zabiegał o brytyjską pomoc dla Powstania Warszawskiego. Po II wojnie światowej był zaangażowanym działaczem emigracyjnym.



► Edward Raczyński (1891–1993), prezydent RP na uchodźstwie

Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

W latach 1954–1972 zasiadał w Radzie Trzech, opozycyjnej wobec prezydenta Augusta Zaleskiego. Urząd Prezydenta RP na uchodźstwie objął w trudnym momencie. „Resztki państwa na Obczyźnie nie liczyły się zupełnie na arenie międzynarodowej, a ich autorytet wśród emigracji [...] nie wystarczał” – ocenia w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Prezydent Raczyński należał do współzałożycieli Funduszu Pomocy Krajowi, wspierającego opozycję demokratyczną w Polsce. Po 13 grudnia 1981 roku potępił wprowadzenie w PRL stanu wojennego, wzywając jednocześnie Zachód do wzmożenia pomocy humanitarnej dla Polaków. Ustąpił z urzędu w 1986 roku, po upływie siedmioletniej kadencji. W 1991 roku założył Fundację im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu, której przekazał pałac w wielkopolskim Rogalinie i zbiórmalarstwa, zwany Galerią Rogalińską. Edward Raczyński był kawalerem Orderu Orła Białego oraz m.in. Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

4 kwietnia 1949: W więzieniu we Wronkach zmarł Wacław Lipiński, historyk, podpułkownik Wojska Polskiego.

Z ruchem niepodległościowym związał się już jako uczeń gimnazjum. W czasie I wojny światowej walczył w I Brygadzie Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Wziął też udział w obronie Lwowa przed Ukraińcami i w wojnie z bolszewikami. W odrodzonej Rzeczypospolitej stał się jednym z prekursorów badań nad najnowszą historią Polski. We wrześniu 1939 roku pełnił funkcję szefa propagandy Dowództwa Obrony Warszawy. Regularnie przemawiał w radiu, podtrzymując na duchu mieszkańców stolicy i żołnierzy. W trakcie niemieckiej okupacji przebywał czasowo na Węgrzech, a po powrocie do kraju działał w konspiracji piłsudczykowskiej. W lutym 1944 roku został aresztowany przez gestapo, ale po trzech miesiącach wyszedł na wolność. Po wojnie nie pogodził się z sowietyzacją Polski. Utworzył Stronictwo Niezawisłości Narodowej i doprowadził do powołania Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej. Wydawał konspiracyjny „Głos Opozycji”. Był też współautorem Memoriału do Rady Bezpieczeństwa ONZ, opisującego realia polityczne Polski zdominowanej przez komunistów. 7 stycznia 1947 roku został aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Rejonowy Sąd Wojskowy w Warszawie skazał go na karę śmierci, zamienioną później na dożywocie. Zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, „najprawdopodobniej zamordowany na polecenie władz komunistycznych” – jak pisze jego biograf dr Marek Gałęzowski.

W 2010 roku Wacław Lipiński został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta RP Bronisława Komorowskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.



► Wacław Lipiński (1896–1949)

Fot. AIPN

13 kwietnia 1984: Maciej Frankiewicz, lider wielkopolskiej Solidarności Walczącej, został aresztowany przez Służbę Bezpieczeństwa.

Gdy w 1980 roku powstał NSZZ „Solidarność”, Frankiewicz aktywnie włączył się w nurt zachodzących w Polsce przemian. Na Politechnice Poznańskiej tworzył wraz z kolegami Niezależne Zrzeszenie Studentów. Był też współzałożycielem poznańskich struktur Konfederacji Polski Niepodległej. Po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego ukrywał się, drukując i kolportując ulotki. Po kilku tygodniach został internowany i osadzony w Ośrodku Odosobnienia w Gębarzewie. Podjął tam głodówkę i został przewieziony do szpitala w Gnieźnie, skąd uciekł 2 marca 1982 roku. W kolejnych miesiącach i latach znów działał w podziemiu, był zatrzymywany i uciekał – najpierw ze szpitala wojskowego w Elblągu, a następnie z Aresztu Śledczego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lesznie. Od 1983 roku związany z Solidarnością Walczącą, utworzył w Poznaniu jeden z jej najaktywniejszych ośrodków. Wielokrotnie był karany przez kolegów ds. wykroczeń. W latach 1980–1990 był rozpracowywany przez aparat bezpieczeństwa. U schyłku PRL i progu wolnej Polski współorganizował m.in. demonstracje w sprawie likwidacji SB, przeciwko prezydenturze Wojciecha Jaruzelskiego i stacjonowaniu w Polsce wojsk ZSRR. W ostatnich latach życia był zastępcą prezydenta Poznania. „W pamięci wszystkich, którzy go znali, [...] pozostanie jako człowiek niezwykle otwarty i ciepły, charakteryzujący się nie tylko wielką odwagą, ale i rzadką w naszych czasach – prawością” – napisał dr Łukasz Kamiński, obecny prezes IPN.

Maciej Frankiewicz został odznaczony przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim (2007) i pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2009).



► Maciej Frankiewicz (1958–2009)

Fot. AIPN

14 kwietnia 1934: Ogłoszono powołanie do życia Obozu Narodowo-Radykalnego.

Tego dnia w gmachu Politechniki Warszawskiej ośmiu młodych narodowców: Jerzy Czerwiński, Władysław Dowbor, Tadeusz Gluziński, Jan Jodzewicz, Jan Mosdorf, Mieczysław Prószyński, Tadeusz Todtleben i Wojciech Zaleski podpisało deklarację ideową nowego ugrupowania. Sygnatariusze odwoływali się do wartości patriotycznych, tradycji endeckiej i wiary katolickiej. Domagali się „stanowczego zerwania z obecnym ustrojem i zdecydowanie narodowej polityki gospodarczej”, dystansując się zarówno od komunizmu, jak i kapitalizmu. Twórcy ONR postulowali odebranie majątków wielkim właścicielom ziemskim, „obcym kapitalistom” i Żydom. „Ludność ruska i białoruska winna posiadać pełne prawa obywatelskie. Żyd nie może być obywatelem Państwa Polskiego” – czytamy w deklaracji założycielskiej. To właśnie radykalne hasła antyżydowskie najmocniej ciążyą dziś na ocenie przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego. Dla pilsudczyków, w latach trzydziestych sprawujących w Polsce autorytarne rządy, ONR był niepożądanym konkurentem. 10 czerwca 1934 roku ruch ten został zdelegalizowany, a jego czołowi działacze trafili wkrótce do obozu w Berezie Kartuskiej. Faktycznie ugrupowanie istniało jednak nadal, choć rok później rozpadło się na dwa środowiska – Ruch Narodowo-Radykalny „Falanga” pod przywództwem Bolesława Piaseckiego i ONR „ABC”, skupiony wokół Henryka Rossmana. W czasie II wojny światowej wielu narodowców – np. Jan Mosdorf, Stanisław Piasecki i Paweł Musiał – zginęło z rąk niemieckich okupantów. Bolesław Piasecki, aresztowany w 1944 roku przez Sowieców, podjął współpracę z komunistami i przez wiele lat szefował później katolickiemu Stowarzyszeniu PAX.

22 kwietnia 1919: Po zajęciu Wilna przez oddziały polskie Józef Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. „Wojsko Polskie, które ze sobą przyprowadziłem dla wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy [...] niesię Wam wszystkim wolność i swobodę” – czytamy w wydanym po polsku i litewsku dokumencie. Piłsudski, sam pochodzący z Wileńszczyzny, informował o wprowadzeniu na zajętych terenach zarządu cywilnego i zapowiadał demokratyczne wybory. Odezwa miała służyć pozyskaniu ludności różnych narodowości i wyznań. Pełniący wówczas funkcję Naczelnika Państwa Józef Piłsudski był bowiem zwolennikiem koncepcji federacyjnej, zakładającej, że Polska utworzy związek państw z Ukrainą, Białorusią i Litwą, które oddzielałaby Rzeczpospolita od Rosji. Rząd litewski nie był jednak zainteresowany jakąkolwiek federacją z Polską. W dodatku rościł sobie prawo do Wileńszczyzny, w większości zamieszkałej wówczas przez ludność polską. Latem 1920 roku sporny obszar został zajęty przez wojska bolszewickie i przekazany Litwie w zamian za zgodę na przemarsz przez terytorium tego państwa Armii Czerwonej. Jesienią, gdy bolszewicy byli w odwrocie, na Wileńszczyznę wkroczyła dywizja gen. Lucjana Żeligowskiego, działającego z rozkazu Piłsudskiego. Proklamowano utworzenie Litwy Środkowej, która istniała do 1922 roku, gdy tamtejszy sejm przyjął uchwałę stwierdzającą, że „Ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozdzielalną część Rzeczypospolitej Polskiej”. Do II wojny światowej Wilno pozostawało w granicach Polski, choć władze Litwy uważały je za swoją stolicę.

▶ Józef Piłsudski podczas przeglądu wojska, Wilno, kwiecień 1919 roku



Fot. NAC



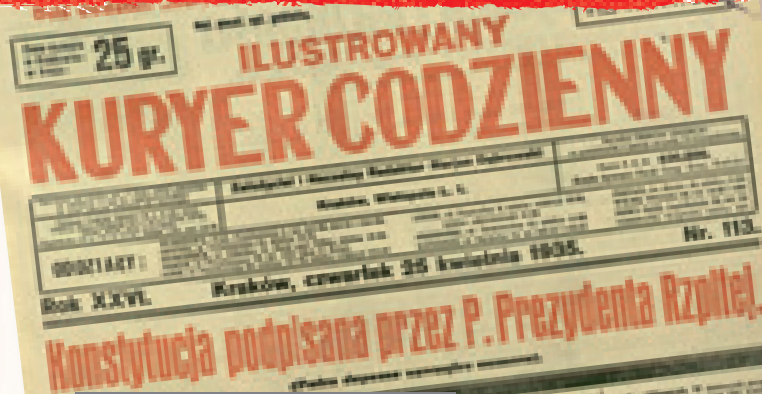
Fot. AIPN

▶ Adolf Hitler, 1939 rok

28 kwietnia 1939: Przemawiając na forum Reichstagu, Adolf Hitler wypowiedział polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy.

Działo się to w coraz bardziej napiętej sytuacji międzynarodowej. W połowie marca 1939 roku Wehrmacht wkroczył do Czech, a Słowacja, która formalnie ogłosiła niepodległość, stała się państwem uzależnionym od III Rzeszy. Jeszcze w tym samym miesiącu Litwa oddała Niemcom Okręg Kłajpedy. Było już wówczas jasne, że następnym celem ekspansji Hitlera może się stać Polska, która wcześniej dała do zrozumienia, że nie zgodzi się na rolę kraju satelickiego III Rzeszy. 31 marca premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain oświadczył, że w razie wojny jego rząd udzieli Polsce pomocy militarnej. Kilka dni później polskie władze zgodziły się udzielić analogicznych gwarancji Brytyjczykom. Dla Hitlera stało się to pretekstem do wypowiedzenia polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy z 1934 roku (miała obowiązywać przez dziesięć lat) i późniejszego o rok brytyjsko-niemieckiego układu morskiego, który ograniczał rozbudowę niemieckiej marynarki wojennej.

Dyktator III Rzeszy słusznie zakładał, że mocarstwa zachodnie nie będą skłonne przyjąć Warszawie z pomocą, i już 11 kwietnia zlecił przygotowanie planu wojny z Polską. W kolejnych tygodniach i miesiącach w niemieckiej prasie narastała antypolska propaganda. By zabezpieczyć się na czas wojny, w sierpniu III Rzesza zawarła pakt z ideologicznym wrogiem – Związkiem Radzieckim – dzieląc się z nim wpływami w Europie Środkowo-Wschodniej.



25 kwietnia 1935 roku

„Podczas rautu na Zamku omdlał nagle ks. Janusz Radziwiłł, poseł na Sejm. Prawdopodobnie z powodu gorąca i ciasnoty panującej w pewnym momencie na sali assamble'owej książę stracił przytomność i osunął się na posadzkę. [...] Po zastosowaniu zabiegów książę uzyskał przytomność. Po skończonym raucie około godz. 12.30 po północy przewieziono księcia do prywatnego pałacu przy ul. Bielańskiej [...]. Według djangnozy lekarskiej, stan księcia nie budzi obaw” – informował „**Ilustrowany Kuryer Codzienny**” nr 113 z 25 kwietnia 1935 roku. Ten nieco pechowy (choć przecież szczęśliwie zakończony) dla księcia bankiet na Zamku Królewskim odbywał się z okazji podpisania nowej konstytucji, co reporter relacjonował z najdrobniejszymi szczegółami: „Prezydent [...] usiadł przy stole, a p. premier [Walery Sławek] rozłożył przed nim tekst nowej Konstytucji, zaopatrzonej już w podpisy wszystkich członków rządu. W tej chwili za oknami odezwały się dźwięki hymnu narodowego, wojsko sprezentowało broń, a stojące pod Zamkiem na tarasach spadających ku Wiśle armaty dały ognia. Rozległ się ogłuszający huk, od którego zadrżały szyby w sąsiednich domach. W tym momencie P. Prezydent R. P. ujął za pióro i na akcie Konstytucji wpisał przedewszystkiem datę 23 kwietnia, nadając tem samem nowej Konstytucji nazwę: »Ustawy konstytucyjnej z dnia 23 kwietnia 1935 r.«. [...] Nowa Konstytucja uzyskała zatwierdzenie Głowy Państwa. Oznajmiła o tem mieszkańcom stolicy salwa 101 strzałów armatnich, oddana przez baterję dyonu artylerji z dziedzienca kompanji zamkowej przy ul. Bugaj”.

Konstytucja kwietniowa, w porównaniu z poprzedniczką z 17 marca 1921 roku, zdecydowanie umacniała pozycję prezydenta i zwiększała jego uprawnienia – mógł m.in. wydawać dekrety z mocą ustawy, a odpowiedzialny był jedynie – jak głosiła rota przysięgi, którą składał przed objęciem urzędu – przed Bogiem i historią. Na mocy ustawy zasadniczej z 1935 roku swój urząd sprawowali kolejni prezydenci na uchodźstwie. Ostatni z nich, Ryszard Kaczorowski, przekazał insygnia władzy Lechowi Wałęsie, pierwszemu po wojnie demokratycznie wybranemu prezydentowi.



3 kwietnia 1947 roku

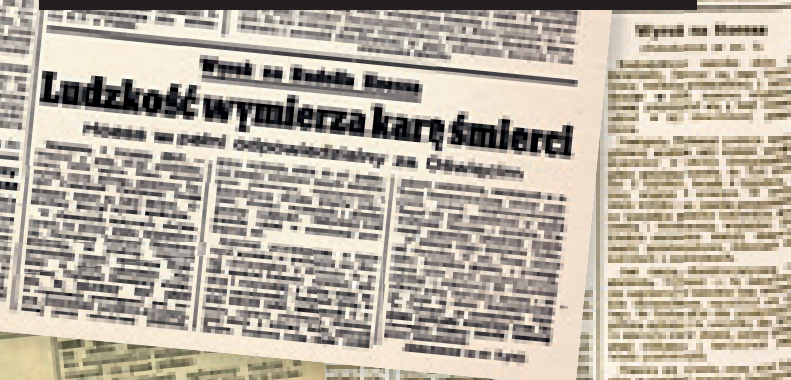
„Ludzkość wymierza karę śmierci” – ten wymowny tytuł otwiera informację „**Dziennika Polskiego**” o wyroku wobec Rudolfa Höbba, w czasach II wojny światowej nieszławnego komendanta obozu Auschwitz.

Naczelny Trybunał Narodowy w Warszawie skazał założyciela „wielkiego przedsięwzięcia śmierci i grabieży, któremu na imię Oświęcim – czytamy w wydaniu z 3 kwietnia 1947 roku. – Miało to być miejsce biologicznego i kulturalnego niszczenia ujarzmionych narodów, zwłaszcza żydowskiego i narodów słowiańskich”. Powołując się na Polską Agencję Prasową, krakowska gazeta podaje, że Höbb pozbawił życia ponad cztery miliony ludzi, głównie Żydów, ale też m.in. jeńców radzieckich. Dziś wiemy, że liczba ofiar Auschwitz była mniejsza (ok. 1,1 mln), co nie umniejsza ogromu i potworności popełnionych tam zbrodni.

Niemiecki komendant „znęcał się nad osadzonymi w obozie więźniami fizycznie i moralnie. Kierował masowym rabunkiem mienia – wylicza »Dziennik Polski«. – Hoess nie tylko spełniał rozkazy [Heinricha] Himmlera, lecz wnosił własną inicjatywę wykraczającą znacznie poza regulamin obozowy. W nadmiarze swej gorliwości SS-owskiej był nie tylko świetnym wykonawcą, ale również uosobieniem tych wszystkich »cnót«, jakich oczekiwał zbrodniczy reżim hitlerowski od swoich wiernych sług”.

Z relacji dowiadujemy się, że oskarżony przyjął wyrok spokojnie. „[...] nie zaprzeczył w zasadzie tym wszystkim okropnościom, ograniczył się do tego, że liczba ofiar nie przekroczyła półtora miliona i że wszystko zło, które zdarzyło się w obozie, należy przypisać rozkazom i inicjatywie jego władz przełożonych”.

Wyrok śmierci wykonano 16 kwietnia 1947 roku na terenie obozu w Oświęcimiu.



TELEGRAMY.

Oroczyste podpisanie przez P. Prezydenta nowej Konstytucji.

(Telefoniem od naszego korespondenta).

11 kwietnia 1982 roku

„Dzięki dużej, wielostronnej pomocy Związku Radzieckiego [...] zostanie m.in. rozpoczęta w przyszłym roku budowa metra w Warszawie” – cytował tygodnik „Stolica” nr 4 z 11 kwietnia 1982 roku deklarację Wojciecha Jaruzelskiego, wypowiedzianą 25 stycznia w sejmie. „Choć nie brak sceptyków, a nawet i zdecydowanych przeciwników realizacji podejmowanej w okresie tak trudnym dla naszej gospodarki – jest niezaprzeczalną prawdą, że jej dalsze odwlekanie mogłoby spowodować nieobliczalne wręcz następstwa dla rozwoju stołecznej aglomeracji” – komentowała redaktorka „Stolicy”, Krystyna Krzyżakowa, i argumentowała: „Z ursynowskiego osiedla-sypialni trzeba wywozić codziennie 90 procent ludności pracującej do zakładów pracy w innych dzielnicach, głównie do centrum. Odległość od miejsca zamieszkania do podstawowych koncentracji miejsc pracy wynosi ponad 10 kilometrów. Wielkość potoków pasażerskich przekracza 15.000 osób na godzinę. Czas podróży tramwajem i autobusem wydłuża się tu do ponad 60 minut, a więc znacznie ponad średni czas dojazdu do pracy w Warszawie. [...] Mówiąc bardziej obrazowo, straty mieszkańców z tytułu wydłużającego się czasu podróżowania wynoszą około 20 milionów godzin rocznie. A koszty eksploatacyjne są większe o około 800 milionów złotych rocznie”. Zarysowawszy zagrożenia, które byłyby następstwem zaniechania inwestycji, autorka przedstawiła parametry techniczne pierwszej linii przyszłej kolejki podziemnej: „A więc długość jej wyniesie 23,1 km, sięgając od Kabat po Hutę Warszawa. Stacji będzie 23 [...]. Tabor produkcji radzieckiej składa się z sześciowagonowych pociągów. [...] Docelowa częstotliwość kursowania pociągów może formalnie przyprawić o zawrót głowy nierozpieszczanych obecnie pasażerów. Co 90 sekund i to punktualnie”. Ta ostatnia wiadomość, jak wiedzą pasażerowie metra, sprawdziła się tylko częściowo – co półtorej minuty pociągi przyjeżdżają jedynie w godzinach szczytu. Nie spełniła się – jak dotąd – również zapowiedź tego, że stacja Centrum „otrzyma naturalnie podziemne połączenie z dworcem kolejowym Śródmieście”.

Budowę metra rozpoczęto w kwietniu 1983 roku. Miała trwać 11 lat. W rzeczywistości po 12 latach od wbicia pierwszego pala oddano do użytku zaledwie pierwszy odcinek, stanowiący około połowy pierwszej linii. Całą jej trasę pasażerowie mogli przejechać dopiero jesienią 2008 roku, co oznacza, że pierwszą linię warszawskiego metra budowano ćwierć wieku.

6 kwietnia 1989 roku

„Podejmujemy wielką historyczną próbę” – głosił tytuł na pierwszej stronie „Trybuny Ludu”, organu prasowego KC PZPR, z 6 kwietnia 1989 roku. W numerze obszernie, na kilku stronach, poinformowano o rezultatach zakończonych właśnie obrad Okrągłego Stołu. W podsumowaniu rozmów – relacjonowano – Czesław Kiszczak podkreślał, że nie jest ważne, „kto ile wygrał, a kto ile stracił, bowiem jest tylko jeden zwycięzca – nasza ojczyzna”. Lech Wałęsa natomiast zwrócił uwagę, że po raz pierwszy strona rządowa i opozycja rozmawiały ze sobą, „posługując się siłą argumentów, a nie argumentami siły”. Wyraził też nadzieję, że Okrągły Stół stanie się początkiem drogi do demokratycznej i wolnej Polski. Jednym z podstawowych ustaleń okrągłostołowych było „Stanowisko w sprawie pluralizmu związkowego”, w którym *de facto* chodziło o ponowną legalizację NSZZ „Solidarność”. Ogłoszono także zakończenie prac nad projektami reform społecznych, gospodarczych i politycznych, w tym szczególnie dotyczących zmian ustrojowych. W opublikowanym na następnych stronach przemówieniu Kiszczak w charakterystycznej nowomowie nakreślił obraz nowej „socialistycznej Polski jako państwa efektywności ekonomicznej i sprawiedliwości społecznej, demokracji politycznej i rządów prawa – państwa zapewniającego swoim obywatelom nieskrępowane możliwości samorealizowania swych materialnych, intelektualnych i kulturalnych dążeń oraz aspiracji”. Prawdopodobnie jeszcze wówczas nie spodziewał się on (ani zapewne też nikt z opozycji), jak szybkie i głębokie zmiany nastąpią po zapowiedzianych na czerwiec 1989 roku wyborach.





Przegrana Solidarność

Krzysztof Gottesman

Solidarność nie ma dziś u Polaków dobrych notowań. Dominujące są dwa poglądy: pierwszy – elity Solidarności zadbały przede wszystkim o siebie, a reszta dziaduje; drugi – za PRL żyło się lepiej. Oba mocno fałszywe, ale czy zupełnie bezpodstawne?

Solidarność u swego powstania była bajką. I z tej bajki zrodził się mit o jej wielkości i jedności. Bo pod względem ideowym była ruchem niezwykle szerokim. Znaleźli się w niej ludzie o poglądach od skrajnie lewicowych, trockistowskich, do silnie prawicowych, również nacjonalistycznych. Jednoczyły ich przede wszystkim antykomunizm oraz chęć zbudowania bardziej sprawiedliwego i bogatszego, także materialnie, świata.

Bajka i nadzieje trwały krótko, niespełna szesnaście miesięcy. Solidarność po roku 1989 stała się już zupełnie inna. Była zwycięska, ale słabsza. Na tyle słaba, że po kilku latach Polską rządzący prezydent i premier z pezetpeerowskimi korzeniami. Później, gdy stworzono AWS, raz jeszcze

odkurzony został mit Solidarności, ale zakończyło się to jeszcze większą klęską.

Gdy ponad rok temu obchodziliśmy 150. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego, z zazdrością i wzruszeniem mówiliśmy, jak wielkim szacunkiem i poważaniem cieszyli się w II Rzeczypospolitej powstańcy z 1863 roku. Zarówno ze strony państwa, jak i całego społeczeństwa. Sam w tym miejscu pisałem o swoim ojcu, który – tak jak i jego koledzy – poczytywał sobie za zaszczyt możliwość zasalutowania do szkolnej czapki sędziwym bohaterom. Czy ktoś słyszał, żeby tak się działo w III RP? Czy wytworzył się pozytywny obraz Solidarności w masowej kulturze, pozytywny snobizm? Wielki udział w tym, że tak się nie stało, ma – na przykład – tygodnik „Nie”, który złym „komuchom” przeciwstawił takich samych



„solidaruchów”. Ale czy wszystko możemy zwalić na Urbana? Czy to nie byłby za duży honor dla niego?

Lista zamierzonych i mimowolnych działań, które się na to złożyły, jest długa. W pierwszych latach po 1989 roku zbyt wielu z nas – ja także – uznało, że teraz wszyscy wspólnie będziemy budować nową Polskę. Że tak będzie najsprawdliwiej. W praktyce okazało się to – i tu już mojej zgody nie było – budowaniem bez refleksji nad przeszłością, bez wskazania i nazwania zła oraz symbolicznego choćby rozliczenia ludzi, którzy przez blisko pół wieku rządili Polską, uczestnicząc w tym złu. Z naiwną nadzieją, że środowiska, które były szczególnie zaangażowane w PRL, same się oczyszczą. Jak to się skończyło? Tak jak z sędziami, taśmowo odmawiającymi uchylecia immunitetów nawet tym przedstawicielom swego środowiska, którzy sędziowskiej niezawisłości sprzeniewierzyli się najbardziej.

Należę do ludzi, którzy nigdy nie zgodzą się na porównywanie dzisiejszej Polski do PRL. To są dwa różne światy. Jesteśmy społeczeństwem bogatszym, żyjemy w warunkach demokratycznych procedur, możemy brać udział w wolnych wyborach. Ale czy to wystarczy? Okazuje się, że nie.

Pretekstem do napisania tych słów stał się dla mnie kolejny pogrzeb peerelowskiego dygnitarza na Powązkach Woj-

skowych w Warszawie. Generał Tadeusz Pietrzak to człowiek, który całe dorosłe życie związał z aparatem przemocy. Od lat tużpowojennych, gdy ścigał antykomunistyczne podziemie, przez czas służby w Informacji Wojskowej i milicji w Poznaniu (również w okresie buntu w 1956 roku), aż po okres, gdy zajmował stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych (także w grudniu 1970 roku). Za to wszystko otrzymywał najwyższe odznaczenia, z orderem Virtuti Militari włącznie. Dostał także miejsce na Powązkach Wojskowych, aczkolwiek w ostatniej chwili, w wyniku protestów, zapadła decyzja, że pogrzeb odbędzie się bez asysty honorowej Wojska Polskiego.

Pietrzak nie jest pierwszy. Półtora roku temu w Olsztynie pochowano gen. Kazimierza Dudka, ostatniego szefa SB w województwie olsztyńskim. Ceremonia odbyła się z udziałem kompanii honorowej, która oddała salwę, i sztandarem komendy wojewódzkiej policji. Rok temu spoczął na Powązkach Wojskowych – i to w asyście kompanii honorowej Wojska Polskiego – inny komunistyczny generał: Florian Siwicki. Oczywiście wiem, że na tym cmentarzu leży wielu, którzy tego zaszczytu nigdy nie powinni byli dostąpić. Począwszy od Bieruta, przez Gomułkę, po wielu innych. Ale jest jedna zasadnicza różnica: tamtych chowano przed 1989 rokiem. Siwickiego, Pietrzaka i wielu partyjnych aparatczyków – już

po tej wyjątkowej przecieź dacie. Nie zgodziłbym się na usunięcie grobów już tam istniejących. Jednak naprawdę nie znajduję żadnego powodu, żadnej wartości, które by przemawiały za przyznaniem takiego wyróżnienia ludziom komunistycznej bezpieki. Przecieź na tym samym cmentarzu, i to nawet niedaleko od grobu Pietrzaka, ekshumowane są szczątki więźniów Mokotowa – ofiar terrorkomunistycznego. Czy to naprawdę nie robi różnicy tym, którzy podejmują decyzje? Wiem, słyszałem i czytałem, że takie są przepisy. Przepisy są też takie, że nekrolog o śmierci Pietrzaka podpisało Stowarzyszenie Generałów Policji RP.

Pochowanie bliskich, ostatnia posługa to w polskiej, więcej, humanistycznej tradycji rzecz święta. Rodzina Pietrzaka – traktuję go symbolicznie – powinna mieć prawo pochowania go w sposób godny, zgodny z polskim prawem i zwyczajem. Jednak, po pierwsze, coś się w Polsce po 1989 roku zmieniło. Bohaterowie II RP, antykomunistycznego podziemia, Solidarności różnią się przecieź od przywódców PZPR i generałów bezpieki. Ci ostatni dokonali w swoim życiu wyborów i czynów, które wolna Polska ma prawo oceniać. Także przez wybór miejsca wiecznego spoczynku.

Zacząłem ten felieton od żalu nad niską oceną Solidarności. Czy ma to jakiś związek z pogrzebami na Powązkach? Tak mi się wydaje. Dwa miesiące temu odszedł Zbigniew Romaszewski. Człowiek wyjątkowy: skromny, prostolinijski, wierny wyznawanym poglądom i wartościom. Został pochowany na tych samych Powązkach Wojskowych. Czy można kwestionować czystość jego życia? Okazuje się, że tak. Opinie o Solidarności, które zacytowałem na początku, pochodzą z internetowych wpisów pod wiadomością o śmierci Romaszewskiego. To garstka, a internet to specyficzne medium – można powiedzieć. Chyba jednak nie do końca tak jest. Relatywizm moralny, który tak jaskrawo ujawnił się na Powązkach, najmocniej dotknął właśnie Solidarności. ❄

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

MIEJSCA UŚWIĘCONE KRWIĄ

Paweł Zielony

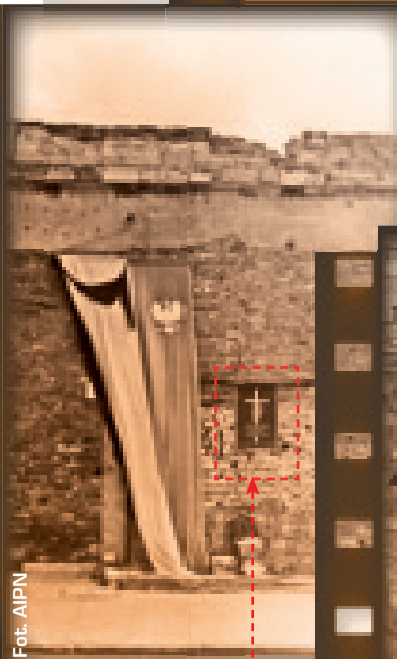
Warszawa to miasto kontrastów. Z jednej strony – pełne życia, dźwięków, twórczego zamętu i pilnych spraw. Z drugiej – bogate w miejsca skłaniające do zadumy. Przykładem tego są kamienne tablice i pomniki upamiętniające miejsca bohaterskich walk i męczeństwa mieszkańców stolicy.

Większość stołecznych miejsc pamięci powstała po II wojnie światowej. Upamiętniają one obrońców Warszawy z września 1939 roku, ofiary z okresu okupacji niemieckiej, powstania w getcie warszawskim i Powstania Warszawskiego. Nim wojna formalnie się zakończyła, w stolicy zaczęły powstawać tymczasowe mogiły bądź symboliczne groby. **Powracający do miasta warszawiacy zaczęli spontanicznie stawiać krzyże, tablice i pamiątkowe głazy.** Wyzwaniem było zapewnienie godnego pochówku uczestnikom sierpniowego zrywu. Mieszkańcy Warszawy starali się zachować pamięć o nich, a także przeciwstawić się komunistycznej narracji, według której dowódcy Powstania Warszawskiego byli zdrajcami. Tak w nowej rzeczywistości rozpoczynała się walka o symbole. Obywatelski Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, utworzony w 1945 roku jako komórka prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy, rozpoczął proces porządkowania miejsc upamiętniających bohaterów walk i ofiary narodu polskiego. W miejscach pamięci pojawiły się **czarne, blaszane tablice z białym krzyżem umiejscowionym między literami: S i P** – od „świętej pamięci”.



Fot.: AIPN

► Niezidentyfikowane miejsce straceń, fotografia wykonana po 1945 roku



Fot.: AIPN

► Miejsce egzekucji przy ul. Nowy Świat; zdjęcie z lipca 1945 roku



Fot.: AIPN

► Miejsce masowej egzekucji w Alejach Ujazdowskich

U dołu krzyża widniał napis: „Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków walczących o wolność”. Pod tym ujednoczonym szablonem tablic znajdował się opis tragedii dotyczącej danego miejsca. **Zaprezentowane w artykule fotografie z zasobu archiwalnego Instytutu Pamięci Narodowej przedstawiają przykłady takich powojennych tablic umieszczanych w miejscach pamięci.**

W latach 1948–1949 Wydział Muzeów i Pomników Walki i Męczeństwa Ministerstwa Kultury i Sztuki przeprowadził dwuetapowy konkurs, który wpłynął na krajobraz Warszawy i wykreował obowiązujący do dzisiaj symbol narodowej pamięci. Pierwszy etap dotyczył treści i symbolu, jakie powinny się znaleźć na tablicy ku czci poległych. W porozumieniu ze Związkiem Literatów Polskich 27 października 1948 roku został wybrany tekst zaproponowany przez zastępcę naczelnika WMiPWIM Ewę Śliwińską: „Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków walczących o wolność”. Warto przypomnieć, że w tym czasie funkcjonował on już w miejscach pamięci na czarnych, blaszanych tablicach. Jed-



Fot. Leonard Sempoliński/AIPN

➤ Miejsce straceń przy ul. Senatorskiej; zdjęcie z maja 1945 roku

ną z uczestniczek spotkania była pisarka Maria Dąbrowska, która w swoich *Dziennikach* pod datą 27 października 1948 roku wspomina to wydarzenie w sposób następujący: „Po południu, acz z niechęcią, pojechałam na zebranie jury na »symbol« słowny na pomnikach w miejscach straceń. Rzecz charakterystyczna, że listu zawiadamiającego mnie o wyborze do tego jury nie otrzymałam. Tak jakby mnie chciano zaskoczyć. Na zebraniu odczytano nadesłane slogany,

wszystkie bardzo liche. Wszyscy obecni panowie byli mi absolutnie nieznani. Jakiś minister Balicki czy Walicki [Zygmunt Balicki – przyp. red.] i jakiś człowiek o bezkrwistej twarzy chudej i bardzo złej. Ten wypowiedział się przeciw temu, aby na pomnikach były krzyże i znaki »Polska Walcząca« i żeby w nich była mowa o Polakach i o Niemcach. Zamiast tego proponował: »Obywatele Polski« i »faszyści«. Czyli byłyby to inne pomniki innego kraju, innego narodu, inną

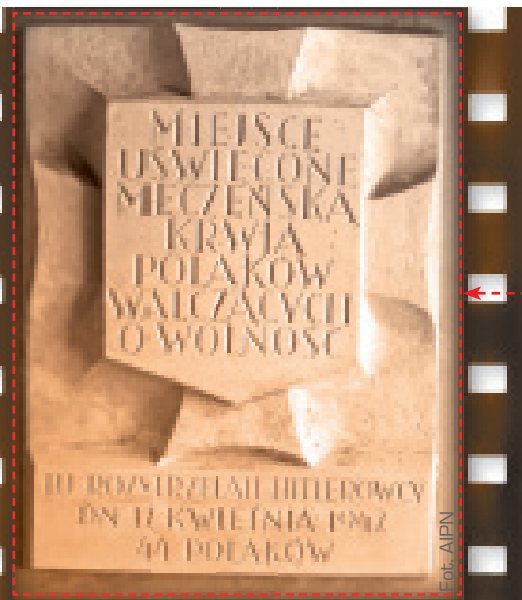


Fot. AIPN

➤ Miejsce masowej egzekucji, mur getta przy ul. Leszno

➤ Fragment budynku warszawskiego oddziału fabryki „Ursus” przy ul. Wolskiej 55; fotografia wykonana po 17 stycznia 1945 roku

Fot. AIPN



i z kim innym prowadzącego wojnę. Nawet to chcą odebrać Polakom, że ginęli i umierali! Oto znów jeden z przejawów bezczeszczenia osobowości narodu. [...] Olbrzymia większość rodzin tych straconych jest katolicka i pomniki bez znaku religijnego byłyby dla nich profanacją tych, co zginęli. Te pomniki robi się nie tylko dla zmarłych, ale także dla żywych, a ci będą tam przychodzić się modlić. [...] Jestem bardzo niezadowolona, że byłam na tym zebraniu. Powinnam była po prostu nie pójść, tak jak to zrobili [Jan] Parandowski i [Jerzy] Zawieyski”. Według Dąbrowskiej przedstawiciele władz długo nie dawali się przekonać do umieszczenia na tablicy symbolu krzyża. Po pewnym czasie zaczęli brać pod uwagę umieszczenie Krzyża Grunwaldu. Ostatecznie zdecydowali, że symbolem ogólnym stosowanym na pomnikach upamiętniających miejsca straceń będzie neutralny i uniwersalny Krzyż Walczących.

W grudniu 1949 roku odbył się drugi etap konkursu ogłoszony przez Stowarzyszenie Architektów Polskich (SARP)

na zlecenie WMiPWim. W „Sądzie konkursowym” zasiadali przedstawiciele SARP: prof. Romuald Gutt i prof. Jan Witkiewicz, Związku Polskich Artystów Plastyków: prof. Jan Szczepkowski i prof. Marian Wnuk, przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa (taka nazwa obowiązywała od kwietnia 1949 roku) – wiceminister komunikacji Zygmunt Balicki oraz kierownictwo WMiPWim: Ludwik Rajewski i Ewa Śliwińska. Powyższy zespół ocenił 34 nadesłane prace. Poziom nie był dla jurorów zadowolający, niemniej udało się wybrać projekt przeznaczony do realizacji. W archiwum IPN zachowały się zdjęcia zwycięskich prac. Pierwsze miejsce zajął projekt przedstawiony przez artystę rzeźbiarza Karola Tchorka. Jego propozycja składała się z trzech ujednoczonych w formie modeli: **tablicy pamiątkowej**, **monolitu** (wolno stojącego pomnika) i **obelisku** (wysokiego, smukłego słupa). Za wyborem jego pracy przemawiały: przyznanie pierwszoplanowej roli treści przez wyeksponowanie napisu, prostota formy ułatwiająca zachowanie powta-

rzalności tablic i ogólnie akceptowana symbolika. Projekt ten został wybrany do realizacji z zastrzeżeniem, że jego forma zostanie „jeszcze ostatecznie opracowana”.

Zespół konkursowy przyznał też dodatkową pierwszą nagrodę w – jak ujęła to Śliwińska w tygodniku „Stolica” z 11 grudnia 1949 roku – „zamkniętej części konkursu”. **Wyróżniono w ten sposób prof. Franciszka Krzywdę-Polkowskiego. Jego różnorodną i bogatą propozycję stanowiło 45 szkiców odrębnych projektów.** Obu laureatom zostały przyznane nagrody po 120 tys. zł. Suma ta stanowiła równowartość około dziesięciu ówczesnych pensji wykwalifikowanego pracownika fizycznego. Niestety, kilka dni przed ogłoszeniem wyników, 29 listopada 1949 roku, prof. Krzywda-Polkowski zmarł, o czym najprawdopodobniej zespół przyznający nagrodę nie wiedział.

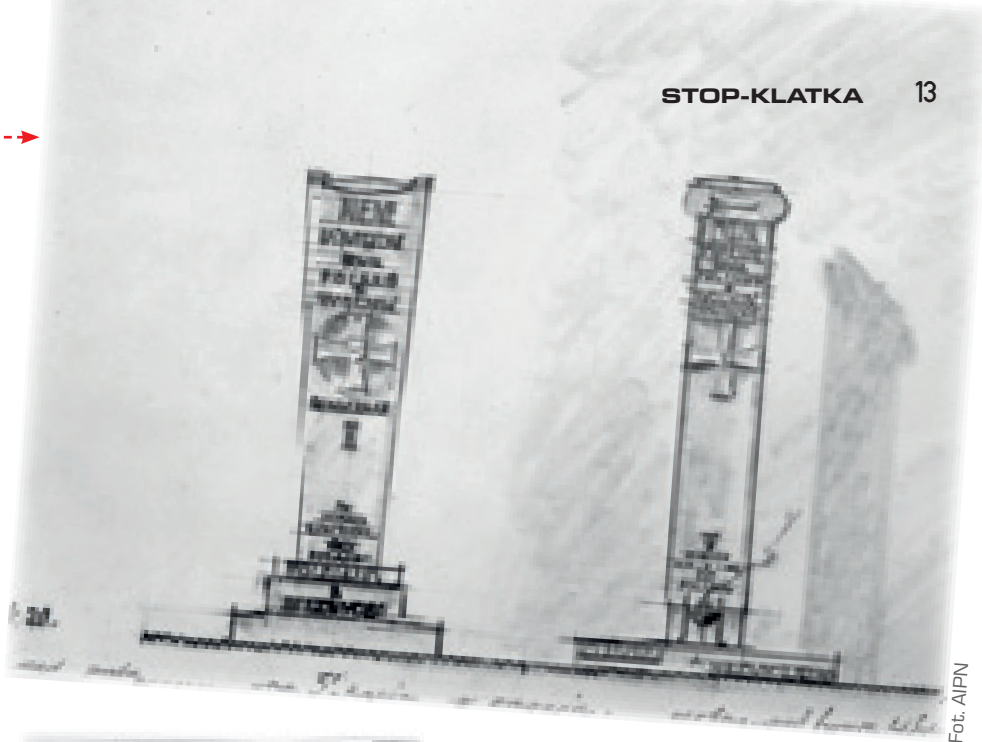
Zgodnie z oczekiwaniami zespołu konkursowego pierwsze tablice i monolity zostały rozmieszczone na ulicach Warszawy w 1950 roku, a następnie z każdym rokiem liczba pomników rosła. Zmianom uległ wykonywany na nich tekst główny, który ostatecznie brzmiał: „Miejsce usświęcone krwią Polaków walczących o wolność ojczyzny”. W kolejnych latach ewoluował także tekst opisujący zbrodnie.



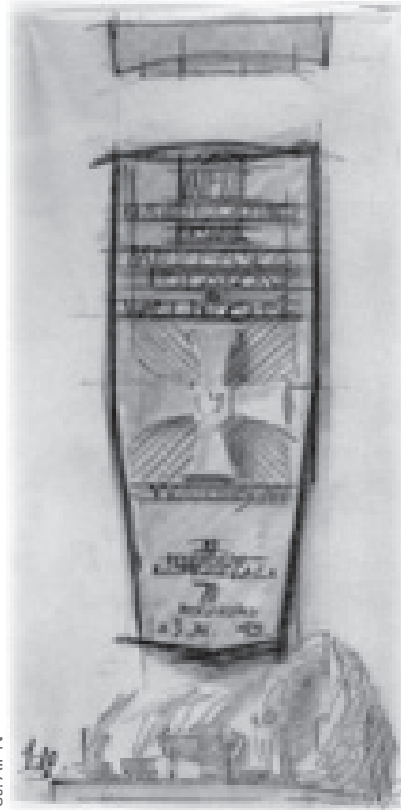
Zamiast słowa „Niemcy” zaczęto używać wyrazu „hitlerowcy”. W założeniu termin ten miał znosić odpowiedzialność za akty przemocy z okresu II wojny światowej z obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej, będącej w sojuszu z komunistyczną Polską. Określenie „Powstanie Warszawskie” pojawiło się dopiero na tablicach odsłoniętych w 1957 roku.

W maju 1961 roku, w ramach reorganizacji, na wniosek ROPWiM utworzony został Obywatelski Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w m.st. Warszawie. Powstały komitet ogólnowarszawski wraz z podległymi mu komitetami dzielnicowymi zajmował się ewidencją i weryfikacją miejsc zbrodni. Od 1962 roku rozpoczął się proces nadawania miejsc pamięci patronatów. Stołeczny OKOPWiM powierzał poszczególne pomniki szkołom, zakładom pracy, organizacjom zawodowym, instytucjom wojskowym i cywilnym. Zgodnie z wytycznymi komitetów dzielnicowych opiekunowie mieli dbać o to, aby każde miejsce było utrzymywane – bez względu na porę roku – w czystości i należytym porządku, by znajdowało się w otoczeniu odpowiednio dobranej zieleni, a napisy miały być czytelne. Z okazji uroczystości opiekujący się danymi miejscami, zgodnie z wytycznymi Komitetu, współdziałali w ich realizacji.

Im więcej tablic pojawiało się w Warszawie, tym bardziej wzrastało zaniepokojenie twórcy projektu co do odbiegającej od pierwowzoru formy oraz złej lokalizacji nowych tablic i monolitów. W niektórych przypadkach niepokój Tchorka wzbudzały umieszczane na nich teksty, których treść odbiegała od faktycznego przebiegu wydarzeń. Ponieważ z chwilą stawiania nowych pomników usuwane były wszystkie wcześniejsze symbole, tablice czy klepsydry, twórca projektu podkreślał, że muszą one nawiązywać do poprzednich form upamiętnienia spontanicznie stawianych przez mieszkańców stolicy. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych – w okresie konfliktu z Tchorkiem, niezgadającym się na zmiany w jego projekcie – Państwo-



Fot. AIPN



Fot. AIPN

we Przedsiębiorstwo Pracowni Sztuk Plastycznych na zlecenie ROPWiM zaczęło pracować nad nowymi wzorami tablic pamiątkowych. Pozostały one jednak w fazie projektów. W 1968 roku spór twórcy tablic z PP PSP, dotyczący praw autorskich, nadzoru wykonawczego oraz wynagrodzenia za szczegółową dokumentację literacką dla 51 tablic i 35 monolitów, został rozstrzygnięty na korzyść Tchorka.

Obecnie w Warszawie znajduje się ponad 160 pomników w postaci tablic wmurowanych w ściany budynków i monolitów wykonanych według projektu Karola Tchorka. Nie sposób dzisiaj ustalić liczby wszystkich stołecznych miejsc walk i męczeństwa upamiętnionych tego typu pomnikami. Wraz z przebudową miasta część tych tablic i monolitów uległa zniszczeniu. Na pozostałych, które przetrwały do dzisiaj, widoczne są oznaki upływu czasu. Na niewielkiej części tablic wykuto napisy z błędami merytorycznymi lub językowymi. W kilku przypadkach, upamiętniających zagładę Żydów czy sowieckich jeńców wojennych, wykonawcy tablic świadomie wprowadzili zmiany w ich wyglądzie. Nie zawierają symbolu krzyża, a na pierwszym planie umieszczone są lakoniczne słowa: „Cześć ich pamięci”.

Reichsführer-SS Heinrich Himmler w rozkazie z 9 października 1944 roku nakazał kompletne zniszczenie Warszawy. Wskazał jednoznacznie: „[...] to miasto ma całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi. [...] Kamień na kamieniu nie powinien pozostać. Wszystkie budynki należy zburzyć aż do fundamentów”. Siedemdziesiąt lat po tym rozkazie Warszawa istnieje. Kamienie, w postaci tablic i monolitów z piaskowca, pozostają naszym łącznikiem z przeszłością. ❀

Paweł Zielony – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Podziemne Radio „Solidarność” było dla peerelowskich władz ogromnym problemem, z którym walczyły nie tylko Służba Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska, lecz także liczne instytucje cywilne i wojskowe. Pomagali też towarzysze z „bratnich służb”, zwłaszcza z Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

12 kwietnia 1982 roku w y e m i t o w a n o pierwszą audycję warszawskiego Radia „Solidarność”. Data ta jest uznawana za jego początek, chociaż niezależne solidarnościowe inicjatywy radiowe pojawiły się już wcześniej, a w okresie „solidarnościowego karnawału” (1980–1981) przystąpiono nawet do tworzenia radia ogólnopolskiego.

Pomysłodawcami i twórcami Radia „Solidarność” byli Zbigniew i Zofia Romaszewscy. Chociaż jednak po raz pierwszy „zagrało” ono w stolicy (notabene w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy), to w kolejnych tygodniach, miesiącach i latach można je było usłyszeć również w kilkudziesięciu innych miastach i miasteczkach w całym kraju, w tym nawet w Węgorzewie czy w Ostrzeszowie. Ważnymi ośrodkami nadawczymi, tworzonymi niezależnie od siebie, były m.in. Wrocław, Poznań, Gdańsk, Toruń i Świdnik.

Podziemne Radio „Solidarność” funkcjonowało do 1989 roku, włączając się m.in. w kampanię wyborczą „drużyny Lecha”, jak wówczas określano kandydatów strony solidarnościowej do sejmu i senatu. Było ono fenomenem w krajach tzw. demokracji ludowej – w żadnym innym państwie socjalistycznych nie utrzymywała się bowiem przez tyle lat i na taką skalę niezależna działalność radiowa.

Działo się tak, mimo że Radio „Solidarność” było najbardziej zwalczanym przejawem podziemnej aktywności.

To zresztą za niezależną działalność radiową groziły najwyższe wyroki. Mimo jednak kolejnych aresztowań, skwapliwie nagłaśnianych przez władze, zatrzymywanych ludzi zastępowali inni, najczęściej zresztą niezwiązani z profesjonalną radiofonią. Z drugiej strony Radio „Solidarność” stawało się z czasem przedsięwzięciem coraz mniej amatorskim. Zmieniano m.in. technikę nadawania – początkowo audycje emitowano na falach ultrakrótkich (UKF), później zaczęto wchodzić na fonie, a nawet na wizję Telewizji Polskiej. Do nadawania audycji wykorzystywano również tzw. gadały, czyli magnetofony wraz ze wzmacniaczami i głośnikami.

Nic zatem dziwnego, że od początku istnienia Radio „Solidarność” było zwalczane przez władze. Główny ciężar walki spoczął na barkach funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Poszczególne ośrodki radia i formy jego działalności były rozpracowywane w ramach różnego rodzaju spraw operacyjnych, prowadzonych głównie przez kontrwywiad, „opiekujący się” od 1981 roku także środowiskiem dziennikarskim. Esbeków wspierali przede wszystkim milicjanci. Ale nie tylko. W działania przeciwko radiu zaangażowano również m.in.: Wojskową Akademię Techniczną, Zarząd II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Państwową Inspekcję Radiową, Ministerstwo Łączności czy Komitet ds. Radia i Telewizji.

Sięgnięto także po pomoc „bratnich służb”, a audycje (np. na Dolnym Śląsku) były zagłuszane nawet przez wojska sowieckie stacjonujące w Polsce. O zwalczaniu Radia „Solidarność” dyskutowano podczas roboczych spotkań służb radiokontrwywiadowczych i technicznych organów bezpieczeństwa krajów bloku wschodniego, w Pradze w październiku 1984 roku i w Warszawie w lipcu roku następnego.

Służba Bezpieczeństwa współpracowała m.in. z czechosłowacką StB, największą jednak pomoc w zwalczaniu podziemnej działalności radiowej uzyskała od enerdowskiej Stasi, a dokładnie – jej trzeciego głównego wydziału

(HA III), odpowiedzialnego za wywiad i kontrwywiad radioelektroniczny. Towarzysze z NRD dysponowali niezbędnym sprzętem i wiedzą. Funkcjonariusze HA III uczestniczyli już w namierzaniu drugiej audycji warszawskiego Radia „Solidarność” 30 kwietnia 1982 roku – w ramach akcji o kryptonimie „Wolke I” („Chmura I”). Było to zadanie bardzo trudne ze względu na specyfikę fal UKF, na których emitowane były audycje. Podobno jednak specje ze Stasi zdołali nawet ustalić, z którego budynku nadawano, choć nie udało się zatrzymać emiterów ani przejąć sprzętu. W kolejnych miesiącach i latach specjaliści z NRD pomagali SB – nie bez sukcesów – namierzać audycje w Warszawie i na Dolnym Śląsku. W 1985 roku towarzysze z NRD wycenili pomoc w zwalczaniu podziemnego radia na pół miliona marek. Wymiana doświadczeń trwała także później. W lipcu 1988 roku rozmawiano w Warszawie m.in. o emisji hasel Solidarności na wizji TVP.

Obok prezentujemy kopię dokumentu, która trafiła do zbiorów IPN z archiwum Federalnego Pełnomocnika ds. Akt Stasi (BStU) w Berlinie – urzędu znanego także jako Instytut Gaucka. Pismo to jest przykładem ożywionej korespondencji na linii MSW–Stasi, prowadzonej w latach osiemdziesiątych w związku z działalnością Radia „Solidarność”. To także dowód na to, że peerelowski radiokontrwywiad nie był wówczas przygotowany na nowe wyzwania i zdany był na pomoc z zewnątrz. Dość powiedzieć, że – jak podaje dr Tytus Jaskułowksi w książce *Przyjaźń, której nie było* – służby techniczne Stasi miały nad polskimi dziesięciokrotną przewagę materiałową i osobową.

Co ciekawe, trzeci główny wydział Stasi nie tylko pomagał towarzyszom z PRL w zwalczaniu opozycji. Zaangażował się również – już w 1980 roku – w podsłuchiwanie polskich instytucji cywilnych i wojskowych. Operacja ta także nosiła kryptonim „Wolke”, tyle że nie był on uzupełniany rzymską numeracją. To już jednak temat na osobny artykuł. ■

Fot. BStU

Data zarejestrowania dokumentu przez odbiorcę w Berlinie Wschodnim

Miejsce i data wytworzenia dokumentu

Paginacja nadana w archiwum Federalnego Pełnomocnika ds. Akt Stasi (BStU) w Berlinie

Klauzula tajności; nie nadano wyższej, prawdopodobnie dlatego, że w dokumencie nie ma istotnych informacji operacyjnych

Każdy egzemplarz wytworzonego pisma był numerowany

Znane też jako Stasi

Odpowiadał m.in. za współpracę z organami bezpieczeństwa sojusznicznych krajów socjalistycznych

Radio „Solidarność” nie tylko informowało, lecz przede wszystkim było ważnym świadectwem tego, że Solidarność nadal istnieje i działa

Chodzi o działalność konspiracyjną po 13 grudnia 1981 roku

Na czele MSW stał wówczas gen. Czesław Kiszczak

Numer kancelaryjny, pod którym zarejestrowano pismo w Warszawie

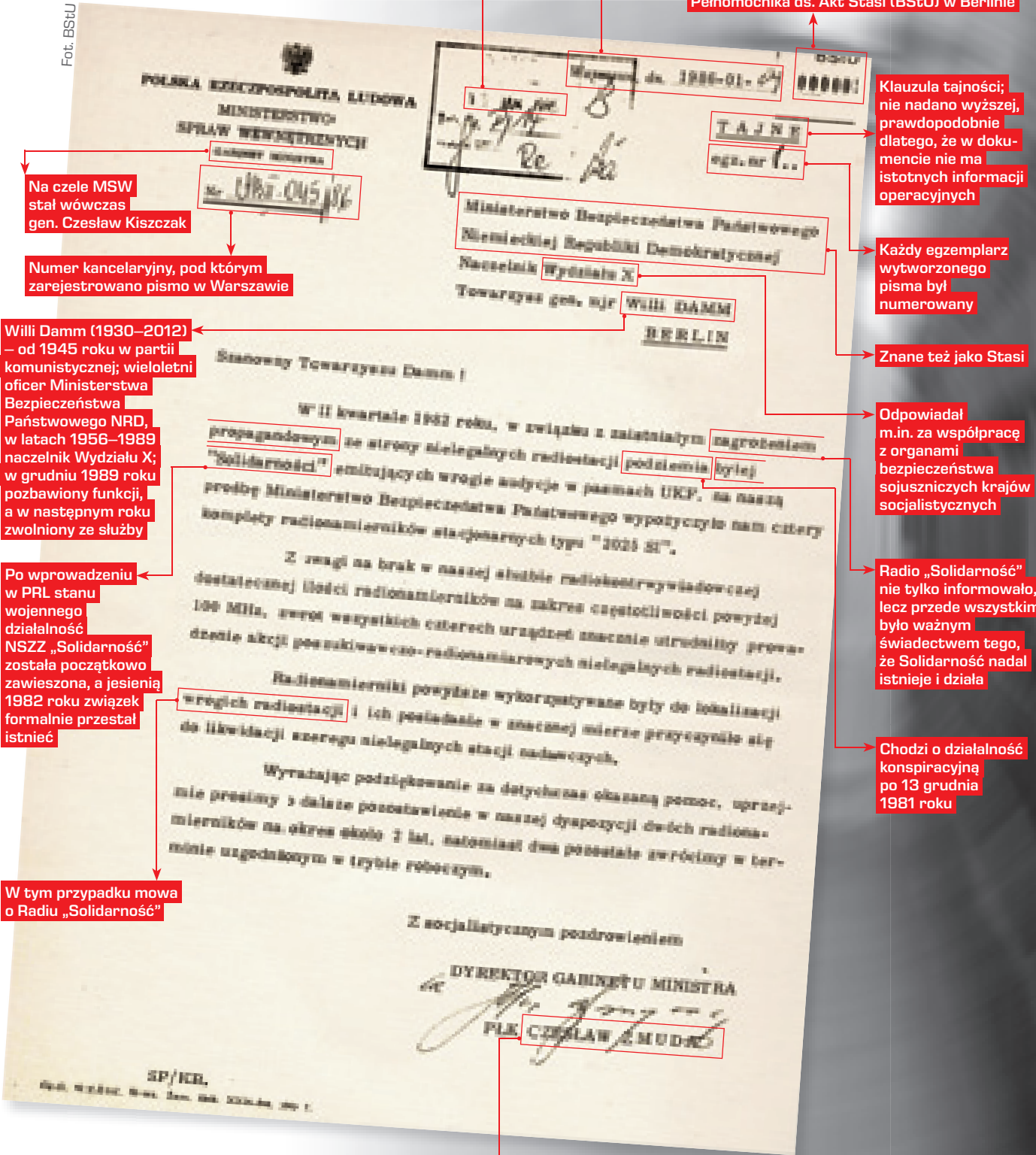
Willi Damm (1930–2012) – od 1945 roku w partii komunistycznej; wieloletni oficer Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, w latach 1956–1989 naczelnik Wydziału X; w grudniu 1989 roku pozbawiony funkcji, a w następnym roku zwolniony ze służby

Po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego działalność NSZZ „Solidarność” została początkowo zawieszona, a jesienią 1982 roku związek formalnie przestał istnieć

W tym przypadku mowa o Radiu „Solidarność”

Oficer polityczny Wojska Polskiego, od listopada 1981 roku w MSW jako zastępca dyrektora Gabinetu Ministra, a od lutego 1985 roku jego dyrektor; w 1990 roku doradca ministra spraw wewnętrznych

Filip Gańczak – redaktor miesięcznika „Pamięć.pl”
dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN; zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej



Kawałeczek ziemi

Byłam najmłodszym, kochanym dzieckiem. Miałam sześciu braci i siostrę. Rodzina była religijna, taka normalna, ciepła, dobra. W getcie znalazłam się z nakazu, z zarządzenia Hitlera – mówi ocalała z warszawskiego getta **Krystyna Budnicka w rozmowie z Damianem Kwiekim**

Pani rodzina nie trafiła do getta, to getto przyszło do Państwa.

Mieszkaliśmy przy placu Muranowskim. To był teren, który w '40 roku znalazł się w granicach getta. Zajmowaliśmy lokal na parterze, a w suterenie tato miał stolarnię i pracowali tam również moi bracia. Jeden tylko odszedł od tej tradycji, miał czytelnię „Parnas” na Nowolipiu, o czym zresztą wspomina Józef Hen w swoich opowiadaniach – że wypoczywał u niego książki.

Jak dowiedzieli się Państwo, że powstało getto?

Miałam wtedy siedem lat, nie wszystko rozumiałam, ale to jakoś szybko stało się oczywiste. To się działo, widziałam mury – i nikt nikogo nie pytał, czy się zgadza, czy nie. Było zamieszanie, czuło się natłok ludzi z innych dzielnic, szukanie mieszkań. Zrobiło się po prostu ciasno na tym małym, wydzielonym terenie. Ale z mojego punktu widzenia – ciągle mieszkaliśmy w domu, tylko nie chodziłam do szkoły. Pamiętam nauczycielkę, która zbierała dzieci na podwórku. Uczyla nas piosenek, wierszyków – żeby się dzieci nie plątały. Niemniej rozumiałam, że dzieje się coś niedobrego, bo to wszystko było nienormalne. Ale to był dopiero początek. Potem już wiedziałam, że grozi mi śmierć.

W jaki sposób rodzice tłumaczyli Pani, co się dzieje?

Nie przypominam sobie, żebym zadawała im takie pytanie – życie samo tłumaczyło: te wszystkie ograniczenia, które Niemcy wprowadzili. Ale trzeba też zaznaczyć, że ja byłam dzieckiem chronionym przez dorosłych. Moi bracia byli dorośli i cała ich aktywność skupiała się na tym, żebyśmy nie dali się złapać.

Była świadomość zagrożenia, od pewnego momentu wiedzieliśmy już o Treblince. Wiadomo było, że jak się dasz złapać, to możesz pójść do obozu śmierci. Było jasne, że to nie są żadne wywózki do pracy, tylko na śmierć. I moje dorosłe otoczenie swoją energię kierowało na to, żeby nas jakoś ochronić i żeby się ukryć. Bardziej mówię tu o braciach niż o rodzicach, zwłaszcza o ojcu, który wtedy zupełnie się załamał.



Krystyna Budnicka (ur. 1932) – przed wojną Hena Kuczer, jedna z ostatnich żyjących dziś osób, które przebywały w warszawskim getcie. Przez dziewięć miesięcy wraz z rodziną ukrywała się w prowizorycznym bunkrze, zbudowanym na terenie zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Po wojnie ukończyła pedagogikę specjalną i pracowała z dziećmi upośledzonymi i sierotami. Fotografia z 1948 roku.

Fot. www.sprawiedliwi.org.pl

Na czym polegało to ukrywanie się? Przecież Niemcy byli na ulicach getta, wchodzili do domów.

Moi bracia wyspecjalizowali się w robieniu skrytek. Konstruowali je u nas w domu – jako dziecko wiedziałam, że w razie rewizji albo łapanki od razu trzeba się schować. Poza tym bracia robili też takie skrytki dla innych, na zamówienie. Wielu ludzi było tym zainteresowanych i budowanie skrytek stało się pracą zarobkową moich braci. Dzięki temu jakoś wtedy egzystowaliśmy. Wówczas jeszcze nie dawało o sobie znać skrajne wyczerpanie, nędza i głód nie były tak dotkliwe. W Warszawie niemal wszyscy szmuglowali. Jeśli miało się pieniądze, można było pokątnie kupić, może nie chleb, ale mąkę, kaszę. I wtedy powstał bunkier...

Bunkier?

Bracia postanowili stworzyć miejsce, w którym będziemy mogli bezpiecznie przetrwać nawet do końca wojny. To był oczywiście bunkier prowizoryczny, zbudowany w piwnicy, umocniony, ze spżarnią i połączeniem z kanałami. Był specjalny tunel, prowadzący do kanałów, z wyjściem na stronę „aryjską”.

Pojawiła się nadzieja, że koszmar wojny można przetrwać?

Nadzieja brała się stąd, że był to już rok '43 i nadchodziły informacje z frontu wschodniego, że załamuje się ofensywa niemiecka, Niemcy zaczynają się wycofywać. Słyszeliśmy o Stalingradzie.

Skąd mieli Państwo te informacje?

Było u nas radio, oczywiście przemycone, bo nie wolno było mieć. I pamiętam taką rozgłosnię... „Tu rozgłosnia polska Świt” albo: „Bum bum bum, tu mówi Londyn” – to pamiętam bardzo dobrze. Był jeszcze taki chorał: „Z dymem pożarów do Ciebie, Panie, bije ten głos”. I wołali „Getto płonie!”, „Skarga to straszna” – taka była pieśń, która nadal gdzieś tam brzmi w moich uszach. W wiadomościach też słyszeliśmy doniesienia, że getto płonie, i była wtedy nadzieja – że świat wie o tym i może przyjdzie z pomocą.

A gdzie powstał ten bunkier?

Nie pamiętam numeru, ale to była ulica Zamenhofa. On był budowany w '42, a wprowadziliśmy się do niego w styczniu '43 roku. To była solidna konstrukcja!

Wie Pani, jak braciom udało się go wybudować? Chyba potrzebowali jakichś materiałów?

Nie, nic specjalnego nie było potrzebne. Jak już mówiłam, moi bracia wykorzystali w tym celu piwnicę, którą pogłębili i w ten sposób obniżyli poziom. A ziemią, którą wydobywali, obłożyli bunkier z zewnątrz, tworząc rodzaj ziemianki. Ze zdobyciem innych materiałów, takich jak deski do szalowania, raczej nie było problemu, bracia gdzieś to znajdowali. Potem trzeba było wybudować tunel prowadzący do kanału. No i znowu musieli wydobyć ziemię i oszalować deskami. Tunel miał około dziesięciu metrów długości, a ziemia też została wykorzystana do otulenia bunkra, co ostatecznie okazało się dla nas fatalne. Bo kiedy getto się paliło, ziemia bardzo się rozgrzewała i byliśmy dosłownie jak w piecu. Nie widziałam płonącego getta, ale czułam ten płomień na własnej skórze, bo on był wewnątrz.

Jak Państwo radzili sobie z tym gorącem?

Uciekało się wtedy do kanału, w kanale było chłodno. Mieliliśmy tam deski, na których siedzieliśmy. Ale to też nie było takie proste, bo Niemcy się zorientowali, że coś się w kanałach dzieje. Kiedy getto zaczęło płonąć, ludzie próbowali uciekać kanałami. Niemcy do nich strzelali. Dlatego co jakiś czas przepływały koło nas trupy. Wrzucali też bomby



Fot. www.sprawiedliwi.org.pl

► Krystyna Budnicka z Ireną Sendlerową – Sprawiedliwą wśród Narodów Świata; fotografia wykonana ok. 2000 roku

gazowe i musieliśmy stale wędrować. Najpierw do naszego bunkra, tam gorąco, no to do kanału, w kanale gaz, więc czekaliśmy, aż gaz opadnie. Używaliśmy szmat z wodą, bo oczywiście żadnych masek gazowych nie było, nie byliśmy na to przygotowani. I tak to trwało, aż ostygły mury. I dopóki nie wrócili moi bracia, bo poszli do powstania, które wybuchło w getcie w kwietniu.

Państwo byli w bunkrze sami?

Nie, oprócz mojej najbliższej rodziny byli jeszcze bratowa i kilkanaście innych osób. To było zresztą dobrze pomyślane, mieliśmy zapasy jedzenia w specjalnym sąsiednim pomieszczeniu. Sądziłyśmy, że spiżarnia będzie bardzo bezpieczna, bo miała żelbetowy strop. Ale pierwszego dnia sufit się zawalił i prawie wszystko straciliśmy. Zostały tylko dwa worki owsa. Dziełiliśmy je potem na małe porcyjki, żeby wytrwać. Owies gotowaliśmy, bo w bunkrze były bieżąca woda i prąd. Mieliliśmy też jakąś wentylację, wyprowadzoną na zewnątrz, ale nie było okien, więc nie widzieliśmy światła dziennego. Nasze grono uszczuplało się – kilka osób nie wytrzymało i wyszło; nie wiem, co się z nimi stało. Był lekarz z żoną – dobrze pamiętam, jak pewnego razu powiedział: „Pierwszy raz mój zegarek stanął, koniec mojego życia, ja wychodzę”. W tym czasie dwóch moich braci już nie żyło. Zostali złapani i wywiezieni do Trebłinki. Obaj byli z żonami, a jeden również z dwójką dzieci, dziewczynką i chłopczykiem.



► Ulica warszawskiego getta – zanim głód i nędza stały się nieznośne, ludzie starali się stworzyć namiastkę normalnego życia

Fot. MPW

Jak wydostali się Państwo z ukrycia?

Groziła nam śmierć głodowa, musieliśmy coś zrobić. Miałam wtedy jedenaście lat i z moim najmłodszym, dwunastoletnim bratem zaczęliśmy penetrować kanały, nasłuchiwać i szukać miejsca, przez które można by wyjść. Którejś nocy wyszły na zewnątrz dwie młode dziewczyny i udało im się nawiązać kontakt ze stroną „aryjską”. Właz, którym wyszły, stał się włazem kontaktowym – umówiliśmy się, że tam będą zostawiane karteczki z wiadomościami. Niestety stało się tak, że kiedy przyszedł do nas łącznik i przyniósł jedzenie, mój brat Rafał coś zjadł – i zaszkodziło mu. Trzeba go było szybko stamtąd zabrać, potrzebował pomocy lekarskiej. Poszła wiadomość i został wyciągnięty na zewnątrz. A Rafał, choć nie był najstarszy, pełnił wśród nas funkcję komendanta, dowódcy całego tego tonącego okrętu. Był bardzo mądry, rozsądny. Teraz musieliśmy radzić sobie bez niego, a sytuacja dodatkowo się komplikowała. Nasz bunkier został nakryty – Niemcy zastrzelili dwóch moich braci i jednego mężczyznę, który poszedł z nimi na krótki zwiad, bo koło bunkra zrobił się jakiś hałas. Było jasne, że to już nie jest bezpieczne miejsce. Naszym przewodnikiem został Jehuda, mój trzynastoletni brat, który na szczęście chodził ze starszymi braćmi po kanałach i wiedział, gdzie jest właz kontaktowy. Podprowadził nas tam, podaliśmy kartkę z wiadomością, że od dwóch dni stoimy w wodzie, bez jedzenia i czekamy na pomoc.

Przyszła?

Tak, ale okazało się, że właz jest zalutowany. Prawdopodobnie Niemcy zorientowali się, że jest koło niego ruch. Musieliśmy iść do następnego włazu. Ale wtedy stała się następną



Fot. D. Kwiek

► Ulica Zamenhofa – przy niej znajdował się bunkier, w którym przebywała Krystyna Budnicka; w oddali widoczny Błękitny Wieżowiec wzniesiony na gruzach Wielkiej Synagogi

tragedia. Ciągłe towarzyszyło nam to ubywanie... Moi rodzice nie mieli już siły się podnieść, żeby stanąć i ruszyć. Ten czas pod ziemią wyczerpał ich całkowicie. Jak na owe czasy byli starszymi ludźmi – tato miał sześćdziesiąt kilka lat, mama ponad pięćdziesiąt. Moja dwudziestoczteroletnia siostra postanowiła zostać z nimi. Liczyła, że ktoś przyjdzie i ich wyciągnie. Poza tym ciągle wierzyliśmy w mit wszechmocy mojego brata Rafała – że on na pewno coś zorganizuje. Niestety, okazało się później, że do tamtego kanału już nikt nie przyszedł i oni tam zostali. Nie sądziłam, że widzę rodziców i siostrę ostatni raz.

Jak udało się znaleźć drugi właz?

Prowadził nas mój mały brat, ale to była bardzo skomplikowana sytuacja. Trafiliśmy na skrzyżowanie kanałów. My szliśmy mniejszym, a ten drugi

był duży – burzowy, o bardzo silnym prądzie. Właz, do którego zmierzaliśmy, znajdował się po lewej stronie, a prąd wody pchał w przeciwnym kierunku. I kiedy brat postawił nogę, żeby skrócić i pójść w stronę włazu, porwał go. Zostaliśmy w ciemności, ustawieni gęsiego. To była groza, bo ciemno i nie wiemy, co robić. Na szczęście po kilku sekundach zapaliło się światelko i słyszymy: „Ja żyję, ja żyję”. Wtedy on już poszedł prosto, nie musiał skręcać, dotarł pod właz i powiedział ludziom, którzy tam czekali na górze: „Musicie zejść po nich na dół, bo nie dadzą sobie rady”. Wyciągnęli nas, ale na górze była bardzo nerwowa sytuacja, bo czekali ludzie, którzy liczyli, że zobaczą swoich bliskich. Na nas czekał brat Rafał. Był bardzo chory. Dowiedział się, że rodzice zostali. Rozplakał się, był bezsilny. Prosił tych ludzi, żeby pomogli. Oni mówili: „Zorganizujemy [pomoc]”. Ale nie wiem, czy nie zorganizowali, czy było już za późno. W Żydowskim Instytucie Historycznym znalazłam po latach relację kobiety,



Fot. MPW



► Ruiny Wielkiej Synagogi przy ul. Tłomackie w Warszawie, wysadzonej przez Jürgena Stroopa 16 maja 1943 roku

która opisuje tamtą sytuację. Jest tam takie bardzo charakterystyczne zdanie: „Był 17 września [1943 roku], kiedy doszła do nas wiadomość, że w getcie, gdzie już podobno żywej duszy nie było, jest jeszcze w gruzach kilka osób i kilka rodzin – i nasza cała uwaga została skierowana na pomoc udzielaną tym ludziom”.

Co działo się potem z Panią i Pani dwoma braćmi?

Niewiele pamiętam z tamtego czasu, byłam wtedy w bardzo złym stanie – dosłownie na granicy życia i śmierci. W ogóle to pół roku po powstaniu w getcie było jak letarg. No i dwa tygodnie po wyjściu na powierzchnię zmarł mój młodszy brat – ten, który się topił w kanale – śmiercią naturalną, można powiedzieć, prawdopodobnie wdało się zakażenie krwi, sepsa lub coś takiego.

Kto się wtedy Państwem zajmował?

Różni ludzie, nie potrafię wskazać z nazwisk, ale była to organizacja żydowska i Żegota. Zawsze ktoś przychodził, przewozili nas w różne miejsca. W workach nas przewozili, jak towar, bo myśmy nie wyglądali jak ludzie. Nie byliśmy wtedy w ogóle przystosowani do pokazania się, wyglądaliśmy jak takie kościotrupy z Auschwitz, które się nieraz pokazuje na zdjęciach. A potem – to był już ’44 rok, styczeń albo luty – straciłam jeszcze mojego brata Rafała, ostatniego z rodziny. Zginął w al. Szucha. Wydał go człowiek, który okazał

się konfidentem niemieckim. Jego ojciec pomagał Rafałowi, przynosił mu żywność. No i ten człowiek, wydając mojego brata, wydał też w konsekwencji swojego ojca.

Rok 1944 przyniósł kolejny kataklizm. Gdzie zastała Pani Powstanie Warszawskie?

Mieszkałam na Powiślu. To była ul. Dobra, prawie na rogu Tamki. Pamiętam euforię powstaniową! Została zajęta elektrownia, były biało-czerwone sztandary i radość, że zwyciężamy. Była fabryka Fuchsa, która produkowała cukierki – powstańcy tam wpadli, wyciągali te cukierki, rozdawali dzieciom.

6 września 1944 roku wychodziłam z Warszawy razem ze wszystkimi z okolicy. I tak sobie pomyślałam: nie widziałam płonącego getta, jedynie je czułam, ale widziałam płonąca Warszawę. Pędzili nas z Powiśla na Wolę, potem do Pruszkowa. Byłam w grupie dzieci – z Powiśla z Ordynackiej wychodził dom dziecka. Okazało się, że na osiemnaście dziewczynek było pięć Żydówek. Tylko jedna o drugiej nic nie wiedziała, dopiero po wojnie sobie o tym pogadałyśmy. Była taka jedna dziewczynka, która mówiła mi: „Boże, jak ja się o ciebie bałam! Bo ty byłaś tak bardzo żydowska, tak okropnie wyglądałaś”. Bo to przecież jeszcze była wojna – od września do 17 stycznia [tego dnia do zniszczonej Warszawy weszła Armia Czerwona – przyp. red.]. Nie było już



► Kładka przy ul. Chłodnej, łącząca „małe getto” (pl. Grzybowski i okolice) z „dużym gettem” na Muranowie

Fot. MPW

Fot. D. Kwiek



► Usytuowane w centrum dawnego „dużego getta” Muzeum Historii Żydów Polskich, otwarte w 2013 roku

wtedy nikogo z mojej najbliższej rodziny, poza bratową. Jak się zaczęła wojna – była duża rodzina; skończyła się wojna – byłam tylko ja. Padło na mnie, najślabszą, najbardziej bezbronną, najgłupszą, ja nie mam żadnych zasług, właściwie nic nie robiłam, żeby żyć. Ktoś za mnie decydował, ktoś chodził za mną. Ja nie walczyłam ani o jedzenie, ani o życie, ani o nic. A na mnie to padło.

Napisała Pani później, że kiedy kończyła się wojna, była Pani „dorosłym, trzynastoletnim człowiekiem”.

Tak, dojrzewanie przebiegło bardzo szybko. Ja się nie bawiłam, nie uprawiałam żadnych sportów. Byłam poważna, miałam dużo do nadrobienia, przecież nie chodziłam do szkoły, przez pięć lat wojny nie miałam żadnej edukacji, więc musiałam się uczyć, czytać książki. Jak pisałam, że byłam dorosła, miałam na myśli to, że nie był mi dostępny świat dzieciństwa i nawet wczesnej młodości. Były szkoła, matura i studia. Wybierając studia, uważałam, że mam coś do zwrócenia, chciałam pracować z biednymi dziećmi, z sierotami, najchętniej w domu dziecka. Ale to okazało się niemożliwe. Próbowałam też dostać się do milicyjnej izby dziecka, pomyślałam, że fajnie byłoby pracować z dziećmi, takimi zbieranymi z ulicy, ale tam też mnie nie przyjęli. Prawdopodobnie chodziło o to, że miałam na sumieniu dwa „grzechy”: byłam Żydówką i studiowałam na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. A to było niedługo po śmierci Stalina.



Fot. www.sprawiedliwi.org.pl

► Dwunastoletnia Krystyna Budnicka



Fot. D. Kwiek

► Muzeum Historii Żydów Polskich sąsiaduje z pomnikiem Bohaterów Getta, odsłoniętym w 1948 roku

Na KUL skończyłam pedagogikę specjalną dla dzieci upośledzonych i później trzydzieści lat pracowałam z dziećmi specjalnej troski – niepełnosprawnymi intelektualnie i sierotami. Po tym czasie poszłam na emeryturę.

Dziś rozmawiamy w Pani mieszkaniu przy ul. Przechodniej. Mieszka Pani na terenie dawnego getta i ogląda Warszawę z góry.

Tu jest takie bardzo charakterystyczne miejsce, proszę zobaczyć przez okno – ta wysoka kościelna wieża. To kościół [Wszystkich Świętych], który był w getcie i jako jedyny ocalał. Na zdjęciach z '44 roku widać w tym miejscu morze gruzów i tylko tę jedną wieżę, bo to był punkt obserwacyjny dla Niemców. Mieli z niej widok na całe getto i dlatego nigdy nie została zburzona.

Ma Pani z okna widok – w symbolicznym sensie – na miasto swojego dzieciństwa...

Nie dałoby się żyć, ciągle myśląc, co się tutaj działo. Traktuję ten widok jako zupełnie już inne miejsce.

A jaki ma Pani stosunek do Warszawy, biorąc pod uwagę swoje doświadczenia i to, że dwa totalitaryzmy tak mocno odcisnęły się na jej kształcie? Tu prawie nic nie wygląda tak, jak wyglądało w Pani dawnym świecie.

Kocham Warszawę, to jest mimo wszystko moje miejsce na ziemi. Nie zamieniłabym jej na żadne miejsce na świecie. Miałam różne propozycje i pytania: „Jak ty możesz żyć na cmentarzu?”. Ale ja jestem bardzo związana z Warszawą, przez całe życie. Ile razy wyjeżdżałam – a były ciężkie czasy – po powrocie chodziłam po bruku i czułam: „To jest moje, to jest moje, jestem u siebie”. Nie mam niestety żadnego grobu swoich bliskich. Ale ostatnio przeżyłam wielką radość: znalazłam nie tak dawno grób dziadka i babci na cmentarzu żydowskim przy Okopowej. Było wielkie święto. To jest dla mnie bardzo ważne. Raz, że to są moi przodkowie, że to są korzenie – oni jeszcze w XIX wieku i na początku XX tu żyli – a dwa, że to miejsce, gdzie na pewno w czasie pogrzebu dziadków stali moi rodzice. Jedyny tylko ten kawałek ziemi jest pewny. 🍀

Władysław Grabski – sam przeciw milionom

Wojciech Morawski

W 1923 roku inflacja w Polsce sięgnęła 36 tys. proc. Katastrofę gospodarczą miał zatrzymać Władysław Grabski.

Inflacja to jeden z nieuniknionych skutków każdej wojny. Tuż po I wojnie światowej większość państw europejskich zmagala się z zaburzeniami gospodarki i finansów. W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się Polska. W grudniu 1919 roku na czele Ministerstwa Skarbu Rzeczypospolitej stanął Władysław Grabski, poseł na Sejm Ustawodawczy z listy Związku Ludowo-Narodowego. Nie była to nominacja przypadkowa – nieco wcześniej Grabski zorganizował Główny Urząd Likwidacyjny, którego zadaniem było uregulowanie zobowiązań finansowych z czasów wojny. Prezesem GUL pozostał do 1922 roku, a z racji sprawowania tego urzędu wszedł w skład polskiej delegacji na konferencję pokojową w Paryżu.

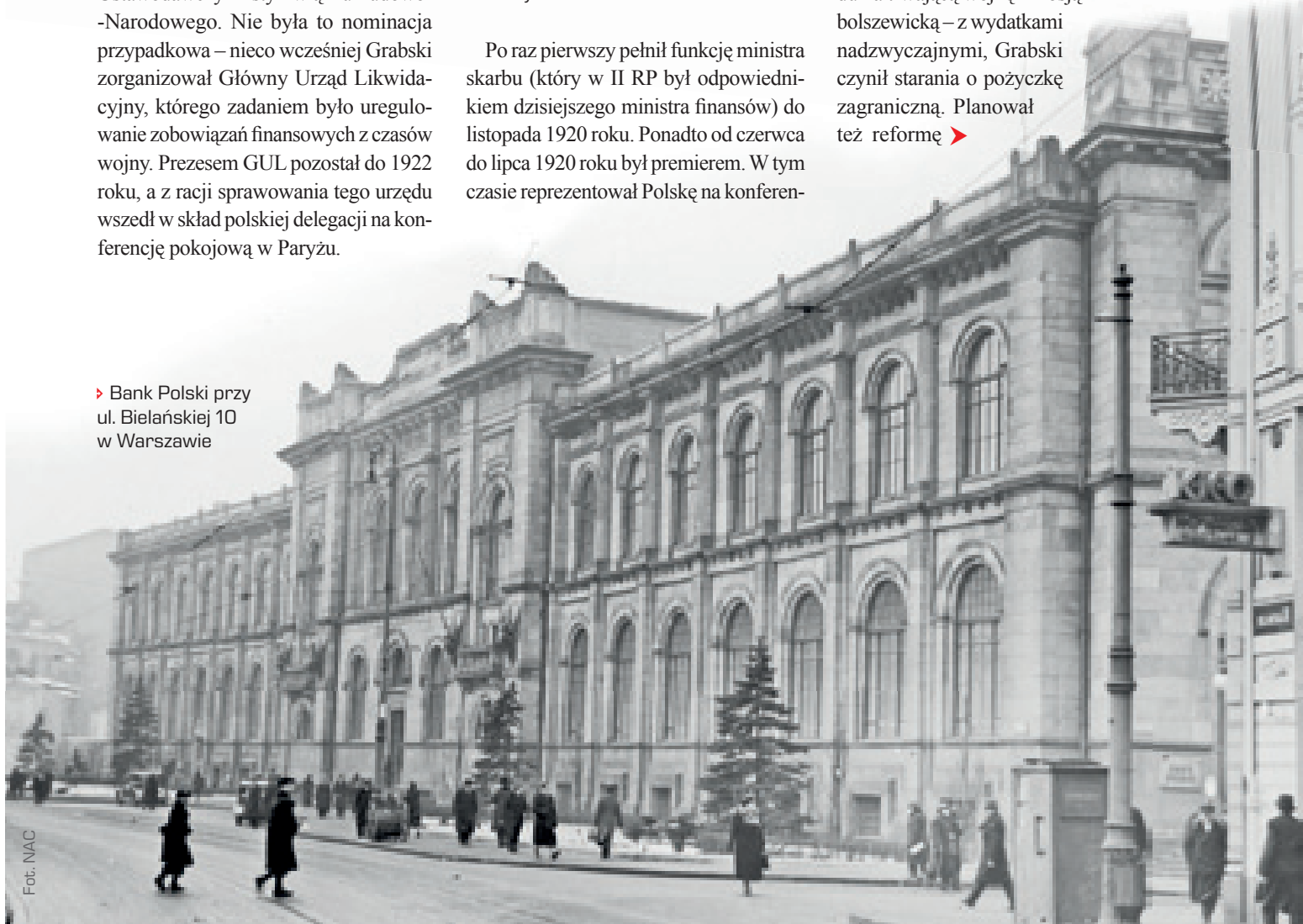
► Bank Polski przy ul. Bielańskiej 10 w Warszawie



► Władysław Grabski (1874–1938)

Po raz pierwszy pełnił funkcję ministra skarbu (który w II RP był odpowiednikiem dzisiejszego ministra finansów) do listopada 1920 roku. Ponadto od czerwca do lipca 1920 roku był premierem. W tym czasie reprezentował Polskę na konferen-

cji w Spa. Za czasów swojej pierwszej kadencji na Rymarskiej (tak nazywano – od ulicy, przy której się mieściło – w okresie międzywojennym Ministerstwo Skarbu) Grabski próbował uporządkować gospodarkę budżetową przez podział zarówno dochodów, jak i wydatków na zwyczajne i nadzwyczajne. Zwyczajne wydatki miały być pokrywane zwyczajnymi dochodami (podatkami, dochodami z przedsiębiorstw państwowych i monopoli). Wydatki nadzwyczajne natomiast, jako przejściowe, miały być pokrywane nadzwyczajnymi dochodami (pożyczkami wewnętrznymi i zagranicznymi). Licząc się – ze względu na trwającą wojnę z Rosją bolszewicką – z wydatkami nadzwyczajnymi, Grabski czynił starania o pożyczkę zagraniczną. Planował też reformę ►





Fot. ze zbiorów M. Foksa

walutową – w jej realizacji miały pomóc pożyczka amerykańska i dochody z eksportu drewna. Wojna przekreśliła jednak wszelkie próby stabilizacji. W lipcu 1920 roku Rada Obrony Państwa wyłączyła wydatki wojskowe z normalnej gospodarki budżetowej. Trudno zresztą czynić z tego zarzut. Trwała wojna i przede wszystkim nie wolno było jej przegrać.

Dругie podejście

Ponownie urząd ministra skarbu – w rządzie Władysława Sikorskiego – Grabski objął w styczniu 1923 roku. Tym razem planował rozłożenie stabilizacji na trzy lata. Widział konieczność przeprowadzenia dwóch reform: skarbowej i walutowej. Ponieważ źródłem inflacji był deficyt budżetowy, najpierw należało przeprowadzić pierwszą z nich, usuwając przyczynę, następnie drugą, niwelując skutki. Równowagę budżetową zamie-

rzał osiągnąć przez zmniejszenie wydatków – głównie wojskowych – oraz likwidację dotacji dla kolei. W pierwszych latach niepodległości państwo celowo utrzymywało taryfy kolejowe na niskim poziomie, traktując to jako pomoc w odbudowie gospodarczej kraju. Teraz taryfy miały wzrosnąć tak, by kolej nie wymagała dotacji. Przede wszystkim jednak Grabski zamierzał zwiększyć dochody przez waloryzację podatków. Dotychczas podatki były naliczane, a następnie płacone, według wartości nominalnej, co w warunkach inflacji zachęcało do opóźniania wpłat i powodowało, że budżet uzyskiwał zawsze realnie mniej, niż zakładano. Teraz podatki miały być liczone według złotego miernika, opartego na indeksie cen hurtowych. W praktyce zaczęto je liczyć we frankach szwajcarskich, co, przy okazji, przesądzało o parytecie przyszłej polskiej waluty. Sejm uchwalił ustawę w takim kształcie dopiero w grudniu 1923 roku. Reformę skarbową Grabski zaplanował na trzy lata, przewidując, że w tym czasie budżet będzie w niewielkim i ciągle malejącym stopniu wspomagany inflacyjną emisją pieniądza. W większości deficyty miały być pokrywane przez pożyczki zagraniczne oraz nadzwyczajny podatek

► Marka polska – waluta odziedziczona po niemieckiej okupacji z czasów I wojny światowej; obowiązywała w Królestwie Polskim od grudnia 1916 roku, a w latach 1920–1924 (do reformy Grabskiego) – na terenie całej II RP

majątkowy, z którego w ciągu trzech lat Grabski planował uzyskać 600 mln przyszytych złotych. Reforma walutowa miała nastąpić dopiero po zrównoważeniu budżetu. W czerwcu 1923 roku, kiedy to sejm przewlekał uchwalenie przedłożonych przez ministra skarbu projektów ustaw, a Grabski zorientował się, że nie może w tej sprawie liczyć na zdecydowane wsparcie następcy Sikorskiego – premiera Wincentego Witosa – postanowił podać się do dymisji.

Moskalini tnie wydatki

W ciągu następnego półrocza Polska stopniowo pogrążyła się w hiperinflacji: w tym czasie ceny wzrosły 286-krotnie. W tych warunkach właściwie nie mógł działać system kredytowy, szczególnie niezbędny dla rozwoju gospodarki w okresie powojennym – oprocentowanie kredytów w Polskiej Krajowej Kasie Pożyczkowej (banku emisyjnym) wyniosło 72 proc., a w innych bankach sięgało nawet kilkuset. W tej sytuacji w grudniu 1923 roku, po upadku rządu Chjeno-Piasta (koalicji endecji i chadecji z PSL „Piast”), powstał gabinet z Władysławem Grabskim na czele. Był to rząd pozaparlamentarny, tzn. nie utworzony na podstawie stałej koalicji sejmowej. Grabski, poza funkcją premiera, objął w nim również tekę ministra skarbu.

W stosunku do planów z początku 1923 roku Grabski zmienił poglądy w sprawie kolejności działań. W tym momencie, w obliczu hiperinflacji, obie reformy – skarbową i walutową – trzeba było przeprowadzić równocześnie. Poprzednio też Grabski zakładał trzyletni okres stopniowego równoważenia gospodarki. W nowej sytuacji brakowało jednak na to czasu. Trzeba było działać natychmiast. W głosowaniu rząd poparły prawica i centrum (194 głosy), przeciw były mniejszości narodowe, komuniści i Chłopskie Stronnictwo Radykalne (76 głosów). Większość lewicy (174 posłów) wstrzymała się od głosu. Sejm na pół roku udzielił również rządowi pełnomocnictw do wydawania dekretów z mocą ustawy.

Reforma skarbową mogła zostać oparta na dwóch ustawach: o podatku mająt-

► Banknot o nominale 10 mln marek (u góry) – rezultat szalejącej hiperinflacji; emisja biletów zdawkowych była wstępem do reformy walutowej



kowym z sierpnia i o waloryzacji podatków z grudnia 1923 roku. Już w styczniu 1924 roku ukazało się kilka rozporządzeń przyspieszających spłatę podatków. W kolejnych miesiącach podwyższono niektóre podatki bezpośrednie i wprowadzono nowy podatek od nieruchomości. Podwyższono też podatek od dochodów z pracy najemnej. Rząd zamierzał sprzedać część majątku państwowego. Planowano też zorganizowanie nowych monopolii fiskalnych: spirytusowego, solnego i zapalczanego – obok istniejących wcześniej: loteryjnego, tytoniowego i eksploatacji gazu ziemnego. Monopole traktowano jako ewentualną gwarancję przyszłych pożyczek zagranicznych. Zmiany systemu podatkowego przynosiły – jako efekt uboczny, ale istotny – ujednoczenie podatków w skali całego kraju, czyli likwidację odziedziczonych po zaborcach odrębności i wyrównanie kosztów produkcji.

Drugą stroną reformy miała być redukcja wydatków. Najważniejszą rolę miała w niej odegrać wspomniana podwyżka taryf kolejowych. Redukcją wydatków administracyjnych miał kierować nadzwyczajny komisarz oszczędnościowy Stanisław Moskałewski, który cięcia wydatków zaczął od zwolnienia w krótkim czasie 29 tys. pracowników państwowych. Rychło został obdarzony przez wystraszonych urzędników przezwiskiem „Moskaliński”.

Złoty za markę

Równoległe do reformy skarbowej toczyły się prace nad reformą walutową. Pierwszym zadaniem było ustabilizowanie marki polskiej. W grudniu 1923 roku, kiedy Grabski obejmował urząd, szalała hiperinflacja. Na polecenie Grabskiego PKKP w styczniu 1924 roku podjęła interwencję giełdową, czyli skup marek polskich za obce waluty, żeby zrównoważyć podaż z popytem. Rząd przeznaczył na ten cel 2,5 mln dolarów. Dzięki temu udało się ustabilizować kurs marki na poziomie nieco przewyż-

szającym 9 mln marek za dolara (jeszcze w 1922 roku wynosił on 17 800 marek za dolara, a w 1919 – 110). Był to przełom psychologiczny, gdyż widząc wyraźne zahamowanie inflacji, znaczna część społeczeństwa u wierzyła w skuteczność stabilizacji. W tej sytuacji ludzie, którzy tezauryzowali (przechowywali) swe zasoby w obcych walutach, zaczęli je teraz odsprzedawać PKKP. Dzięki temu kasę było stać nie tylko na dalszą interwencję giełdową, lecz także na stopniową odbudowę zasobów dewizowych. Do wzrostu zaufania przyczyniła się też znaczna liberalizacja przepisów dewizowych. Sukces został utrwalony przez deklarację rządu zapowiadającą rezygnację z emisji marek na cele skarbowe od 1 lutego 1924 roku. Inaczej mówiąc – rząd zobowiązał się, że nie będzie więcej zwracał się do PKKP o dodrukowanie marek na potrzeby budżetu. Dodatkowa emisja miała być przeznaczana wyłącznie na potrzeby gospodarki. W marcu zrezygnowano i z tego,

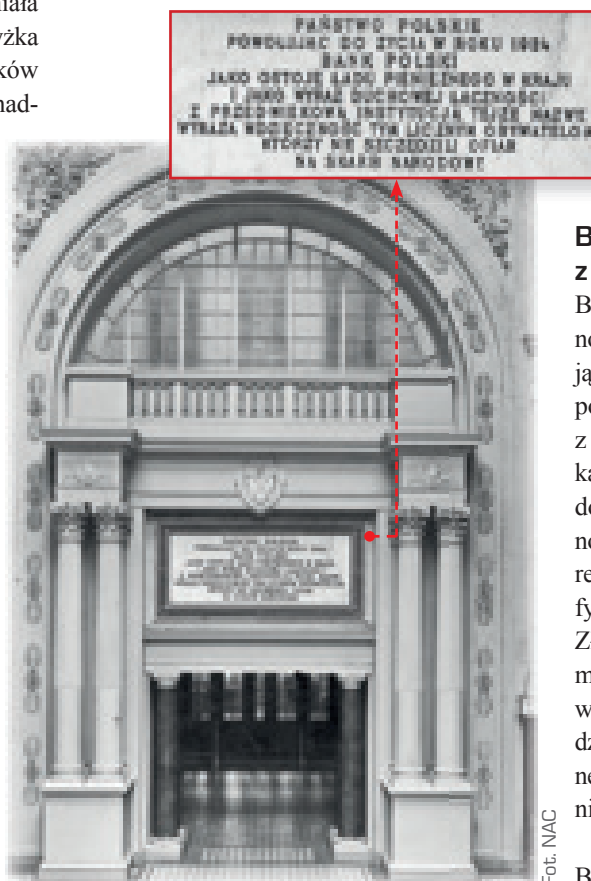
dzięki czemu w kwietniu 1924 roku emisja – po raz pierwszy od 1918 roku – była mniejsza niż w poprzednim miesiącu.

Wszystko to było elementem przygotowań do wprowadzenia nowej waluty – złotego. W skarbcu PKKP czekały na wprowadzenie do obiegu banknoty nominowane w złotych, zamówione jeszcze w 1919 roku. Zgodnie z ustawą z lutego 1919 roku przyszły polski bank centralny miał nosić nazwę Bank Polski i ta właśnie instytucja była emitentem przygotowanych banknotów. Teraz należało nadać jej realny kształt. W styczniu 1924 roku utworzono pięcioosobowy Komitet Organizacyjny Banku Polskiego ze Stanisławem Karpińskim na czele. Zgodnie z zaleceniami konferencji genueńskiej z 1922 roku postanowiono utworzyć bank centralny w formie spółki akcyjnej, aby w ten sposób zapewnić mu niezależność od władz politycznych. W marcu 1924 roku rozpoczęto subskrypcję akcji Banku Polskiego, w której wyniku milion stu złotych akcji znalazł się w rękach 176 tys. akcjonariuszy. Akcje były bardzo rozproszone – 150 tys. akcjonariuszy miało tylko po jednej akcji lub po dwie.

Banknoty z prywatnego banku

Bank Polski rozpoczął działalność 28 kwietnia 1924 roku. Podjął emisję nowej waluty – złotego polskiego, który został zrównany z frankiem szwajcarskim. Wyniakał z tego kurs 5,18 zł za jednego dolara. Marki polskie wymieniono na złote w relacji 1,8 mln marek za jednego złotego. Ich wycofywanie trwało do lipca 1924 roku. Złoty miał być emitowany w systemie Gold Exchange Standard, tzn. w skład jego pokrycia miały wchodzić złoto i waluty obce wymienialne na złoto. Pokrycie nie mogło być niższe niż 30 proc.

Rząd nie mógł zwracać się do Banku Polskiego o dodatkową emisję w przypadku pojawienia się znowu deficytu budżetowego. Mógł



► Wejście do głównej sali Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej 10 w Warszawie

Fot. NAC

sobie jednak radzić inaczej. Obok banknotów Banku Polskiego w obiegu miał się znajdować bilon, którego emisję pozostawiono w rękach Ministerstwa Skarbu. Ustawowo ograniczono jej rozmiary do 9,5 zł na osobę. Później podwyższono ten limit do 12 zł. Rząd miał też prawo emitować bilety skarbowe (zdawkowe), zastępujące bilon, do sumy 150 mln zł.

Ważnym elementem reform Grabskiego była też konsolidacja bankowości państwowej. Grabski miał liberalne poglądy i nie uważał za wskazane rozbudowywania sektora państwowego w gospodarce. Nieco inaczej widział tę sprawę w bankowości. Uważał, że bankowość prywatna powinna sobie poradzić z zaspokojeniem potrzeb gospodarki w zakresie kredytu krótkoterminowego, ale w dziedzinie odbudowy po latach inflacji kredytu długoterminowego niezbędna będzie aktywność państwa. Grabski odziedziczył po poprzednikach kilka osłabionych przez inflację państwowych banków, które teraz wzmocnił i zreorganizował. Sektor państwowy miał się odtąd składać z trzech instytucji: założonych w 1919 roku Państwowego Banku Rolnego i Pocztowej Kasy Oszczędności oraz Banku Gospodarstwa Krajowego, utworzonego przez Grabskiego w maju 1924 roku z połączenia trzech mniejszych banków galicyjskich.

Reformy Grabskiego wpisywały się w szerszy proces powojennych stabilizacji walutowych w Europie. W listopadzie 1923 roku komisarz walutowy Rzeszy Hjalmar Schacht wprowadził w Niemczech nową walutę – rentenmarkę, co zakończyło hiperinflację w Niemczech. W październiku 1923 roku wprowadzono w Wolnym Mieście Gdańsku guldena. Stabilizacja austriacka, dzieło kancлера Ignaza Seipela, dokonała się w 1922 roku. Wówczas utworzono Österreichische Nationalbank, ale dopiero w grud-

niu 1924 roku wprowadzono nową walutę – szylinga. Na Węgrzech program stabilizacyjny Istvána Bethlena przyniósł efekty w marcu 1924 roku. Powstał wówczas Magyar Nemzeti Bank, ale dopiero w listopadzie 1925 roku wprowadzono nową walutę, pengő.

Sukces Grabskiego stawiał go wśród wymienionych reformatorów, pamiętać jednak należy, że wszystkie pozostałe stabilizacje odbyły się dzięki pomocy międzynarodowej. Tylko stabilizacja polska oparta była wyłącznie na zasobach wewnętrznych. Było w tym

realny i zaczynają się mnożyć bankrutstwa. Właśnie dlatego ci, którzy wyprawiali swoje kraje z inflacji, nie byli potem ulubieńcami opinii publicznej. Częściej odsądzeni byli od czci i wiary. W atakach na Grabskiego przodowało PSL „Piast”, którego działacze używali określenia „grabszczyzna” jako najgorszego wyzwiska.

Mimo braku trwałego zaplecza politycznego w sejmie i zagrożeń gospodarczych po udanych reformach stabilizacyjnych, Grabski miał w 1924 roku autorytet, jakim nie cieszył się żaden z dotychczasowych premierów. Umożliwiało to zajęcie się zasadniczymi sprawami, odkładanymi dotychczas na później pod wpływem bieżących problemów. Dlatego rząd Grabskiego, poza dokonaniami w sferze gospodarczej, upamiętnił się uregulowaniem spraw narodowościowych i wyznaniowych. Podpisano konkordat ze Stolicą



Fot. ze zbiorów M. Foksa

▶ Złoty polski – waluta wprowadzona dzięki reformie Władysława Grabskiego

coś z czynienia cnoty z konieczności. W ówczesnej sytuacji politycznej Polska mogła dostać pożyczkę zagraniczną na stabilizację jedynie pod warunkiem uelastycznienia stanowiska w sprawie rewizji granicy zachodniej na korzyść Niemiec. Jeśli chcieliśmy uniknąć rozmów na temat rewizji granic, nie należało w tym momencie prosić o pomoc finansową.

Grabszczyzna to nie komplement

Za stabilizację waluty Polska płaciła przejściowym pogorszeniem koniunktury i wzrostem bezrobocia. Był to typowy kryzys postabilizacyjny, którego nie uniknął żaden kraj wychodzący z inflacji. W chwili wychodzenia z inflacji kończą się nadzwyczajne ułatwienia, np. eksportowe. Nagle na wszystko zaczyna brakować pieniędzy, ciężar długów staje się

Apostolską. Rząd doprowadził do ugody z Ukraińcami, Cerkwią prawosławną i środowiskami żydowskimi. Ważnym elementem stabilizującym sytuację na Kresach Wschodnich było utworzenie Korpusu Ochrony Pogranicza. W grudniu 1925 roku – już po dymisji Grabskiego – udało się wreszcie uchwalić kompromisową ustawę w sprawie reformy rolnej. Koncentrując się na reformach stabilizacyjnych Grabskiego, często zapominamy o innych dokonaniach jego rządu, z których każdy z osobna mógł stanowić tytuł do chwały.

Po zamachu majowym Józefa Piłsudskiego Grabski ostatecznie odsunął się od polityki i poświęcił pracy naukowej. Od 1923 roku był profesorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W latach 1926–1928 był rektorem tej uczelni. 🌸

prof. dr hab. Wojciech Morawski – historyk, kierownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie



Okłamany mściciel Katynia

Maciej Żuczkowski

Kłamstwo katyńskie słusznie bywa nazywane kłamstwem założycielskim Polski Ludowej. W czasie wojny Sowieci intensywnie rozpowszechniali informację o tym, jakoby to nie oni, lecz Niemcy zamordowali polskich jeńców. Taką kampanię propagandową prowadzono zarówno na arenie międzynarodowej, jak i w zależnej od ZSRR armii gen. Berlinga. Powstała tam nawet jednostka, której nazwa odnosiła się do Katynia.

„Oszczercy goebbelsowscy rozpowszechniają od ostatnich dwóch, trzech dni wymysły o masowym rozstrzelaniu przez organy sowieckie w rejonie Smoleńska polskich oficerów, co jakoby miało miejsce wiosną 1940 roku. Niemieckie zbiry faszystowskie nie cofają się w tej swojej nowej potwornej bredni przed najbardziej łajdackim i podłym kłamstwem, za pomocą którego usiłują ukryć niesłychane zbrodnie, popełnione,

jak to widać teraz jasno, przez nich samych” – tak rozpoczynał się radiowy komunikat Sowieckiego Biura Informacji ogłoszony wieczorem 15 kwietnia 1943 roku w odpowiedzi na opublikowany dwa dni wcześniej komunikat berlińskiego radia, który mówił o odkryciu masowych grobów polskich oficerów w lesie katyńskim. Tekst zredagowany przez Andrieja Wyszyńskiego, poprawiony przez Wiaczesława Mołotowa, a zatwierdzony przez samego Józefa Stalina wyznaczył

► Wycinek z ubiegłorocznego wydania lokalnej gazety w Niżnym Nowogrodzie; na zdjęciu: Anatol Łarin z żoną

początek sowieckiej ofensywy propagandowej w sprawie Zbrodni Katyńskiej. Komunikat ten był dokumentem założycielskim jednego z największych kłamstw dwudziestowiecznej Europy – kłamstwa katyńskiego.

Kiedy 17 kwietnia 1943 roku emigracyjny rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie prawdziwości niemieckich informacji, spotkał się z bezpardonowym atakiem. Polskie władze nazwano współnikami Hitlera, a następnie rząd sowiecki formalnie przerwał, a faktycznie jednostronnie zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem.

W kolejnych miesiącach w sowieckiej propagandzie na temat Zbrodni Katyńskiej nie pojawiły się już nowe elementy. Skoncentrowano się na preparowaniu „dowodów” niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnię. ►

Propagandowe śledztwo

Przeprowadzenie sowieckiego „śledztwa” podważającego niemieckie ustalenia odnośnie do odpowiedzialności za Zbrodnię Katyńską stało się możliwe pod koniec września 1943 roku, wraz z ponownym zajęciem przez Armię Czerwoną lasu katyńskiego. Zanim jednak na miejsce zbrodni skierowano oficjalną komisję ekspercką, działania w lesie katyńskim rozpoczęły sowieckie służby specjalne. Pod kierownictwem pierwszego zastępcy ludowego komisarza (wiceministra) spraw wewnętrznych Siergieja Krugłowa oraz ludowego komisarza bezpieczeństwa państwowego Wsiewołoda Mierkułowa (ten ostatni wiosną 1940 roku był jednym z trzech członków NKWD odpowiedzialnych za zorganizowanie Zbrodni Katyńskiej) sfabrykowano i podrzucono do grobów dokumenty mające świadczyć o tym, że polscy oficerowie jesienią 1940 roku i wiosną 1941 roku wciąż żyli. Zastraszono także świadków zbrodni – rze-

czywistych i fikcyjnych – tak, aby potwierdzili fałszywą, sowiecką wersję wydarzeń. Tych, których nie udało się przekonać do składania fałszywych zeznań – zabito.

Na podstawie spreparowanych dowodów komisji Mierkułowa i Krugłowa wszczęto propagandowe śledztwo. Prowadził je powołany 12 stycznia 1944 roku zespół pod nazwą „Komisja Specjalna do spraw Ustalenia i Zbadania Okoliczności Rozstrzelania przez Niemieckich Najeźdźców Faszystowskich w Lesie Katyńskim (w pobliżu Smoleńska) Jeńców Wojennych – Oficerów Polskich”, kierowany przez członka Akademii Nauk ZSRR Nikołaja Burdenkę. W składzie komisji nie znalazł się żaden niezależny specjalista, który mógłby zadać niewygodne pytania. Na propagandowy cel powołania komisji wskazywała zresztą już sama jej nazwa, w której został przecież wskaza-

ny sprawca zbrodni. Po zaledwie dziesięciu dniach działalności, 22 stycznia 1944 roku, komisja ogłosiła, że w sierpniu i wrześniu 1941 roku Niemcy rozstrzelali w Kozich Górach, czyli części lasu katyńskiego położonej koło stacji kolejowej Gniezdowo, polskich jeńców wojennych. Mieli ich pojmać latem 1941 roku w rejonie na zachód od Smoleńska, gdzie Polacy brali udział w robotach drogowych. Dwa dni później komisja Burdenki opublikowała komunikat podtrzymujący te wnioski. Dokument ten należy uznać za ostatni etap formowania kłamstwa katyńskiego, które w zasadzie w niezmiennym kształcie było podtrzymywane przez ZSRR do 13 kwietnia 1990 roku, kiedy to oficjalna depesza agencji TASS poinformowała o odpowiedzialności NKWD za Zbrodnię Katyńską.

W intencji ofiar... Niemców

Oprócz oficjalnej propagandy, tej na poziomie władz państwowych, prowadzono także akcję propagandową na znacznie niższym szczeblu – wojskowym. Już 30 stycznia 1944 roku w lesie katyńskim odbyła się doniosła uroczystość, której istotnym elementem była msza św. w intencji zamordowanych polskich oficerów. Jednym z jej uczestników, zajmującym podczas liturgii honorowe miejsce, był dowódca 1. DP im. Tadeusza Kościuszki, gen. Zygmunt Berling. Ten przedwojenny podpułkownik, więzień obozu w Starobielsku, był jednym z bardzo nielicznych uwiecznionych przez Sowieców polskich oficerów, którzy ocalili życie za cenę współpracy z NKWD. Pomimo to, a raczej właśnie z tego powodu, wygłosił on wówczas przemówienie idealnie wpisujące się w schemat kłamstwa katyńskiego: „Ci, których pamięci dziś składamy hołd, wpadli w szpony nieubłaganego wroga – Niemców. [...] Groby Polaków pomordowanych przez Niemców krzyczą o zemstę. To my musimy ich pomścić. I pomścimy”. Na zakończenie uroczystości zapadła decyzja o przeprowadzeniu kwesty na rzecz utworzenia jednostki pancerniej, mającej nosić na-

► Dokumenty wojskowe Anatola Łarina





Fot. K. Starczewski

► Anatol Łarin objaśnia działanie SU-76

zwę „Mściciele Katynia”. Zbiórka objęła armię Berlinga, społeczeństwo sowieckie i Armię Czerwoną.

5 lipca 1944 roku gen. Zygmunt Berling wydał rozkaz sformowania I Korpusu Pancernego Wojska Polskiego. Jego dowódcą został Rosjanin polskiego pochodzenia, gen. Józef Kimbar. W skład I Korpusu wchodził m.in. 27. pułk artylerii pancernej, który, według świadectwa Anatola Łarina, był nazywany „Mścicielem Katynia”.

Łarin jest prawdopodobnie ostatnim żyjącym weteranem tej jednostki, a z całą pewnością ostatnim rosyjskim. Na podstawie rozmowy z nim (przeprowadzonej w czerwcu 2013 roku) udało mi się ustalić sporo faktów na temat 27. pułku, jednak ich weryfikacja będzie możliwa dopiero po dotarciu do polskich i rosyjskich dokumentów archiwalnych. Te jednak są na razie niedostępne (polskie z powodu remontu siedziby Centralnego Archiwum Wojskowego).

Polski mundur ładniejszy

Mieszkający dzisiaj w Niżnym Nowogrodzie Anatol Michajłowicz Łarin (ur. 1926) do Armii Czerwonej wstąpił ochotniczo w listopadzie 1943 roku, aby pomścić śmierć ojca. Został skierowany do służby w 15. pułku pancernym we Włodzimierzu, prawdopodobnie od razu do obsługi dział samobieżnego SU-76. Po ponadpółrocznym szkoleniu został skierowany na Front Białoruski. Przez Kobryń i Brześć dotarł do Chełma i dalej w okolice Lublina. Tam też prawdopodobnie na przełomie sierpnia i września 1944 roku zetknął się z prowadzącymi werbunek do Wojska Polskiego Wandą Wasilewską i gen. Michałem Rolą-Żymierskim (przed wojną za oszustwa zdegradowanym do stopnia szeregowego; przesiedział cztery lata w więzieniu, od 1932 roku współpracował z wywiadem sowieckim). Z uwagi na tworzący się I Korpus Pancerny szczególnie poszukiwani byli specjaliści od broni pancernej, a Łarin był takowym. – Popatrzyłem... Spodobał mi się mundur. Mieliśmy takie bluzy wojskowe, do których ciężko przyszywało się kołnierzyki. A oni mieli mundury z dużą ilością kieszeni. My mieliśmy zwykle buty, a oni – z cholewami. Powiedziałem, że chociaż mundur ►

► Żołnierze I Armii WP; na dziale częściowo widoczny napis „Niech żyje Wanda Wasilewska”



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

ponoszę. Oni mieli rogatywkę, a my furazerkę. I takim sposobem dostałem się do Wojska Polskiego – wspomina.

Służba w WP zaczęła się dla Łarina od nieporozumienia: – Pierwszej nocy, kiedy spaliśmy, jakiś Polak krzychał: „Panowie, pobudka!”. Nie znaliśmy polskiego. Zastanawialiśmy się, dlaczego szuka budki. Tam jest budka wartownicza. Przyszedł drugi raz i krzychał: „Panowie, pobudka!”. Nie mieliśmy ochoty wstawać. Przyszedł ponownie: „Panowie, pobudka!”. Nasz starszy sierżant Bobol chwycił go za frak i pogonił. „Tam masz budkę, daj nam spokój!”. Zrobił się szum. Usłyszeliśmy po rosyjsku: „Pobudka, dlaczego nie wstajecie? – Nikt nas nie budził. – Ja was budziłem”. A my myśleliśmy, że szuka budki – opowiada weteran.

Łarin odpowiadał za szkolenie celowniczych SU-76 wchodzących w skład 27. ppanc. Co interesujące, polecono mu, a także innym Rosjanom, mówić, że są Polakami z Syberii, potomkami zesłańców z 1920 roku. Tak też byli traktowani i np. jeśli wyrazili chęć, zezwalano im na uczestnictwo w niedzielnej mszy św. razem z polskimi żołnierzami, mieli także, w odróżnieniu od żołnierzy Armii Czerwonej, wolne niedziele. Jeszcze przed zakończeniem szkolenia, 21 października, wraz z całym pułkiem Łarin złożył polską przysięgę wojskową, zakończoną zapamiętanymi przez niego słowami „Tak mi dopomóż Bóg!”. Jednak, jak sam twierdzi, prawdopodobnie wcale nie musiałyby wraz z 27. ppanc. trafić na front. O tym, że wziął udział w walkach w szeregach Wojska Polskiego, zdecydowały wydarzenia z końca stycznia 1945 roku. Miała wówczas miejsce uroczystość przekazania dział samobieżnych ich załogom, co wyznaczało koniec zasadniczego szkolenia. Wobec całego pułku wygłoszono przemówienie oparte na kłamstwie katyńskim. Według słów Łarina, powiedziano im wówczas, że Niemcy w lesie katyńskim rozstrzelali 11 tys. polskich oficerów, a ich pułk to pomści. Wówczas Łarin oraz dziewięciu innych Rosjan zgłosili

się ochotniczo do kontynuowania służby w pułku. Następnie, według Łarina, mieli oni zamalować czerwone gwiazdy widniejące do tej pory na pancernach SU-76, a w ich miejsce namalowali orły oraz napisali: „Mściciel Katynia”. Łarin twierdzi, że tak samo nazywano cały pułk, co jednak nie znajduje potwierdzenia w dostępnej literaturze.

Szczęśliwa rana

Po skierowaniu I Korpusu Pancernego na front Łarin początkowo walczył w szeregach piechoty. Uczestniczył m.in. w forsowaniu Nysy Łużyckiej

zadaniem było ich powstrzymać. Działo samobieżne kal. 75 mm szło górą, a my dołem. Dowódca Kaszyński krzyknął do mnie: „Płonie 75, osłaniajcie!”. Zobaczyliśmy, że płonie. Po co je więc osłaniać? Wskoczyliśmy prosto przed działo przeciwpancerne. Dowódca dał rozkaz zniszczenia tego działła. Zanim namierzyłem i wycelowałem, zobaczyłem tam dwóch Niemców, a działło już blisko, wystrzelili pierwsi. Trafili w moją wieżyczkę. Nasz pancernik miał tylko 14 mm. Był cienki i to mnie uratowało. Pocisk przeszedł na wylot i nie eksplodował. Dostałem odłamkiem.



Fot. K. Stanczewski

rankiem 16 kwietnia 1945 roku. Według jego relacji z ponad dwustu żołnierzy, którzy w pierwszym rzucie przeprawili się przez rzekę, do wieczora pozostało 42, ale udało im się odeprzeć wszystkie cztery niemieckie kontrataki i utrzymać przyczółek. Na działo samobieżne (nr 74) Łarin przesiadł się dopiero 26 kwietnia, po zranieniu jednego z przeszkolonych przez niego żołnierzy. W walkach jako celowniczy uczestniczył zaledwie kilka dni i też został ranny. – To było chyba piątego [maja], nad rzeką Sprewą. Wysłali do walki wojsko, pamiętam, że było mało piechoty – wspomina. – Trzy czołgi się ostrzeliwały. Poszło siedem naszych dział samobieżnych. Zajęliśmy pozycję na pagórku. Dalej było płasko, tam Niemcy i Sprewa. Zrobili most pontonowy i przebijali się do nas. Naszym

Byłem w szpitalu, tam mi wszystko wyciągnęli i powiedzieli, że mam sobie iść – opowiada Łarin.

Paradoksalnie ta rana go ocaliła. Niedługo później bowiem działo nr 74 zostało zniszczone i spłonęło razem z całą załogą. Znamienne, że Łarin odznaczenia za służbę w Wojsku Polskim otrzymał dopiero wiele lat później. Medale dotarły bowiem do pułku 13 maja 1945 roku, a Łarin dzień wcześniej został przeniesiony z powrotem do Armii Czerwonej. Warto dodać, że 27. ppanc., zwany „Mścicielem Katynia”, został odznaczony Orderem Krzyża Virtuti Militari V klasy na mocy rozkazu Michała Roli-Żymierskiego, Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego, 2 lipca 1946 roku. 🍀

Maciej Żuczkowski – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Tropem listy białoruskiej

Krzysztof Łagojda

Dzisiejsza wiedza na temat Polaków zamordowanych na Wschodzie przez Sowietów jest duża, ale wciąż niepełna. Sporo wiemy na temat Zbrodni Katyńskiej, nadal jednak nie znamy nazwisk polskich obywateli zamordowanych w 1940 roku w więzieniach tzw. Zachodniej Białorusi. Losy Aleksandra Morżały, policjanta z Wołkowyska, są tego dobrym przykładem.

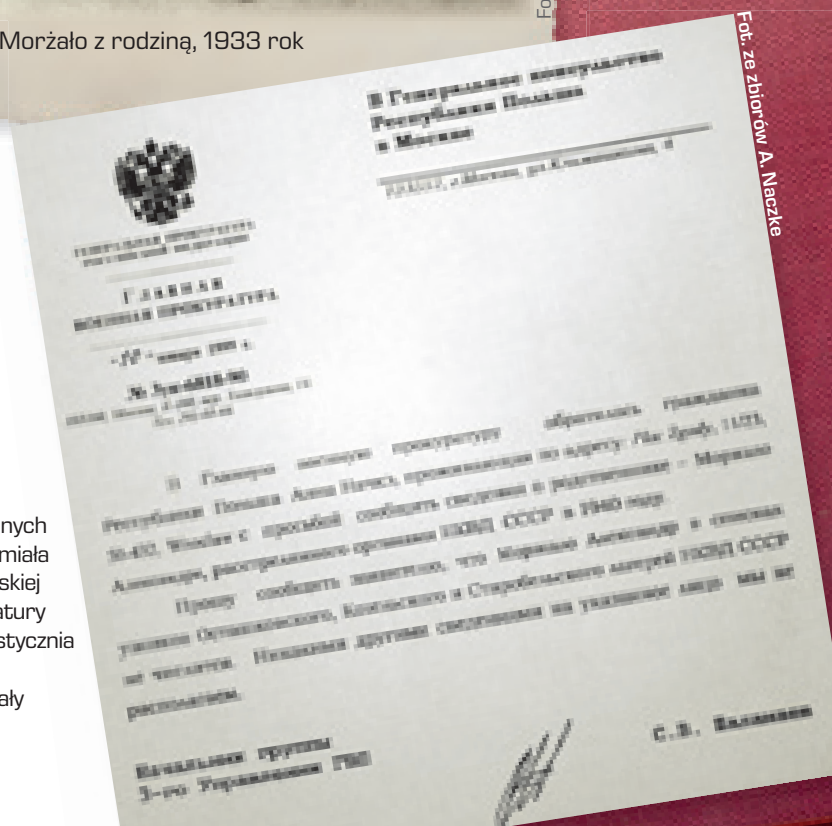
Aleksander Morżała, ur. 6 sierpnia 1895 roku, wstąpił do policji w 1919 roku. W dziale śledczym komendy powiatowej w Wołkowysku (obwód grodzieński dzisiejszej Białorusi) do 1939 roku dosłużył się stopnia starszego przodownika. Po rozpoczęciu II wojny światowej i napaści wojsk Armii Czerwonej 17 września 1939 roku, jako funkcjonariusz państwowy był poszukiwany przez NKWD. Został aresztowany 13 października 1939 roku w swoim mieszkaniu przy ul. Kościuszki 163/b w Wołkowysku. – Z 17 na 18 września ojciec nie wrócił na noc. Okazało się potem, że w nocy ojciec wywiózł część najbardziej tajnych dokumentów do Komendy Wojewódzkiej w Białymstoku. Wrócił w nocy się z nami pożegnać. Jak się później okazało, ojciec ukrywał się u starszej siostry, 5 km dalej. Wrócił do domu na kilka dni, ale wtedy NKWD przyszło go aresztować – wspomina po latach jego córka, Anna Naczke. – Najpierw trzymali ojca w więzieniu w Wołkowysku, najstarsza siostra pojechała dowiedzieć się, co z ojcem się stało. Gdzieś w grudniu przewieźli ojca do Grodna. W końcu stycznia 1940 roku siostra Helena pojechała do Grodna, żeby przekazać paczkę [paczkę wzięto, ale nie



▶ Aleksander Morżała z rodziną, 1933 rok

Fot. ze zbiorów A. Naczke

▶ „Nie mamy żadnych informacji” – brzmiała odpowiedź rosyjskiej Głównej Prokuratury Wojskowej z 10 stycznia 1999 roku, dotycząca Morżały



Fot. ze zbiorów A. Naczke

pozwolono na spotkanie z ojcem]. Ostatni raz siostra pojechała do Grodna, żeby odwiedzić tatę, gdzieś na początku 1940 roku, chyba w marcu. Paczki nie przyjeżdżały, powiedzieli, że ojca nie ma i prawdopodobnie został wysłany do Mińska. I na tym się skończyło, nigdy już żadnej wiadomości od ojca nie mieliśmy – mówi Anna Naczke.

2 marca 1940 roku Rada Komisarzy Ludowych ZSRS podjęła decyzję o przeprowadzeniu drugiej masowej deportacji polskich obywateli z terenów tzw. Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku grupy operacyjne NKWD wkroczyły do mieszkań m.in. rodzin oficerów Wojska Polskiego, strażników więziennych, policjantów, żandarmów oraz urzędników państwowych, z których część była w tym czasie rozstrzeliwana na mocy decyzji z 5 marca 1940 roku. Taki sam los spotkał rodzinę policjanta z Wołkowyska. – 13 kwietnia w nocy przyszli po nas. To było z piątku na sobotę. Przyszło pięciu uzbrojonych w bagnety. Najpierw odczytali akt, że zostajemy przesiedleni. Była nas piątka dzieci, najstarsza siostra siedemnastoletnia była najbardziej przytomna. Jeden podszedł do siostry i powiedział: „Bierzcie jak najwięcej jedze-

nia, bo pojedziecie daleko”. Wsadzili nas na ciężarówkę i wywieźli na stację centralną Wołkowysk. Deportowano nas do północnego Kazachstanu – opowiada córka Aleksandra Morżały.

Oczywiście, informacje o odkryciu grobów polskich oficerów w Katyniu, przekazane w 1943 roku przez Niemców, nie dotarły do znacznej części zesłańców. Poza tym większość rodzin, których bliscy zostali aresztowani i przebywali w więzieniach NKWD, nie łączyła mord w Katyniu z brakiem wiadomości od zaginionego członka rodziny.

Pytania bez odpowiedzi

Anna Naczke wróciła do Polski wraz z rodziną podczas pierwszej fali repatriacji 24 czerwca 1946 roku (matka zmarła jeszcze przed wojną, w 1933 roku) i rozpoczęła poszukiwania ojca głównie przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż oraz Polski Czerwony Krzyż, jednak otrzymywała wyłącznie negatywne odpowiedzi.

W publikacji *Mord w Katyniu* Jędrzej Tucholski identyfikuje ojca Anny Naczke jako jeńca Ostaszkowa, podając nazwisko Marżało: „Marżało [...], Funkcj. PP, posterunek Wołkowysk, woj. białostockie”. Powstała w 1991 roku książka

Tucholskiego zawiera dużo błędów, dlatego też należy podchodzić sceptycznie do niektórych informacji przekazanych przez autora. W Księdze Cmentarnej Polskiego Cmentarza Wojennego Miednoje, która zawiera 6288 nazwisk zamordowanych jeńców Ostaszkowa, Aleksander Morżało – ani też Marżało, jak pisał Tucholski – nie figuruje. Tak samo w książce *Aresztowani na „Zachodniej Białorusi”*: *alfabetyczny wykaz 4669 Polaków i obywateli polskich innych narodowości aresztowanych na „Zachodniej Białorusi” w latach 1939–1941* pod redakcją Elizy Dzwonkiewicz. Również i w tym wykazie nie pojawia się nazwisko Morżało ani Marżało, choć należy dodać, że nazwiska 4669 obywateli polskich w tym wykazie stanowią 10 proc. wszystkich aresztowanych na terenie Zachodniej Białorusi w latach 1939–1941. Natomiast w studium *Lista ostaszkowska: spis polskich policjantów i funkcjonariuszy służb granicznych zamordowanych i zaginionych po 1 września 1939 roku. Studia i materiały* pod redakcją Andrzeja Misiuka policjant figuruje jako osoba zaginiona. Krótki opis tej postaci, który został sporządzony na podstawie informacji przekazanych przez Annę Naczke, znajduje się także w pracy Teofila Mikulskiego *Biogramy jeńców. Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, Ukraina. Zaginieni*.

Jak widać, nie sposób dokładnie określić, co stało się z policjantem z komendy w Wołkowysku. Biorąc pod uwagę relację Anny Naczke i miejsce zamieszkania rodziny przed wojną oraz to, że szczątki Aleksandra Morżały nie zostały odnalezione w grobach w Miednoje, można dojść do wniosku, że jego nazwisko znajduje się na tzw. białoruskiej liście katyńskiej, której nawet istnienia nie jesteśmy do końca pewni. Nie można jednak wykluczyć, że policjant zmarł jeszcze przed decyzją z 5 marca 1940 roku. Mógł zachorować lub zostać



Fot. ze zbiorów A. Naczke

► Zdjęcie grupowe Policji Państwowej w Wołkowysku w 1938 roku

zakatowany podczas przesłuchania w więzieniu. W jego sprawie mógł także zostać orzeczony indywidualny wyrok śmierci, niezwiązany z decyzją z 5 marca. Mordów w więzieniach Zachodniej Białorusi dokonywano także na przełomie czerwca i lipca 1941 roku w czasie ewakuacji przed nadciągającymi wojskami Wehrmachtu. Jeżeli taka sytuacja miała miejsce, nie będzie on figurował w białoruskim wykazie zamordowanych polskich obywateli, a w takim wypadku zbadanie jego losów po aresztowaniu przez NKWD będzie praktycznie niemożliwe. Wykluczyć można jego obecność wśród jeńców Ostaszkowa. W obozie tym znaleźli się bowiem głównie Polacy walczący podczas wojny obronnej 1939 roku – jeńcy Armii Czerwonej przekazani następnie NKWD. Jak wskazują dokumenty NKWD i relacja córki policjanta, najbardziej prawdopodobne jest to, że Aleksandra Morzałę przetransportowano z Grodna do więzienia w Mińsku, gdzie został strzałem w tył głowy zamordowany wraz z ponad 3 tys. innych polskich obywateli.

W III RP córka Morzały poszukiwała ojca różnymi kanałami. W 1999 roku przez konsulat polski w Moskwie zwróciła się do tamtejszej Generalnej Prokuratury Wojskowej, a w ubiegłym roku – także do prokuratury wojskowej w Grodnie. Niestety, w obu przypadkach odpowiedź była taka sama: „Nie mamy żadnych informacji”. Obecnie 85-letnia

Sąd: co za różnica?

W 1991 roku Anna Naczke chciała oficjalnie potwierdzić swój status sieroty. Sądy określały datę śmierci na podstawie rodzinnych pamiątek oraz relacji członków rodziny. Jakby zawirowań wokół śmierci Aleksandra Morzały było mało, Sąd Rejonowy w Gryfinie określił datę śmierci policjanta na 30 kwietnia 1940 roku, a jako miejsce śmierci podał słynny Katyń w istniejącym jeszcze wówczas Związku Sowieckim. Decyzja sądu w tym przypadku jest kompletnie niezrozumiała i zasługująca na surową krytykę. – Sąd na podstawie zeznań moich i siostry tu, w Gryfinie, posłał to do Warszawy i z Warszawy przyszło, że ojciec zginął

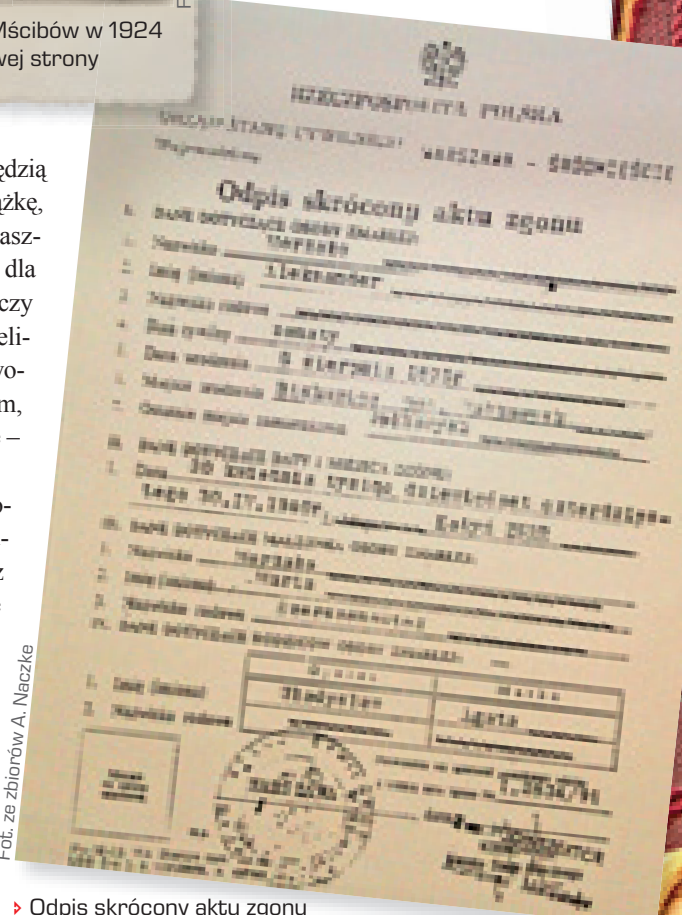


▶ Zdjęcie posterunku policji w gminie Mścibów w 1924 roku; Aleksander Morzała siedzi z prawej strony

Fot. ze zbiorów A. Naczke

Anna Naczke stara się pozyskać informacje o ojcu od Stowarzyszenia „Memoriał” w Moskwie. – Chciałabym jeszcze za życia poznać prawdę – podkreśla.

Losy starszego przodownika policji w Wołkowysku, Aleksandra Morzały, a także jego poszukiwania przez rodzinę to przykład jeden z wielu. Wciąż w Polsce żyją rodziny, których bliscy zostali aresztowani przez NKWD, a ich ostatni znak życia pochodził z więzień na terenach Zachodniej Białorusi. Co się z nimi stało? Jak przebiegała egzekucja? Czy faktycznie zostali zamordowani w Mińsku, a ich ciała leżą w pobliskich Kuropatach, w dołach, w których zakopano ofiary masowych mordów NKWD? Niestety, te pytania i wiele innych pozostają do dziś bez jednoznacznych odpowiedzi. ▶



Fot. ze zbiorów A. Naczke

▶ Odpis skrócony aktu zgonu

Zagadki listy białoruskiej

Pod pojęciem Zbrodni Katyńskiej rozumiemy rozstrzelanie co najmniej 21768 polskich obywateli – oficerów i podoficerów Wojska Polskiego, funkcjonariuszy policji, straży granicznej i więziennictwa, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, a także powołanych z rezerwy nauczycieli, prawników, lekarzy i przedstawicieli innych zawodów – którzy po 17 września 1939 roku znaleźli się w rękach NKWD i przebywali w trzech obozach specjalnych oraz w więzieniach Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Na podstawie dotychczasowych ustaleń Instytutu Pamięi Narodowej jesteśmy w stanie precyzyjnie określić, że w Katyniu zginęło 4410 jeńców Kozielska, w Charkowie 3739 jeńców Starobielska, a w Twerze 6314 więźniów Ostaszkowa. Dodatkowo w więzieniach NKWD na terenie Zachodniej Ukrainy i Białorusi śmierć poniosło 7305 obywateli II RP.

13 kwietnia 1990 roku prezydent ZSRS Michaił Gorbaczow wręczył ówczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej Wojciechowi Jaruzelskiemu dwie teczki. Znajdowały się w nich imienne listy wywozowe jeńców z Kozielska i Ostaszkowa oraz imienny wykaz akt ewidencyjnych jeńców przebywających w Starobielsku. Kluczowym momentem dla sprawy Zbrodni Katyńskiej był jednak 14 października 1992 roku, kiedy to prezydent Rosji Borys

Jelcyń przekazał Lechowi Wałęsie, następcy Jaruzelskiego, notatkę Aleksandra Szelepina. Dokument ten, sporządzony 3 marca 1959 roku, adresowany był do I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego i zawierał sugestie zniszczenia 21857 teczek personalnych ofiar Zbrodni Katyńskiej. Wynikało z niego również to, że – oprócz jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa – na podstawie tej samej decyzji rozstrzelano 7305 obywateli polskich przebywających w więzieniach Zachodniej Ukrainy i Białorusi.

Dzięki współpracy z prokuraturą ukraińską w Kijowie i przekazaniu w 1994 roku tzw. ukraińskiej listy katyńskiej, udało się ustalić nazwiska 3435 polskich obywateli, którzy byli rozstrzelani w więzieniach w Kijowie, Charkowie i Chersoniu, a ciała części z nich zostały pochowane we wsi Bykownia pod Kijowem. Również w 1994 roku strona polska rozpoczęła współpracę z Prokuraturą Generalną Republiki Białorusi w Mińsku. Wspólne poszukiwania białoruskiej listy okazały się bezowocne, głównie ze względu na wybór w tym samym roku Aleksandra Łukaszenki na prezydenta Białorusi.

Prawdopodobnie 3870 obywateli polskich zamordowano na terenie więzienia w Mińsku, a ich ciała zostały pochowane w pobliskich Kuropatach. Za podstawę tej tezy uważa się dwa dokumenty szefa NKWD Ławrientija Berii z 21 i 22 marca 1940 roku. Pierwszy z nich został

skierowany do ludowego komisarza komunikacji ZSRS Łazara Kaganowicza w sprawie przygotowania wagonów do przetransportowania więźniów. Drugi nakazywał oddziałom NKWD „rozładowanie” więzień zachodnich obwodów dwóch socjalistycznych republik sowieckich – ukraińskiej i białoruskiej. Na pierwszej stronie pisma czytamy m.in.: „3000 aresztowanych przewieźć z więzień zachodnich obwodów Białoruskiej SRR do Więzienia Mińskiego”.

Do dziś operujemy jedynie przypuszczalną liczbą zamordowanych w więzieniach Zachodniej Białorusi i nie znamy ich dokładnych personaliów. Według historyka dr. Sławomira Kalbarczyka do wybuchu wojny między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim liczba wyroków śmierci wykonanych na więźniach zachodnich obwodów sowieckiej Białorusi wynosi nie mniej niż 4161.

Brak od dłuższego czasu jakichkolwiek postępów w tej sprawie skłania do wniosku, że być może już nigdy nie uda się rozwiązać tej zagadki, nie mamy bowiem nawet pewności, czy tzw. białoruska lista katyńska jeszcze istnieje. Jej sprawa ważna jest jednak z innego powodu. Do dziś żyją rodziny, które nadal nie znają prawdziwych losów swoich bliskich. Nie wiedzą, kiedy zostali zamordowani, ani tym bardziej nie znają miejsca ich pochówku. ■

Krzysztof Łagojda – student II roku studiów magisterskich w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego

Lista koreańska

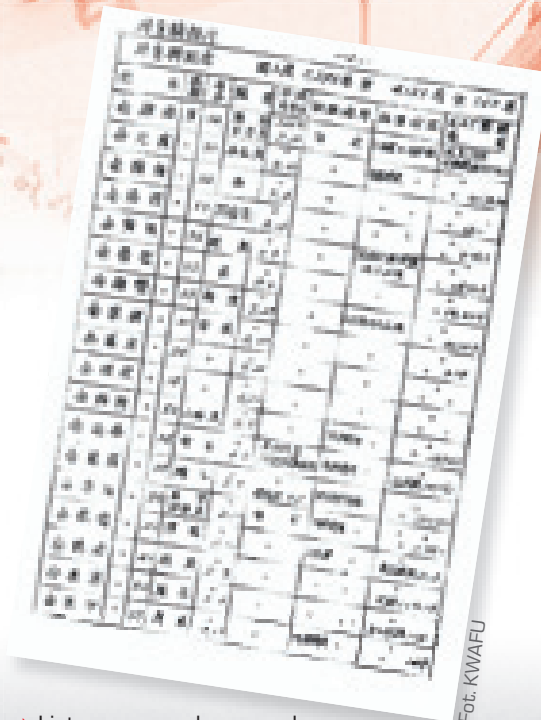
Marek Hańderek

„W historycznych losach Polski i Korei można dostrzec wiele podobieństw. Oba kraje graniczą z potężnymi i agresywnymi sąsiadami. Zlokalizowane w punktach ścierania się przeciwstawnych ideologii, oba ucierpiały od niechcianego komunizmu”.

Powyższe słowa są fragmentem jednego z e-maili, jakie otrzymałem od Grace Kim, reprezentującej stowarzyszenie rodzin osób porwanych w trakcie wojny koreańskiej (Korean War Abductees Family Union – KWAFU). Przygotowywałem się wówczas do seminarium w Seulu, na którym jako przedstawiciel IPN wygłosiłem referat na temat polskich ofiar

to do powstania popularnego powiedzenia, przyrównującego Koreę do krewetki leżącej między dwoma wielorybami. W poprzednim stuleciu mieszkańcom półwyspu dała się we znaki szczególnie zaborczość wieloryba ze wschodu.

Od czasu zwycięskiej wojny, prowadzonej przeciw Rosji w latach 1904–1905, Japonia stawała się na Dalekim Wschodzie coraz bardziej znaczącą siłą



► Lista porwanych sporządzona przez koreański rząd w 1951 roku

Fot. KWAFU

► Uprowadzeni południowokoreańscy cywile eskortowani do komunistycznej Korei Północnej, 1950 rok

mordów, deportacji i porwań dokonanych przez Związek Sowiecki. W trakcie pobytu na Półwyspie Koreańskim przekonałem się o słuszności twierdzenia pani Kim. Rzeczywiście, mimo dzielących Polskę i Koreę tysiące kilometrów, oba kraje i narody mają wiele wspólnego, choć mało kto zdaje sobie z tego sprawę.

Od okupacji do suwerenności

Koreańczycy, zamieszkujący półwysep oddzielający Morze Żółte od Morza Japońskiego, od zarania swej państwowości pozostawali w cieniu dwóch potężnych sąsiadów. Przez wieki zarówno Chińczycy, jak i Japończycy starali się podporządkować sobie ten obszar. Doprowadziło

polityczną. Pokój między tymi dwoma państwami oznaczał dla Korei znalezienie się w japońskiej strefie wpływów, czego ostatecznym potwierdzeniem była aneksja półwyspu w 1910 roku. Rozpoczął się wówczas długi okres okupacji, trwający aż do lata 1945 roku, kiedy to cesarstwo japońskie skapitulowało po zrzuconiu przez wojska USA bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

Japończycy, okupując Koreę, podejmowali działania podobne do tych, jakich Polacy doświadczyli pod zaborami. Charakterystyczne dla ich polityki były m.in. znaczna eksploatacja gospodarcza, wprowadzenie języka japońskiego jako urzędowego, forsowanie odpowiednio

spreparowanej wizji historii czy wcielanie koreańskich mężczyzn do armii japońskiej. Wielu Koreańczyków nie godziło się z okupacyjną rzeczywistością, jednakże ich wystąpienia – zarówno te zbrojne, jak i pokojowe manifestacje – były krwawo tłumione. Sytuacja na półwyspie doprowadziła do powstania w 1919 roku na emigracji w Chinach Tymczasowego Rządu Republiki Korei. Jako pierwszy na jego czele stanął późniejszy prezydent – Syngman Rhee. ►

Fot. KWAFU

Atak komunistów

Mogło się wydawać, że przegrana Japonii w II wojnie światowej przyniesie wreszcie Koreańczykom możliwość zbudowania suwerennego państwa. Tymczasem sprawy potoczyły się inaczej. Na południu wojska japońskie zastąpione zostały amerykańskimi, na północ od 38. równoleżnika zaś stacjonowali Sowieci. Pod ich osłoną komuniści koreańscy, kierowani przez Kim Ir Sena, zaczęli wprowadzać tam swoje porządki i przygotowywać się do opanowania całego półwyspu. Nie zgodzili się oni na przeprowadzenie wspólnych dla obu części państwa wyborów parlamentarnych pod auspicjami ONZ, w związku z czym w maju 1948 roku udało się je zorganizować tylko na południu. Trzy miesiące później proklamowano powstanie Republiki Korei, której prezydentem został Syngman Rhee. W odpowiedzi na to we wrześniu 1948 roku na północy komuniści ustanowili Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną z Kim Ir Senem na czele.

Uzyskawszy zgodę ze strony sowieckiego dyktatora Józefa Stalina oraz przywódcy komunistycznych Chin Mao Zedonga, 25 czerwca 1950 roku wojska Kim Ir Sena niespodziewanie zaatakowały Republikę Korei, rozpoczynając tym samym wojnę koreańską, do dziś niezakończoną traktatem pokojowym. Obfitowała ona w wiele okrucieństw i zbrodni

dotykających miliony ludzi. Wśród nich byli bliscy organizatorów ubiegłorocznego seulskiego seminarium, działających w KWAFU. Osoby skupione w stowarzyszeniu to w większości dzieci cywilnych obywateli Republiki Korei, porwanych w trakcie wojny przez wojska komunistyczne. Członkom KWAFU udało się ustalić personalia 96 013 porwanych, których los wciąż jest nieznanym. Co więcej, po sześćdziesięciu latach od uprowadzenia blisko 100 tys. ludzi niewiele osób słyszało o tej zbrodni. Nawet w Korei Południowej jest ona faktem prawie nieznanym. Nie uczy się o niej na lekcjach historii, a niektórzy politycy zaprzeczają, że w ogóle miała miejsce.

Milczenie Zachodu

Zaniechanie prób wyjaśnienia losów porwanych obywateli Republiki Korei nastąpiło niemal w tym samym czasie, kiedy zapadła decyzja zachodniego świata o milczeniu na temat prawdy o sprawcach Zbrodni Katyńskiej. W połowie 1953 roku komisja spraw zagranicznych Kongresu USA odrzuciła propozycję powołania przy ONZ komisji międzynarodowej do zbadania sprawy zamordowania w ZSRS polskich oficerów. O jej utworzenie wnioskowała kierowana przez Raya Maddena komisja specjalna Kongresu, która miała wyjaśnić okoliczności mordu na polskich jeńcach. To

ostatnie gremium powstało jesienią 1951 roku, gdy USA poszukiwały odpowiednich środków propagandowych, których można by użyć przeciwko blokowi komunistycznemu podporządkowanemu ZSRS. Nie bez znaczenia był również fakt masowych rozstrzeliwań amerykańskich jeńców przez wojska KRLD, co nasuwało skojarzenia z wydarzeniami z Katynia. Jednakże po śmierci Stalina oraz podpisaniu rozejmu w Korei pojawiła się szansa na odprężenie w relacjach amerykańsko-sowieckich, w imię którego Stany Zjednoczone zrezygnowały z rozpowszechnienia prawdy o kulisach zbrodni na polskich oficerach. Finalizując niewiele wcześniej rozmowy o zawieszeniu broni w Korei, wyżsi oficerowie USA występujący w imieniu ONZ zdecydowali się ostatecznie zrezygnować z zabiegów o powrót do Republiki Korei porwanych cywilów. Poświęcili ich w imię podpisania rozejmu oraz uwolnienia części jeńców wojennych.

Prywatne śledztwo

Już we wrześniu 1951 roku rodziny porwanych zorganizowały się w stowarzyszenie, którego głównym celem było doprowadzenie do uwolnienia ich bliskich. Jego nazwa anglojęzyczna brzmiała wówczas Korean War Abductees Family Association (KWAFU). Na czele organizacji stanął przedsiębiorca Chang Gi-bin, któremu komuniści porwali jedną z córek. W szeregach KWAFU przeważały jednak zdecydowanie kobiety, ponieważ 98 proc. spośród porwanych stanowili mężczyźni. O ich uwolnienie zabiegały więc przede wszystkim matki i żony. Stowarzyszenie z czasem stało się organizacją masową, w 1954 roku w jego szeregach było 18 tys. ludzi pragnących powrotu do domu swoich bliskich.

W latach pięćdziesiątych KWAFU działało prężnie, zbierając dane na temat porwanych i kompletując ich listę, organizując liczne manifestacje, przygotowując petycje do najważniejszych polityków w Republice Korei i USA oraz do organizacji międzynarodowych, takich jak Międzynarodowy Czerwony Krzyż i ONZ. W tym czasie akcje KWAFU były apro-



Fot. KWAFU

► Odczytanie petycji KWAFU do prezydenta Syngmana Rhee, 1954 rok

bowane przez prezydenta Syngmana Rhee i wielu innych polityków południowokoreańskich. Niektórym z nich również wprowadzono bliskich, inni utracili współpracowników. Wśród porwanych było 169 polityków, w tym kilkudziesięciu parlamentarzystów. Wyselekcjonowanie takich osób, a oprócz nich ponad ośmiuset profesorów i nauczycieli, przeszło 2800 inżynierów czy blisko sześciuset lekarzy wskazuje na dwa główne motywy porwań. Pierwszym było pozyskanie odpowiednich kadr dla rozwoju północnokoreańskiego przemysłu, nauki i edukacji, drugim – wyeliminowanie osób o nastawieniu antykomunistycznym, które mogłyby organizować opór przeciwko władzy Kim Ir Sena. To ostatnie naturalnie nasuwa skojarzenia z chęcią wyeliminowania przez Stalina w mordzie katyńskim elit patriotycznych i antysowieckich.

Po obaleniu w 1960 roku prezydenta Rhee i późniejszym o rok przewrocie wojskowym rozpoczął się dla rodzin porwanych bolesny okres niemożności zabiegania o powrót ich bliskich oraz wymazywania sprawy ze świadomości społeczeństwa Korei Południowej. Nowe autorytarne władze uniemożliwiły działalność stowarzyszenia. Co więcej, gdy z czasem stało się jasne, że KRLD niektórych porwanych młodych ludzi stara się wykorzystywać jako szpiegów, część rodzin została przewencyjnie poddana inwigilacji. Z założenia uznawano je za podejrzane, co powodowało ich dyskryminację: brak wstępu do obiektów wojskowych, niemożność sprawowania wyższych funkcji państwowych, a w niektórych przypadkach nawet zakaz opuszczania kraju. Inwigilacji zaprzestano dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy w Korei Południowej pogłębiały się przemiany demokratyczne, zapoczątkowane pod koniec 1987 roku – niecałe dwa lata wcześniej niż w Polsce.

Walka z niepamięcią

O ile w III Rzeczypospolitej szybko rozpoczęto badania naukowe nad mordem katyńskim oraz zerwano z wcześniej obowiązującym kłamstwem, za którego podważanie w PRL groziły rozmaite



Fot. KWAFU

▶ Lee Mi-il, przewodnicząca KWAFU

represje z więzieniem włącznie, o tyle w Korei Południowej zagadnienie porwanych cywilów długo pozostawało na marginesie nauki i polityki. Czarą goryczy wśród rodzin, które były wówczas reprezentowane już głównie przez dzieci uprowadzonych, przelało to, że władze na czele z prezydentem Kim Dae Jungiem (1998–2003) negowały jakiegokolwiek porwania cywilów w czasie wojny koreańskiej. Prawda o zbrodni sprzed pół wieku była dla prezydenta przeszkodą w prowadzeniu tzw. słonecznej polityki, mającej przez kontakty polityczne i gospodarcze doprowadzić do zjednoczenia półwyspu. W tych okolicznościach rodziny postanowiły w 2000 roku reaktywować działalność stowarzyszenia, które przyjęło nieco zmienioną nazwę: Korean War Abductees Family Union.

Organizacja rozpoczęła żmudną działalność, mającą przywrócić w Korei Południowej i na arenie międzynarodowej pamięć o ofiarach oraz skłonić odpowiednie instytucje do wywierania nacisków na KRLD, by ta ujawniła losy porwanych. Zakładano również, że część osób nadal może żyć, ponieważ 90 proc. spośród nich w momencie uprowadzenia nie miało ukończonych 31 lat. Od kilkunastu lat KWAFU organizuje konferencje, wystawy, marsze pamięci, gromadzi źródła historyczne oraz kompletuje listę porwanych. W marcu 2010 roku stowarzyszeniu udało się doprowadzić do powołania przez parlament Republiki Korei specjalnej komisji rządowej, mającej we współpracy z KWAFU dociekać prawdy o dziejach porwanych. Członkowie stowarzyszenia liczą na to, że prędzej czy później dojdzie do odkrycia kulis zbrodni oraz ukarania przynajmniej części jej sprawców. Mają również nadzieję, że zapomniani obywatele staną się częścią świadomości historycznej społeczeństwa koreańskiego. Instytut Pamięci Narodowej, dzięki swoim doświadczeniom, może służyć radą w realizacji obu tych celów. ■

Marek Hańderek – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Fot. KWAFU

▶ Marsz KWAFU, Seul, 11 marca 1954 roku

„Burza” na Białostoczczyźnie

Piotr Łapiński

20 listopada 1943 roku dowódca Armii Krajowej gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wydał rozkaz określający zadania AK w obliczu spodziewanego odwrotu wojsk niemieckich oraz sposób postępowania wobec Armii Czerwonej wkraczającej na ziemie polskie. Komendant Okręgu AK Białystok, ppłk Władysław Liniarski „Mścisław”, chociaż wykonania rozkazu nie odmówił – miał własne zdanie na temat możliwości współpracy z Sowietami.



► Podpułkownik Władysław Liniarski „Mścisław” (na zdjęciu jeszcze porucznik) – komendant Okręgu AK Białystok

Planowane wystąpienie oddziałów Armii Krajowej w roli gospodarza terenu oznaczało dekonspirację kadry dowódczej i zmobilizowanych żołnierzy AK przed Armią Czerwoną. Wobec nieuregulowanych stosunków między rządem RP na uchodźstwie a ZSRS wspomniany rozkaz wzbudził poważne wątpliwości u „Mścisława”, który w meldunku do Komendy Głównej AK z 3 grudnia 1943 roku zaznaczył: „Jednocześnie proszę o wyjaśnienie, kiedy ostatnio został zawarty nowy traktat o przyjaźni z ZSRR, ponieważ jak dotychczas prasa oficjalna polska i bolszewicka stwierdza, że bolszewicy są wrogami Polski. Prawdopodobnie fakt ten został przez nas przeoczony, dlatego też cz. V pkt 3 rozkazu o podporządkowaniu się bolszewikom jest dla nas niezrozumiały całkowicie”.

Nie dać się wyczesać

Mimo tych wątpliwości 5 grudnia 1943 roku „Mścisław” wydał swoim podwładnym rozkaz będący zarządzeniem wykonawczym dla akcji „Burza”. Jako główne jej cele wyznaczył: wyraźne wykazanie woli walki z Niemcami, organizację samoobrony przed ewentualnymi działaniami odwetowymi nieprzyjaciela i zdobycie broni. Wzmoczona akcja dywersyjna miała rozpocząć się w momencie pojawienia się straży tylnych wroga, gdy nie będzie już on w stanie przeprowadzić akcji odwetowych na miejscowej ludności. W myśl rozkazu „Burza” mieli kierować poszczególni inspektorzy oraz komendanci obwodów na podległych sobie terenach. Działania bojowe miały zostać przeprowadzone siłami oddziałów partyzanckich, oddziałów Kedywu i pododdziałów z sieci terenowej w sile plutonu lub drużyny, zmobilizowanych według uznania inspektorów. Wszystkie oddziały przewidziane do bojowego wykorzystania musiały być odpowiednio zapatrzone w broń i amunicję. Ponadto na

czas akcji „Burza” dowódcy wszystkich szczebli zobowiązani zostali do pozostania na miejscu i utrzymywania łączności organizacyjnej.

W kolejnym rozkazie z 20 marca 1944 roku ppłk Liniarski „Mścisław” wydał wytyczne uzupełniające w sprawie przeprowadzenia akcji „Burza” przez Okręg AK Białystok. We wskazówkach wykonawczych główny nacisk położył na kwestię ochrony ludności cywilnej przed represjami niemieckimi, samoobronę oraz uniemożliwienie Niemcom dokonywania zniszczeń. Jednocześnie rozkaz określał sposoby postępowania w przypadku przewidywanego wrogiego nastawienia oddziałów Armii Czer-

wonej: nakazywał niszczenie wszelkich dokumentów dotyczących ewidencji ludności pozostawionych przez władze niemieckie, a osobom zdekonspirowanym zalecał ukrycie się.

23 marca 1944 roku gen. „Bór” wydał rozkaz szczegółowy przeprowadzenia akcji „Burza” na terenie okręgów wschodnich, w którym podkreślał polityczne znaczenie planowanego wystąpienia zbrojnego. Równocześnie przypominał o automatycznym rozpoczęciu akcji, nawet bez powszechnego zarządzenia. Przestrzegał jednak przed zbyt wczesną mobilizacją, szczególnie dużych oddziałów, gdyż – jak zapisano w rozkazie – „łatwo mogą być one wyczesane przez cofają-

cych się Niemców i odrzucone na zachód przed wykonaniem zadania na swoim terenie”. Ponadto podtrzymywał uprzednio wydane wytyczne co do ujawnienia się wobec wkraczających oddziałów Armii Czerwonej, precyzując jednocześnie sposób jego przeprowadzenia. Przy zetknięciu się z regularnymi wojskami sowieckimi miejscowy dowódca AK miał wystąpić z następującym oświadczeniem: „Na rozkaz Rządu Rzeczypospolitej Polskiej zgłaszam się jako dowódca wojskowy z propozycją uzgodnienia z wkraczającymi na teren Rzeczypospolitej Polskiej siłami zbrojnymi Sowieców współdziałania w operacjach wojennych przeciwko wspólnemu wrogowi”.

Zadania dla Okręgu AK Białystok podczas akcji „Burza” precyzowały kolejne rozkazy szczegółowe KG AK z 14 kwietnia oraz 11 lipca 1944 roku, jednak ten ostatni nie dotarł już do rąk „Mścisława” (nie miało to większego znaczenia, ponieważ rozkaz lipcowy był potwierdzeniem kwietniowego).

W rozkazie kwietniowym wskazywano, że „dobro sprawy polskiej wymaga najsilniejszego zaakcentowania wobec Sowieców dążeń ludności do pełnej niepodległości i suwerenności”. Za jego konkluzję należy zaś uznać stwierdzenie: „Cała akcja Burzy na terenie Okręgu Białystok musi dowodzić, że teren jest opanowany przez AK w miarę cofania się Niemców”.

Nadchodzi „Burza”

W drugim kwartale 1944 roku siły Okręgu AK Białystok liczyły łącznie 33 156 żołnierzy, w tym 307 oficerów, 278 podchorążych, 6049 podoficerów, 21 895 szeregowych oraz 2794 cywilów powyżej 45. roku życia zorganizowanych w Wojskową Służbę Ochrony Powstania i 1833 kobiety w szeregach Wojskowej Służby Kobiet. Przy uwzględnieniu obsady

► Podporucznik Tadeusz Westfal „Ostroga” (w środku), dowódca Kedywu i oddziałów partyzanckich Okręgu AK Białystok; poległ 8 lipca 1944 roku





komendy okręgu oraz sztabów inspektora-tów należy przyjąć, że stan osobowy sięgał ok. 33 500 żołnierzy. Okręg AK Białystok dysponował wówczas uzbrojeniem w postaci: 89 ciężkich karabinów maszynowych, 264 ręcznych karabinów maszynowych, 167 pistoletów maszynowych, 264 karabinów samopowtarzalnych, 3476 karabinów i karabinków, 1204 pistoletów i rewolwerów, 2 karabinów przeciwpancernych, 7 moździerzy, 6 granatników, 75 raketnic, 3679 granatów oraz 763 673 sztuk amunicji. Takie uzbrojenie pozwalało na wykorzystanie bojowe jedynie 16 proc. sił okręgu. Rzeczywisty stan uzbrojenia był jednak nieco wyższy, gdyż sporo broni nie zostało ujęte w ewidencji.

23 czerwca 1944 roku Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę o kryptonimie „Bagration”, skierowaną przeciwko skoncentrowanym na Białorusi wojskom niemieckiej Grupy Armii „Środek”. W trakcie kilkudniowych walk siły główne Wehrmachtu zostały okrążone i rozbite, w czego następstwie w pasie obrony GA „Środek” powstała wyrwa, grożąca całkowitym załamaniem centralnego odcinka frontu wschodniego. Wojska niemieckie przystąpiły do odwrotu, dążąc – dzięki jednostkom przerzucanym z innych odcinków frontu – do ustabilizowania obrony na linii dużych przeszkód wodnych. 7 lipca 1944 roku ppłk Liniarski wydał ostatnie dyspozycje dotyczące realizacji „Burzy” na terenie Okręgu AK Białystok, stwierdzając m.in.: „Przypominam automatyczne rozpoczęcie akcji »Burza«. Inspektor i Dowódca obwodu uderza całością sił na tyły kolumn wycofującego się nieprzyjaciela i opanowuje teren. Wystąpić jako WP AK – opaski, orzełki”. Do 16 lipca 1944 roku naciera-jące na kierunku białostockim oddziały Armii Czerwonej osiągnęły rubież: Niemien–Grodno–Świsłocz–Prużana.

Odtworzenie rzeczywistego przebiegu „Burzy” na terenie Białostoczczyzny jest niełatwe z powodu braku wiarygodnych źródeł – zachowały się jedynie

dokumenty organizacyjne AK opisujące działalność militarną obwodów augustowskiego, ostrołęckiego oraz częściowo suwalskiego. Ustalenia prezentowane w publikacjach napisanych na podstawie wspomnień nierzadko stoją w sprzeczności z dostępnym materiałem źródłowym, czyli dokumentami organizacyjnymi AK. Warto przy tym zauważyć, że akcja „Burza” na Białostoczczyźnie wywołuje rozbieżne oceny badaczy, jak się wydaje – w zależności od ich intencji, od przesadnie optymistycznych (choćby wyrażających się w szacunkach strat niemieckich), do przedstawiających przebieg akcji w krzywym zwierciadle (jak w PRL czyniła to historiografia reżimowa).

Wymierne sukcesy odniósł obwód augustowski, gdzie pododdziały 1. pułku ułanów (łącznie około trzystu partyzantów) wykonały co najmniej 23 akcje oraz stoczyły trzy większe walki, w których rezultacie zabito około czterdziestu żołnierzy niemieckich, przy stracie zaledwie jednego poległego. W obwodzie ostrołęckim pododdziały 5. pułku ułanów (łącznie ponad 230 partyzantów), ponosząc niewielkie straty, zdołały wyeliminować co najmniej 44 żołnierzy i żandarmów. Znacznie większe sukcesy odniósł obwód suwalski, który jednakże okupił to dotkliwymi stratami. Sam tylko III batalion 41. pułku piechoty (liczący blisko 160 partyzantów), wykonując czternaście akcji, staczając dwie większe walki oraz wysadzając trzy pociągi, zadał przeciwnikowi straty w wysokości siedemdziesięciu zabitych, tracąc przy tym ośmiu poległych. Dużą daninę krwi złożył 3. pułk szwoleżerów (około stu partyzantów), który utracił w walkach ponad czterdziestu żołnierzy, w tym swego dowódcę, pchor. Juliana Wierzbickiego „Romana”.

Największe straty poniósł jednak 9. pułk strzelców konnych (350–400 partyzantów) w obwodzie grajewskim. Po początkowych sukcesach (kilkunastu zabitych przeciwników przy minimalnych stratach własnych) pułk skoncentrowany na Czerwonym Bagnie

niebawem znalazł się na bezpośrednim zapleczu linii frontu biegnącej wzdłuż Biebrzy. 8 września 1944 roku w rejonie Jegrznia–rzeka Ełk–Kanał Woźnawiejski rozpoczęła się niemiecka operacja przeciw polskim partyzantom z udziałem oddziałów liniowych Wehrmachtu. W wyniku całodziennych walk pułk został rozbity – poległo blisko stu żołnierzy wraz z dowódcą, ppor. Wiktorem Konopką „Gromem”.

Działania na mniejszą skalę zostały przeprowadzone w obu obwodach grodzieńskich, a także w wołkowyskim, sokólskim, białostockim bielskim, wysokomazowieckim, łomżyńskim oraz zambrowskim. Nie doszło przy tym do walk w Grodnie – drugim co wielkości mieście województwa, a na przedmieściach Białegostoku najprawdopodobniej miało miejsce kilka zaledwie potyczek. Zasygnalizować należy udział w akcji „Burza” oddziałów partyzanckich Narodowej Organizacji Wojskowej i Narodowych Sił Zbrojnych – m.in. w bitwie na Czerwonym Bagnie zginął dowodzący osobiście oddziałem komendanta powiatu grajewskiego NSZ, ppor. Jan Wagner „Jaworski”.

„Zgodnie z planem”

Podczas akcji „Burza” i po jej zakończeniu odbyły się spotkania z oddziałami liniowymi Armii Czerwonej. Zgodnie z przewidywaniami ppłk. Liniarskiego „Mścislawa” dochodziło wówczas do rozbrajania oddziałów partyzanckich AK. Było tak właściwie we wszystkich obwodach, jednak – jak się wydaje – wspomniane zjawisko największe rozmiary przybrało w obwodzie bielskim, gdzie, według dokumentów sowieckich, rozbrojono łącznie blisko 550 żołnierzy AK. Niewyjaśniona przy tym pozostaje śmierć dowódcy Kedywu i oddziałów partyzanckich Okręgu AK Białystok – ppor. Tadeusza Westfala „Ostrogi”, który poległ 8 lipca 1944 roku w rejonie wsi Brzozowo Korabie (obwód wysokomazowiecki). Według jednych – w starciu z własowcami, dezerterami z armii nie-

► Opaska oddziałów partyzanckich AK z akcji „Burza” – rekonstrukcja

mieckiej, zdaniem innych zaś – z sowieckimi spadochroniarzami grupy dywersyjno-rozpoznawczej.

Do jesieni 1944 roku Sowieci opanowali znaczną część obszaru stanowiącego przedwojenne województwo białostockie. Białystok został zajęty 27 lipca, Łomża – 13 września, a Suwałki – 23 października. Jesienią, gdy możliwości zaczepne Armii Czerwonej w zasadzie się wyczerpały, front na Białostocczyźnie ustabilizował się na linii: jezioro Gołdap–Filipów–Żubrynek–Augustów–Kanał Augustowski–Biebrza–Narew. Do stycznia 1945 roku pod okupacją niemiecką pozostawały nadal tereny powiatu grajewskiego, północna część łomżyńskiego i ostrołęckiego oraz skrawki augustowskiego i suwalskiego. Oceniając przebieg akcji „Burza” na podległym terenie, komendant Okręgu AK Białystok ppłk Liniarski „Mścisław” w depeszy radiowej z 8 października 1944 roku zameldował lakonicznie: „»Burzę« przeprowadzano zgodnie z planem”.

W porównaniu z innymi okręgami akcja „Burza” na terenie Okręgu AK Białystok przeprowadzona została w stopniu ograniczonym. Pomimo wytycznych,

które zalecały wprowadzenie do działań wszystkich uzbrojonych ludzi, zmobilizowano jedynie ok. 2,5 tys. żołnierzy, a więc znacznie mniej, niż pozwalałby na to stan uzbrojenia. W walce wzięły udział oddziały partyzanckie, przeważnie szczebla plutonu lub kompanii, sporadycznie tylko batalionu (obwody suwalski oraz łomżyński). Absolutnym wyjątkiem pod tym względem był natomiast obwód grajewski z pułkiem w sile 350–400 żołnierzy. Walki stoczone przez miejscowe oddziały partyzanckie w większości miały charakter potyczek z patrolami, drobnymi pododdziałami, kolumnami transportowymi oraz strażami tylnymi Wehrmachtu. Podczas trwania akcji „Burza” zginęło około dwustu żołnierzy AK, z których aż połowa walczyła w obwodzie grajewskim.

Jak się wydaje, nierównomierne nałożenie działań bojowych na terenie poszczególnych obwodów Okręgu AK Białystok wynikało z ogólnej sytuacji militarnej, sił i środków oraz inicjatywy lokalnych dowódców. Na przebiegu „Burzy” mogła również zaważyć postawa komendanta okręgu – ppłk. Liniarskiego „Mścisława”, którego ne-

gatywne doświadczenia wyniesione z czasów okupacji sowieckiej wpłynęły na decyzję o zakresie przeprowadzonej akcji zbrojnej. Struktury podziemia na podlegającym mu obszarze były wyjątkowo zwarte. Liniarski nie tolerował żadnej samowolnej działalności konspiracyjnej, starał się także kontrolować i w razie konieczności hamować – nawet przy użyciu siły zbrojnej – wszelkie akcje grup niezależnych od AK, w tym w szczególności partyzantki komunistycznej, zwłaszcza że ta ostatnia często podejmowała operacje zaczepne, nie licząc się z reperkusjami ze strony okupanta, jakie mogły one ściągnąć na ludność cywilną. W odróżnieniu od kresowych okręgów wileńskiego i nowogródzkiego, gdzie doszło do masowej mobilizacji oraz ujawnienia niemal całości sił konspiracyjnych, sceptycyzm „Mścisława” odnośnie do perspektyw współpracy z Sowietami pozwolił na zachowanie trzonu struktur organizacyjnych, który kontynuował działalność niepodległościową aż do amnestii z wiosny 1947 roku. ■

Piotr Łapiński – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku



Fot. AIPN

► Żołnierze oddziału partyzanckiego pchor. Juliana Wierzbickiego „Romana” (siedzi drugi od lewej), który poległ 9 sierpnia 1944 roku

Satyra w ziemian

Tomasz Osiński

Po II wojnie światowej ziemianstwo w Polsce znalazło się wśród tych grup, które trwale zostały wyeliminowane ze struktury społecznej. Wywłaszczenie, przeprowadzone pod hasłem reform społeczno-gospodarczych, było istotnym etapem „utrwalania władzy ludowej”. Publikowane w prasie rysunki satyryczne miały propagandowo uzasadnić ten proces.

Wywłaszczeniu ziemian towarzyszyły różnego rodzaju represje – zaczynając od przymusowego przesiedlenia, a kończąc na aresztowaniach i wywóźce w głąb ZSRR. Komuniści nie szczędzili także wysiłków, aby przeciąć zarówno więzi wewnętrzne spajające grupę, jak i zewnętrzne, łączące ziemian z innymi środowiskami. Pożądanym efektem polityki władz wobec ziemianstwa był ostracyzm społeczny, a brzemień „obszarniczego pochodzenia” miało decydować o życiu zawodowym i prywatnym.

Oręż w walce klasowej

Nieodłącznym elementem wszelkich działań wymierzonych w ziemianstwo była propaganda. Zgodnie z zasadami taktyk perswazyjnych, władza, kreując się na wyrazieli pragnień i obrońcę prostego obywatela, wytwarzała przekonanie o powszechnej akceptacji oficjalnego sposobu myślenia. Cel uświęcał środki, więc nie cofano się przed manipulacją. Burzliwy okres powojenny, naznaczony represjami wobec różnych środowisk, wymagał przekazów pełniących funkcję zarówno aktu oskarżenia, jak i usprawiedliwienia. W propagowanym obrazie powojennej rzeczywistości ziemianin stał się wzorem wroga idealnego (uniwersalnego), dlatego też zwalczano go szczególnie wytrwale.

Elementem maszyny propagandowej stała się również satyra. Komuniści dążyli do kontroli nad nią, obawiając się śmiechu

„Człowieczeństwa idzie doba
I szacunku dla człowieka,
Na błękitne ich osoby
Spada przyszłość, jak powieka”
(Jan Sztudynger, *Pożegnanie ziemian*, „Stańczyk” 1944, nr 4)

jako czynnika dającego poczucie wolności, wyzwającego od strachu. Narzucając własny model humoru, pozbawili satyrę opozycyjnego względem władzy charakteru, zmuszając tym samym twórców do konformizmu. O znaczeniu satyry najlepiej świadczy to, że nie była ona domeną jedynie pism satyrycznych, lecz pojawiała się także w prasie społeczno-kulturalnej i codziennej. Istotną rolę w kształtowaniu wyobrażeń zbiorowych odgrywał rysunek satyryczny. Publikowany na łamach prasy obok analitycznych artykułów, haseł oraz zdjęć, pełnił funkcję zarówno ornamentu, jak i komunikatu. Elementy towarzyszące w znacznej mierze ograniczały pole interpretacji, narzucając punkt widzenia autora przekazu.

Zemianie niezbyt często byli bohaterami rysunków satyrycznych publikowanych w prasie ze względu na rozbudowany katalog grup i osób mieszczący się w kategorii „wroga”. Mimo to można wyodrębnić najistotniejsze elementy tworzące propagandowy obraz tej grupy.



Fot. „Szpilki” 1946, nr 24

„Ginie obszarnicza kasta Ziemia chłopska jest – i basta” („Rzeczpospolita” z 12 IX 1944)

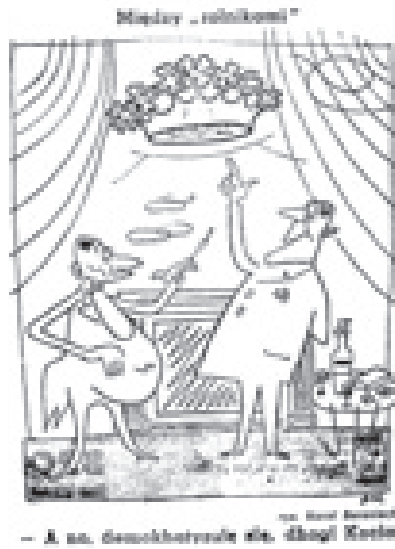
Reforma rolna, realizowana na mocy dekretu PKWN z 6 września 1944 roku, stanowiła ważne ogniwo w lansowanym przez propagandę obrazie przemian społeczno-gospodarczych Polski Ludowej. Bardzo intensywnie eksploatowano to wydarzenie szczególnie w pierwszych kilkunastu miesiącach, natomiast blask reformy wyraźnie gasł z chwilą rozpoczęcia kolektywizacji rolnictwa. Władze rozczarowane powściągliwą postawą chłopów, beneficjentów reformy, pod wpływem presji Stalina zradycalizowały metody realizacji dekretu. Jednym z elementów nowej polityki była zdecydowana walka z ziemianstwem, także w przestrzeni symbolicznej, przez kształtowanie negatywnego wizerunku tej warstwy społecznej.

Pierwsze rysunki satyryczne, autorstwa Ignacego Witza i Juliusza Krajewskiego, ukazały się w październiku 1944 roku na łamach „Wsi” i „Stańczyka”. Odwoływano się w nich do dwóch zasadniczych schematów: silnie zakorzenionych antagonizmów w relacjach

wsii i dworu oraz zagrożenia, jakie dla realizacji reformy stanowili ziemianie, próbujący wszelkimi dostępnymi metodami zahamować wykonanie dekretu. Witz istotę wzajemnych relacji ukazał, wykorzystując symbolikę kajdan. Podkreślał tym samym głębszy, społeczny, sens reformy jako „aktu wyzwolenia”. Uzupełniający przekaz wizualny podpis – „O jak niewdzięczni są ci chłopcy, a tak byli do mnie przywiązani” – sugerował wsteczność i „egoizm klasowy” ziemian. Sięgając głębiej, można było się doszukiwać krytyki gospodarki kapitalistycznej, a szczególnie zachowanych elementów feudalizmu. Pogardliwy stosunek do chłopów wyrażał także „zamaszysty szlagon” – bohater rysunku Krajewskiego („Bieda mospanie, chamom znów się ziemi zachciało...”), poszukujący inspiracji do przezwyciężenia obecnych problemów w doświadczeniach minionych pokoleń. Symbolem tych poszukiwań było wpatrywanie się w galerię portretów przodków.

Chętnie odnoszono się także do symbolicznego znaczenia słońca, aby ukazać mocną pozycję nowej władzy. Na rysunku Mieczysława Piotrowskiego widzimy wschód słońca nad uśpioną, spokojną wsią, z napisem na tarczy „reformy rolne”. Idyllę tej sceny zakłóca ziemianin, który trzyma nad głową motykę wymierzoną w słońce. Negatywną rolę ziemianina potęguje zabieg zoomorfizacji, upodabniający go do ptaka padlinożercy.

Słońce i motyka występujące w opozycji oznaczały dysproporcję sił. Automatyczne skojarzenie zabiegów ziemiaństwa z powiedzeniem o „porywaniu się z motyką na słońce” miało podnosić autorytet władzy oraz uspokajać, że reforma to trwałe osiągnięcie. Słońce oświetlające wieś jako motyw podkreślający słuszność polityki wykorzystał także Witz. Zestawił on (na zasadzie opozycji „tu – tam”) sukcesy nowej władzy na tle



Fot. „Szpilki” 1946, nr 13

bezproduktywności polskich polityków w Londynie.

„Jeden tylko, jeden cud:/ Z szlachtą polską – polski lud” (Z. Krasieński, *Psalm miłości*)

Do chwili likwidacji Polskie Stronnictwo Ludowe traktowane było przez komunistów jako najniebezpieczniejszy przeciwnik polityczny i bezpardonowo zwalczane. Prezes PSL Stanisław Mikołajczyk, wicepremier oraz minister rolnictwa i reform rolnych w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej, stanowił także atrakcyjny temat dla satyryków. Jednym z zarzutów stawianych Mikołajczykowi był nieformalny sojusz z „obszarnikami”, jak po 1944 roku komuniści nazywali ziemian. Przejawów współpracy dopatrywano się w polityce personalnej instytucji państwowych związanych z rolnictwem, faworyzujących ludzi pochodzenia ziemiańskie-

go, czy w korzystnych dla ziemian decyzjach urzędów odpowiedzialnych za realizację reformy rolnej. W związku z powyższym prasa bardzo często patologię w rolnictwie określała mianem „spuścizny Mikołajczyka” jeszcze długo po jego ucieczce na Zachód w październiku 1947 roku.

Związki „obszarników” i działacze PSL stały się bardzo wygodnym argumentem w walce propagandowej, dzięki któremu starano się konsekwentnie kwestionować prawo tej partii do reprezentowania interesów wsi. Było to tym ważniejsze, że w Polsce działało również Stronnictwo Ludowe akceptowane przez władzę. Częstym zabiegiem stosowanym przez karykaturzystów było ukazywanie prawdziwego rzekomo zaplecza społecznego PSL. Do partii Mikołajczyka wstępował „szlachcic” rozparty w fotelu – tronie z napisem „Oberszaber” na tarczy herbowej; „demokratyzować się” pod znakiem korony ozdobionej czterolistną koniczyną zamierzał „rolnik” z wyższych sfer, informując o wszystkim swego przyjaciela, pieściotliwie zwanego „Kociem”. Nawet August Bęc-Walski, stworzony przez Karola Ferstera (ps. Charlie) symbol „głupoty i kołtuństwa”, wiedział, że jedno ze stronnictw ludowych było „trochę jego”. Oczekiwano, że zacznie się materializować wizja przedstawiona na rysunku opublikowanym w „Chłopskiej Drodze” w 1947 roku i z PSL zostanie, po odejściu „ludu”, „P(ańskie) S(tronnictwo)”. Na jednym z najciekawszych rysunków autorstwa Ferstera, zatytułowanym *Marzenia rozparcelowanego*, wicepremier grał rolę „św. Mikołaj(czyk)a”. Stojąc nad śpiącym „rozparcelowanym”, Mikołajczyk trzymał kwintesencję „raju utraconego” – pałac i stojącego przed nim w pokornym ukłonie chłopca, co symbolizowało dobra materialne i stary (feudalny) porządek społeczny.

Elementy szlacheckie towarzyszyły antypeeselowskiej propagandzie również przed ważnymi wydarzeniami: referendum (30 czerwca 1946 roku) czy wyborami (19 stycznia 1947 roku). Eryk Lipiński przedstawił „głos wołającego na

ARISTOKRACJA PRZED WYBORAMI



Fot. „Mucha” 1947, nr 3

puszczy” „kontuszowego – Mikołajczyka”, który staropolskim „nie pozwalam” odpowiadał na pierwsze pytanie referendum. W tle, dla zilustrowania faktycznego – według komunistów – układu sił, widoczna była masowa manifestacja poparcia dla władzy.

Jako swoiste apogeum rysunków satyrycznych wymierzonych w rzekome związku PSL z „obszarnikami” można potraktować rysunek *Ich pochód* z „Chłopskiej Drogi” z maja 1947 roku. Motyw centralny stanowi trawestacja nazwy partii na hasło „Pasek Szaber Lenistwo”, które niosący je ludowiec i dziedzic mieli jakoby zamiar zaszczyć w narodzie.

„Były w sejmie kłótnie panów / dziś jest w sejmie kuźnia planów” („Nowa Kultura” 1952, nr 43)

Osiągnięcia Polski Ludowej wyglądały szczególnie okazale, jeżeli były odpowiednio przedstawiane na tle II Rzeczypospolitej. Zasada opozycji „my – oni”, „tu – tam” czy „przeszłość – teraźniejszość” sprawdzała się idealnie w propagandzie, a efektywność przekazu zwiększała jaskrawość kontrastu. Pozytywne skutki opieki państwa nad chłopem widać na rysunku opublikowanym w „Szpilkach” w sierpniu 1951 roku. Autor zderzył bliżej nieokreślone „dawniej” pod znakiem „łaski pańskiej” z „dziś”, podsumowanym określeniem „pomoc państwa”. Na rysunku widać cały system znaków podkreślający relacje interpersonalne uwarunkowane pochodzeniem społecznym. W przypadku chłopca brak możliwości wyboru i rezygnacja spowodowały godzenie się z sytuacją, stąd pokora jako reakcja na groźną pozę „pana” symbolizującą władzę absolutną. Natomiast „dziś” to rolnicze eldorado – elektryfikacja, nawozy sztuczne, maszyny rolnicze ze spółdzielczego ośrodka maszynowego oraz stworzone przez państwo ochotnicze brygady organizacji Służba Polsce. Rysunek wpi-

suje się w akcję propagującą spółdzielnie rolnicze, akcentując wyższość pracy zespołowej.

Bardzo podobną konwencję zastosował Jerzy Flisak w 1951 roku. Do przedstawienia chłopskiego „dawniej” i „dziś” wykorzystał motyw owoców pracy. W tym celu pracę wielu rąk na bogactwo nielicznych („Dawniej chłop jaśnie państwu”) ukazał w opozycji do pracy dla dobra ogółu („Dziś chłop państwu”). Oba rysunki wpisywały się w akcję promującą kolektywizację rolnictwa.



... Praca jest wsi, przynosi i umożliwia dobre życie chłopca...

Fot. „Mucha” 1946, nr 4

Zbankrutowana klasa

W rysunkach satyrycznych chętnie komentowano też życie codzienne byłych ziemian. Ogólnie mówiąc, kreowano sielankowy obraz rozdyktowanej, rozbawionej, beztroskiej, zanurzonej w przeszłość, nieprzystającej do nowej rzeczywistości i dobrze sytuowanej grupy. Przedstawiano reprezentantów tego środowiska w trakcie spacerów, konwersacji, balów, spotkań w restauracji, nigdy zaś w trakcie „konstruktywnej pracy”. Oczywiście, nie godzili się oni z zaistniałym stanem rzeczy. Ziemiani na cechował upór i chęć konfrontacji. Zmieniał nazwisko, „żeby nawet najzagorzalsi demokraci musieli do niego adresować: Ob. Szarnik”. Bohaterowie rysunków mieli do rzeczywistości stosunek krytyczny, pocieszała się, podnosili na duchu, podsycali nadzieję na lep-

szą przyszłość. Przyszłość, która – jak podkreślała propaganda – dla większości społeczeństwa stanowiłaby krok do tyłu. Motywem przewodnim było ośmieszanie skarg na trudne warunki życia przez ukazywanie ich absurdalności. Bęc-Walski, „król absurdu”, poinformowany, że „w piątek *Hrabina* w teatrze”, odpowiedział: „Tak, tak. Ciężkie czasy dla naszej sfery, skoro hrabiny już muszą występować w teatrach!”. Uczestnicząc w wystawnym przyjęciu, usłyszał: „Tak, panie kolego, ludzie naszej sfery nie mają dzisiaj prawa do życia...”. Szczególnie

wymowna była kpina z ciężkiego losu „starej hrabiny Kociołubskiej”, która – pozbawiona opału – paliła w piecu „swym drzewem genealogicznym...”.

Przekaz wzmacniały zapewne także elementy wskazujące na kontynuowanie dawnego stylu życia, widoczne w ubiorach i wystroju wnętrz oraz zatrudnianiu służby czy kulcie przodków (galeria portretów, drzewo genealogiczne). Na rysunku *Między rozparcelowanymi* utrwalony został moment wręczania świadectwa ubóstwa. Służąca podawała świadectwo ziemiance, która siedziała w luksusowo wyposażonym salonie z kominkiem. Ukazywanie przedstawicieli środowiska jako ludzi – delikatnie mówiąc – puszystych miało symbolizować ich status materialny, jak chociażby w rysunku Eryka Lipińskiego *Ofiara reformy rolnej*, a tym samym przeczyć tezie, że zostali oni pozbawieni materialnych podstaw bytu. Liczono, że osłabi to mogące występować na wsi współczucie.

Banda sabotażystów i szpiegów imperializmu

W omawianym okresie strach pełnił także funkcję mobilizacyjną i integrującą, powodując wzmożoną czujność. Nawet drobne trudności, których było wiele, w świetle materiałów prasowych stawały się

— Tak, panie kolego, ludzie naszej sfery nie mają dzisiaj prawa do życia...

efektem działania „szpiegów i sabotażystów”, „agentów podziemia”, „reakcjonistów”, „szajki sanacyjnych dygnitarzy”, „bankrutów londyńskich”, „imperialistów”. Wielokrotnie powoływano się na działalność „szajki obszarniczej”. To ludzie z wyższych sfer ze zdwojoną energią mieli oddawać się „wrogiej propagandzie”, w czym szczególnie celował Bęc-Walski. Nic dziwnego, że na rysunkach satyrycznych, ilustrujących stygmatyzujące przeciwników władzy artykuły prasowe, można było zobaczyć rozmarzonego „dobrze odżywionego jegomościa” na kanapie, w otoczeniu „trunków i zakąsek”, doprowadzonego do irytacji reformą rolną. W ten sposób Eryk Lipiński przedstawiał „reakcjonistę”, marzącego o nowym światowym konflikcie zbrojnym.

Dużym zainteresowaniem cieszyła się sprawa Andrzeja i Marii Potockich z Krzeszowic, którzy próbowali uciec z Polski i przewieźć przez granicę kolekcję dzieł sztuki. Głos w tej kwestii zabrali znani karykaturzyści Jerzy Zaruba i Mieczysław Piotrowski. W 1950 roku, gdy władze wzięły na celownik katolicki „Caritas”, zarówno „Szpilki”, jak i „Chłopska Droga” kpily z postawy moralnej odpowiedzialnych za podział środków i dobór adresatów pomocy charytatywnej. Na rysunku opublikowanym w „Chłopskiej Drodze” wsparcie z „Caritasu” stanowiło „główny dochód” jegomościa o niedwuznacznym nazwisku „Obszarnicki”.

Oczywiście karykaturzyści odnieśli się także do najbardziej „obszarniczego” z procesów politycznych, a mianowicie procesu kierownictwa Państwowych Nie ruchomości Ziemi (przedsiębiorstwo zarządzające państwowymi gruntami rolnymi) w 1951 roku. Ciekawy rysunek ukazał się wtedy w „Sztandarze Ludu”. Przedstawiono oskarżonych jako owady z ludzkimi głowami w koronie drzewa, z napisem PNZ, symbolizującego odbudowę rolnictwa. Owady były wypuszczane z worka przez

stojącego obok mężczyznę. Na szczycie „łańcucha” sprawców znajdowała się dużych rozmiarów dłoń trzymająca mężczyznę. Autor uzupełnił rysunek o rozstrzygający wszelkie wątpliwości podpis „Mikołajczykowska szarańcza”. Siłę przedstawioną w postaci dłoni pozwalała natomiast rozpoznać widoczna na fragmencie rękawa flaga amerykańska. Tak więc na wspomnianym rysunku przedstawiono Stanisława Mikołajczyka, który z inspiracji „zachodnich imperialistów” prowadził celowo błędną politykę personalną, powierzając ster kluczowej dla gospodarki Polski Ludowej dziedziny w ręce „obszarników”. Skalę zniszczeń dokonanych jakoby w rolnictwie symbolizowało ukazanie oskarżonych w postaci szarańczy. W tym przypadku autor dokonał klasycznej degradacji postaci przez zoomorfizację.

Rysunek satyryczny, posługując się ideologicznym instrumentarium, uzasadniał społeczne wykluczenie środowiska wiejskiego. Istotne było ukazanie tej grupy jako reliktu przeszłości, obciążonego licznymi wadami, która nie mogła posłużyć jako wartościowy materiał do budowy nowego społeczeństwa, a raczej zagrażała trwałości tej budowli. Najwięk-

szy zasięg walka z ziemiaństwem osiągnęła w okresie realizacji reformy rolnej, przechodząc następnie w fazę symbolicznego ukazywania „ustroju obszarniczokapitalistycznego” jako złowieszczej alternatywy dla Polski Ludowej. Na rysunku Jerzego Zaruby z 1954 roku, opublikowanym na łamach „Szpilek”, wśród dokonań komunistów w pierwszej dekadzie ich rządów znalazło się wyeliminowanie z życia społeczno-gospodarczego „obszarnika” obok m.in.: „konika”, fabrykanta, szabrownika, bandyty, sklepikarza, bankiera. Wyłaniający się z rysunków były ziemianin to nadal dobrze sytuowany malkontent, oczekujący upadku systemu, kultywujący dawne tradycje i z nostalgią powracający do przeszłości. Równoległe karykatura nakazywała czujność, strasząc, że obszarnik potrafi wykorzystać do swoich celów koniunkturę polityczną, a dzięki zdolności do transformacji staje się podżegaczem wojennym, reakcjonistą, szpiegiem, szkodnikiem czy sabotażystą. 🍌

dr Tomasz Osiński – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Lublinie

Rozszerzona, naukowa wersja artykułu ukaże się w wydawnictwie pokonferencyjnym *Obraz ziemiaństwa w literaturze, nauce i publicystyce*.



Fot. „Szpilki” 1946, nr 44



Fot. „Sztandar Ludu”, 28 I 1951

Ukraińska rana

Jan Pisuliński

Akcja „Wisła” to centralny punkt pamięci i symbol martyrologii społeczności ukraińskiej w Polsce. W każdą rocznicę tych wydarzeń budzą się skrajne emocje. Jedni działania komunistycznych władz Polski określają mianem ludobójstwa, inni, jak nieżyjący już historyk Edward Prus, twierdzą, że były dobrodziejstwem, bo przesiedleńcy trafili na dużo bardziej rozwinięte cywilizacyjnie tereny.

Akcja „Wisła” nie była pierwszą deportacją, która dotknęła społeczność ukraińską po II wojnie światowej. Do lata 1946 roku przesiedlono na sowiecką Ukrainę, nieraz w sposób niezwykle brutalny, prawie pół miliona osób narodowości ukraińskiej. Operację zakończono w przekonaniu o wysiedleniu niemal wszystkich Ukraińców.

W rzeczywistości, według szacunków podziemia ukraińskiego, w Polsce wciąż pozostało ok. 30 proc. powojennej społeczności ukraińskiej, żyjącej w sporej części w rodzinach mieszanych, które wyłączono z deportacji do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przesiedlenie nie pozbawiło więc podziemia ukraińskiego ani ludzi, ani zasobów materialnych, na co liczyły wła-

dze Polski Ludowej. Siły Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i stworzonej przez nią Ukraińskiej Powstańczej Armii (ok. 2,5 tys. osób), choć zmniejszyły swoją aktywność, chcąc pozyskać Polaków przeciwko wspólnemu komunistycznemu wrogowi, pozostały w zasadzie nie naruszone. Dlatego wkrótce dowódcy jednostek wojskowych zwalczających UPA i część lokalnej administracji zaczęli domagać się wznowienia akcji wysiedleńczej, argumentując, że pozostali Ukraińcy nadal – dobrowolnie bądź pod przymusem – pomagają podziemiu. Domagali się tego m.in. wojewodowie lubelski i rzeszowski oraz szef Oddziału III (operacyjnego) Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Ostap Steca, notabene Ukrainiec pochodzący z Kołomyż w powiecie sanockim, walczący przeciwko Polakom w 1919 roku, który potem przeszedł na stronę bolszewików (podziemie ukraińskie miało zabić mu siostrę). Z drugiej strony, lokalne władze podkreślały lojalną postawę resztek ludności ukraińskiej, a zwłaszcza łemkowskiej, czego dowodem było chociażby głosowanie na Blok Demokratyczny – komunistów i ich sojuszników – w wyborach w styczniu 1947 roku. Wyrażały przy tym przekonanie o ich szybkiej asymilacji. Z ówczesnych meldunków UPA wynika, że rzeczywiście wielu ukraińskich chłopów nie chciało pomagać podziemiu z obawy przed powtórzeniem przesiedlenia. Wysoko postawiony członek siatki OUN Jarosław Hamiwka w zeznaniach złożonych 27 maja 1947 roku oficerowi śledczemu GO „Wisła” szacował poparcie podziemia na 50 proc.

Warto zauważyć, że z ogłoszonej w lutym 1947 roku amnestii, która miała służyć wyprowadzeniu z lasu antykomunistycznego podziemia zbrojnego, z niewiadomych względów wyłączono członków formacji ukraińskich. W rezultacie stali się oni najsilniejszą antykomunistyczną formacją zbrojną, a przez

► Patrol żołnierzy II Brygady KBW w Bieszczadach

to skupili na sobie uwagę władz, uważających ich dotąd za problem lokalny.

Pretekst: śmierć generała

W lutym 1947 roku do postulatu przesiedlenia ludności ukraińskiej (szacowanej wówczas na niewiele ponad 20 tys. osób) wrócił gen. Stefan Mossor, zastępca szefa Sztabu Generalnego WP (notabene przedwojenny oficer), proponując jej rozproszenie w celu szybszej asymilacji. Ale aż do marca 1947 roku próbowano wznowić przesiedlenia do USRR. Dopiero wówczas zdecydowano o przesiedleniu wewnętrznym, w obrębie kraju. W połowie marca podjęto przygotowania do operacji o kryptonimie „R”, mającej na celu przesiedlenie ludności ukraińskiej z województwa rzeszowskiego na ziemię poniemieckie.

Na posiedzeniu Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa 27 marca 1947 roku na wniosek Mossora podjęto uchwałę o przesiedleniu ludności ukraińskiej z województwa rzeszowskiego. Następnego dnia w Bieszczadach w trakcie wizytacji jednostek WP w zasadzce UPA zginął gen. Karol Świerczewski, wiceminister obrony narodowej. 29 marca Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej podjęło decyzję o przesiedleniu całej ludności ukraińskiej na tzw. Ziemię Odzyskane. Sekwencja działań w tej sprawie jasno pokazuje, że śmierć wiceministra obrony narodowej była zaledwie propagandowym pretekstem do przeprowadzenia przesiedlenia, co powyżej przyspieszając jego rozpoczęcie.

W ciągu następnych dwóch tygodni operacja, ograniczona początkowo do pasa pomiędzy Nowym Sączem a Hrubieszowem, nabrała rozmachu. 11 kwietnia Biuro Polityczne KC PPR zdecydowało o użyciu znacznie większych sił (ponad 21 tysięcy ludzi) do działań przeciwko podziemiu ukraińskiemu i powołaniu sztabu koordynującego akcję z gen. Mossorem na czele. Przygotowanie planu przesiedlenia powierzono Władysławowi Wolskiemu, wiceministrowi administracji publicznej i zarazem szefowi Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. 16 kwietnia na kolejnym posiedzeniu PKB omówiono

naprędce przygotowany projekt organizacji akcji specjalnej „Wschód”, w wielu elementach powielający wcześniejszy plan operacji „R”. W trakcie posiedzenia wiceminister obrony narodowej gen. Marian Spychalski zaproponował zmianę nazwy operacji na „Wisła”. To najprawdopodobniej Spychalski zaproponował na dowódcę całej akcji wspomnianego gen. Mossora. Według gen. Stanisława Zawadzkiego, Spychalski powiedział, że „jeśli chodzi o Ukraińców, to każdy przedwojenny wojskowy należycie przeprowadzi tę akcję, bo i przed wojną nie lubiano Ukraińców”. Wskazuje to na pewne elementy nacjonalistycznego myślenia w formowaniu się idei przesiedlenia – postrzeganie wszystkich Ukraińców jako wrogów Polski.

W następnych dniach powiadomiono władze sowieckie i czechosłowackie o zamiarze przeprowadzenia przesiedleń, prosząc o zabezpieczenie granicy przed uciekinierami i partyzantką ukra-

ińską. Grupę Operacyjną „Wisła” powołano zarządzeniem PKB z 17 kwietnia 1947 roku. Najważniejszą zmianą było położenie akcentu na likwidację „band UPA”, a przesiedlenie stało się jednym z elementów planu. Formalną legitymacją akcji była uchwała Prezydium Rady Ministrów z 24 kwietnia, a więc podjęta już po rozpoczęciu akcji. Operację organizowano w dużym pośpiechu. Przewidywano, że zostanie zakończona w ciągu czterech tygodni. Do akcji rzucono 19 kombinowanych (tzn. utworzonych *ad hoc*) pułków. Do tego dochodziły podporządkowane GO „Wisła” siły aparatu bezpieczeństwa, MO, Służby Ochrony Kolei i Wojsk Ochrony Pogranicza.

Sowiecka inspiracja?

Oficjalnym celem „akcji specjalnej” o kryptonimie „Wisła” była całkowita likwidacja podziemia ukraińskiego (w projekcie operacji zapisano: „ostateczne rozwiązanie problemu ukraińskiego”, co





Fot. ze zbiorów Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej

► Oficer KBW przesłuchuje schwytanych partyzantów ukraińskich

nasuwa skojarzenia ze sformułowaniem użytym przez hitlerowców na określenie celu Holocaustu). Oprócz działań wojskowych przewidywano przesiedlenie całej ludności ukraińskiej i mieszanej współpracującej z UPA (jak to określono w planie działania GO: „wszelkie odcienie narodowości ukraińskiej”), by w ten sposób pozbawić ją zaplecza materialnego i ludzkiego. Warto zwrócić uwagę na to, że społeczność ukraińską szacowano wówczas na 80 tys. osób. Nie dowiemy się, czy podjęto by taką akcję, wiedząc, że przesiedlonych zostanie prawie dwa razy więcej ludzi.

Wielu badaczy uważa, że faktycznym celem władz była szybsza asymilacja pozostałych Ukraińców w imię budowy jednolitego narodo państwa. Warto jednak zauważyć, że – inaczej niż w przypadku wcześniejszych przesiedleń do USRR – w żadnym znanym dokumencie nie odwoływano się do tej idei. Ponadto przesiedleni Ukraińcy mieli pozostać w granicach państwa polskiego, jakkolwiek ich rozproszenie i pozbawienie szkolnictwa we własnym języku oraz możliwości sprawowania własnej liturgii z pewnością sprzyjały procesom asymilacyjnym.

Wśród możliwych powodów przesiedleń wskazuje się również na obawy, że dalsza obecność Ukraińców w przygranicznych powiatach południowo-

-wschodniej Polski może stać się dla ZSRR pretekstem do przyłączenia tych terenów do sowieckiej Ukrainy. Komunistyczne władze wykorzystały również akcję do pozyskania sympatii społeczeństwa polskiego po sfałszowanych wyborach. Przy okazji chciano zagospodarować najsłabiej zaludnione tereny poniemieckie.

W polskiej historiografii do dzisiaj toczy się spór, czy akcja „Wisła” była samodzielną decyzją komunistów rządzących Polską, czy też zapadła z inicjatywy Moskwy. Związek Radziecki na pewno był zainteresowany likwidacją irredenty ukraińskiej, która zagrażała także jemu samemu. Nie było to jednak zapewne poważniejszym zmartwieniem, skoro przez dwa poprzednie lata siły NKWD w Polsce zajmowały się głównie zwalczaniem podziemia polskiego. Dotąd jednak nie znaleziono dokumentów ostatecznie potwierdzających sowiecką inspirację bądź jej zaprzeczających.

Kulturalne przesiedlenia, brutalne przesłuchania

Pierwsze jednostki wojska przystąpiły do zwalczania podziemia już 21 kwietnia i tę datę należy przyjąć jako początek akcji specjalnej „Wisła”. Na podstawie administracyjnych wykazów ludności dostarczonych przez lokalne urzędy UB sporządzono listy osób przeznaczonych do usunięcia.

28 kwietnia o czwartej nad ranem rozpoczęto przesiedlanie. W otaczanej szczelnie przez wojsko miejscowości dawano mieszkańcom kilka godzin (zwykle dwie) na spakowanie się. Później przewożono ich w konwoju do punktów zbornych. Przesiedlani na ogół nie stawiali oporu, przekonani o jego beznadziejności; niektórzy nawet dali po sobie poznać, że odczuwają ulgę, że nie zostaną deportowani do Sowieców. W tak krótkim czasie nie byli na ogół w stanie wziąć dużo rzeczy, zwłaszcza że powszechnie brakowało furmanek i koni. Często wywożono wszystkich mieszkańców wsi i dopiero w nowym miejscu z pomocą funkcjonariuszy UB weryfikowano przygotowane wcześniej listy osób przeznaczonych do przesiedlenia. Pozostała na miejscu ludność polską często grupowano w większych miejscowościach dla ochrony przed odwetem UPA. Zgromadzonych w punktach zbornych przesłuchiowano w celu uzyskania informacji o oddziałach UPA i ewentualnego zwerbowania. Następnie przesiedleńcy po kilku dniach trafiali na stacje załadowcze, skąd wyjeżdżali w kierunku Szczecinka lub Olsztyna. Do miejsc osiedlenia trafiali zazwyczaj w ciągu kilku, rzadziej – kilkunastu dni. Po drodze transporty zatrzymywały się w Oświęcimiu, gdzie dokonywano kolejnej selekcji, wyławiając osoby podejrzewane o współpracę z podziemiem. Były one kierowane do Centralnego Obozu Pracy w pobliskim Jaworznie.

Należy podkreślić, że postępowanie wojska było nieporównywalnie bardziej humanitarne niż przy poprzednim, zaledwie o rok wcześniejszym przesiedleniu. Przyczyniły się do tego słaby opór Ukraińców i brak przeciwdziałania ze strony podziemia (siły OUN/UPA zniszczyły 1118 budynków, jedenaście mostów i dwie stacje kolejowe – spodziewano się większej aktywności), ale także instrukcje aparatu polityczno-wychowawczego, nakazujące dobre traktowanie ludności cywilnej. Inaczej też niż poprzednio, na stacjach objęto wysiedlanych opieką urzędu repatriacyjnego, zapewniano wyżywienie, opiekę medyczną i paszę dla zwierząt. Przesiedleńcy zwykle czekali na transport nie dłużej niż dwa tygodnie, nie umieszczano też na

ogół więcej niż dwóch rodzin w jednym wagonie. Wielu z nich we wspomnieniach podkreślało pomoc okazywaną przesiedlanym przez żołnierzy, chociaż liczne były też skargi na ich brutalność. Najdotkliwszy okazał się pobyt w punktach zbiorczych, gdzie przesiedleńców często torturowano w trakcie przesłuchań, by wydobyć od nich informacje o podziemiu.

W pierwszej fazie akcją przesiedleńczą objęto tereny najliczniej zamieszkałe przez ludność ukraińską. Z tego powodu do 10 maja wywieziono prawie jedną trzecią całkowitej liczby przesiedleńców, czyli ponad 43 tys. osób. W następnych tygodniach zwolniono tempo akcji, ale i tak do połowy czerwca przesiedlono prawie 75 tys. Ukraińców. Chociaż GO „Wisła” rozwiązano 31 lipca 1947 roku, po tej dacie z niezrozumiałą determinacją (zważywszy na to, że w lasach pozostały już tylko niewielkie grupy upowców) kontynuowano przesiedlenia pozostałej ludności ukraińskiej i rodzin mieszanych. Po zakończeniu akcji do każdego z powiatów kierowano tzw. grupy kontrolne do „oczyszczenia terenu” – sprawdzające, czy na danym obszarze pozostają jeszcze osoby podlegające przesiedleniu. Wyłączono z niego tylko niektóre rodziny ukraińskie lub mieszane, których członkowie pracowali w aparacie państwowym lub służyli w Wojsku Polskim. Zostawiano też osoby stare i niezdolne. Jeszcze na przełomie września i października z powiatów hrubieszowskiego i włodawskiego przesiedlono 424 osoby. Z niewiadomych przyczyn nie przeprowadzono przesiedleń w większych miastach (pierwotnie zaplanowano je na późniejszy termin), chociaż liczbę ich ukraińskich mieszkańców szacowano (przesadnie) nawet na 30 tys. W następnych latach deportowano kolejne grupy Ukraińców, głównie osoby, które bez zgody władz powróciły do dawnych miejsc zamieszkania.

Wśród przesiedleńców były również osoby narodowości polskiej, uważane za nielojalne wobec komunistów. W powiecie przemyskim wysiedlano np. rodziny ludowców z PSL, m.in. posła Krajowej Rady Narodowej Michała Głowacza. Na listy wysiedleńcze ubecy wpisywali też folksdojczów.

Ogółem akcją „Wisła” i późniejszymi wywózkami objęto 1244 miejscowości

szczy i dzieci), ofiar nieszczęśliwych wypadków bądź samobójców (oficjalne dane mówią o 28 bądź 31 ofiarach). Więcej ofiar pochłonął obóz w Jaworznie. Z założenia kierowano doń osoby podejrzewane o współpracę z podziemiem, a także inteligencję ukraińską. W praktyce jednak trafiło tam wielu przypadkowych ludzi, w tym kobiety i dzieci. Wśród nich były np. osoby oskarżane o zbieranie ziół na leki dla

podziemia czy tylko o niepowiadomienie wojska o obecności oddziału UPA we wsi. Pierwszy transport trafił tam 9 maja. Ogółem w obozie znalazło się prawie 4 tys. Ukraińców. Uwięzionych torturowano i poddawano brutalnemu śledztwu; większości z nich nigdy nie postawiono przed sądem. Na skutek tortur i ciężkich warunków obozowych zmarły 162 osoby. Prawie wszystkich pozostałych zwolniono w okresie od grudnia 1947 do czerwca 1948 roku.

Wyludnione Bieszczady

Przesiedleńców początkowo kierowano do województw gdańskiego i szczecińskiego, z czasem też do pozostałych województw północnej i zachodniej Polski. Najwięcej trafiło do województwa olsztyńskiego (ok. 50 tys.). Na miejscu otrzymywali gospodarstwa poniemieckie, zwykle już rozszabrowane i zdewastowane, ale dla wielu brakowało nawet takich i musieli sami szukać miejsca do życia. Władzom nie udało się utrzymać pierwotnych ograniczeń i w niektórych miejscach tworzyły się większe społeczności przesiedleńcze, sięgające nawet 40 proc. mieszkańców.

W następnych latach postępowanie wobec przesiedleńców stopniowo łagodzone. Otrzymywali oni nawet pomoc materialną od państwa, a na początku lat pięćdziesiątych władze zezwoliły na nauczanie w języku ukraińskim i działalność wspólnot prawosławnych oraz greckokatolickich. Jednakże aż do 1956 roku obowiązywał bezwzględny zakaz powrotu do dawnych miejsc zamieszkania bez



Fot. AIPN

► Ukraińcy w trakcie przesiedlenia pod nadzorem żołnierzy KBW

w 19 powiatach trzech województw: krakowskiego, lubelskiego i rzeszowskiego. Według oficjalnych danych, na terenach objętych przesiedleniami pozostały w rodzinach mieszanych i ukraińskich 5832 osoby narodowości ukraińskiej. Faktycznie liczbę pozostałych Ukraińców na podstawie dokumentów i opracowań należałoby pewnie szacować na nawet 15–20 tys.

W trakcie akcji przesiedleńczej, według niezwyfikowanych przekazów, zginęło co najmniej kilkudziesięciu cywilów, nie licząc zmarłych w punktach zbiorczych lub w czasie transportu (głównie osób star-

194

194

►

8 października 2012 roku Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie wszczęła śledztwo w sprawie akcji „Wisła”. Zakwalifikowała ją jako zbrodnię komunistyczną, stanowiącą jednocześnie zbrodnię przeciwko ludzkości, polegającą na przymusowym wysiedlaniu obywateli polskich narodowości ukraińskiej z południowo-wschodnich terenów Polski, co stanowiło naruszenie prawa człowieka do samostanowienia oraz poważne prześladowanie z powodu przynależności do określonej grupy narodowościowej. Obecnie, w toku śledztwa, ustalane są dane personalne osób wysiedlonych. Osoby te są następnie przesłuchiwane w charakterze świadków i pouczone o uprawnieniach przysługujących pokrzywdzonym.

zgody władz. Zezwoleń udzielano tylko nielicznym, choć partyzantka ukraińska przestała istnieć już w 1948 roku.

W 1956 roku minister oświaty Witold Jaroński uznał przesiedlenie Ukraińców za błąd: „Jednakże względy te [zdezorientowanie społeczności ukraińskiej i jej uleganie terrorystom z UPA, a co za tym idzie – utrudniona walka z bandami] żadną miarą nie mogą usprawiedliwić metod i form, w jakich przesiedlenie zostało dokonane. Żadną miarą nie można usprawiedliwić krzywd wyrządzonych niewinnej ludności w toku tej akcji. Pozostawia ona głęboki żal i poczucie nieprzewyciężonej do końca po dziś dzień niezastuzonej krzywdy u przesiedlonych”. Pozwolono im na powrót w rodzinne strony, nie mogli jednak odzyskać swoich gospodarstw, wcześniej przejętych przez państwo. Niemniej w następnych latach powróciło prawdopodobnie kilkanaście tysięcy osób.

Do dziś toczą się spory o ocenę akcji „Wisła”. Wielu badaczy uważa ją za nieuzasadnione zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej, inni uznają ją za konieczność w obliczu irredenty ukraińskiej. Warto zauważyć, że przesiedleniem objęto także zachodnią i środkową Łemkowszczyznę, gdzie UPA miała znakomite poparcie (łącznie należało do niej niewiele ponad stu ludzi). Większość tamtejszych Łemków nie czuła się nawet Ukraińcami i nie tylko nie wspierała podziemia, ale wręcz je zwalczała. Podobnie było na Podlasiu, gdzie rachityczne struktury konspiracji ukraińskiej istniały dopiero od 1945 roku, natomiast znacznie więcej miejscowych Ukraińców należało do PPR, służyło w MO czy UB. Przesiedlenie kilkudziesięciu tysięcy ludzi tylko z tego powodu wydaje się nieadekwatne do skali zagrożenia. Warto dodać, że analogicznych

działań nie podjęto w regionach gremialnie wspierających polskie antykomunistyczne podziemie (np. na Podhalu czy Podlasiu). Skłania to do przekonania, że o przesiedleniu zdecydowały raczej przesłanki polityczne (takie jak pragnienie pozbycia się z pasa przygranicznego zwartych grup ludności wrogiej bądź tylko niepewnej politycznie) niż względy wojskowe.

Oceniając skutki przesiedleń, warto mieć na uwadze, że tak zachwycająca dzisiaj turystów „dzikość” Bieszczad czy Roztocza to właśnie bezpośrednie ich rezultaty. Mimo bowiem zachęt władz niewielu Polaków zdecydowało się osiedlić w trudnych do życia terenach górskich. W rezultacie doszło do znacznego wyludnienia tętniących dotąd życiem wsi południowo-wschodniej Polski. Na większości obszarów, z których wysiedlano Ukraińców, gęstość zaludnienia nawet dzisiaj nie dorównuje przedwojennej, a kilkadziesiąt miejscowości przestało w ogóle istnieć. O tym, że kiedyś były, świadczą na ogół pozostałości, jak resztki sadów, studni, podmurówki domów, cerkwi (tych ostatnich zachowało się szczególnie niewiele), przydrożne krzyże czy pojedyncze nagrobki na cmentarzach. Należy dodać, że deportacja w dużym stopniu zniszczyła kultury polsko-ukraińskiego pogranicza etnicznego (Bojków, Łemków, Dolinian czy Zamieszkańców).

Konsekwencją przesiedlenia i rozproszenia społeczności ukraińskiej była też jej znaczna polonizacja – w spisie z 2011 roku do tożsamości ukraińskiej bądź łemkowskiej przyznało się 51 tys. osób, a więc znacznie mniej, niż żyje dziś przesiedlonych i ich potomków.

Senat RP w uchwale z 3 sierpnia 1990 roku potępił akcję „Wisła” jako zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej, właściwej systemom totalitarnym. 🇺🇵

dr hab. Jan Pisuliński – historyk, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Rzeszowskiego

► Wysiedlanie Ukraińców z Bieszczad przez polskich żołnierzy podczas akcji „Wisła”, 1947 rok



W numerze:
 NA KOGO BĘDĄ GŁOSOWAĆ
 INDEKACJA - ILE DLA RÓWNOLEŻNYCH
 SWIAT NA LITWIE
 BRONISZEK NIE CHCE PŁAĆ
 CIESZĄSI NAD TYM BRONISZEK

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI AGENCYJNYCH

WYBORY 1989

MUSIMY WYGRAĆ!

(Lech Wałęsa)



Dookoła ordynacji

Paulina Codogni

► Wybory kontraktowe miały charakter plebiscytu; wyniki pokazały, że zdecydowana większość społeczeństwa popiera Solidarność, a nie komunistów

Przy Okrągłym Stole zapadły decyzje, które – wbrew intencjom komunistycznych władz – otworzyły drogę do transformacji ustrojowej.

Od wprowadzenia stanu wojennego i delegalizacji NSZZ „Solidarność” głównym dążeniem przywódców podziemnego związku stało się przywrócenie go do legalnego działania. Ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego w żaden sposób nie sprzyjała tym dążeniom. Pogarszająca się z miesiąca na miesiąc sytuacja gospodarcza państwa spowodowała jednak, że władze musiały w końcu poważnie zastanowić się nad zmianą polityki wobec dotychczas zwalczanej opozycji. Czynnikiem dodatkowo temu sprzyjającym było dojście do władzy w ZSRR Michaiła Gorbaczowa, który jasno dał do zrozumienia przywódcom państw satelickich, że nie mogą dłużej liczyć na „bratnią pomoc” w takim zakresie, jak to było za czasów poprzednich genseków. Presja, pod jaką

znalazły się władze PRL, sprawiła, że wyjścia zaczęto upatrywać w rozwiązaniu dotychczas nieakceptowalnym, tj. podjęciu rozmów i wciągnięciu przywódców Solidarności w struktury państwowe przez dopuszczenie ich do władzy ustawodawczej. W czerwcu 1988 roku Stanisław Ciosek, członek Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, za pośrednictwem przedstawicieli Kościoła po raz pierwszy zasugerował opozycji, że ta mogłaby zająć miejsca w sejmie i mającym odrodzić się po dekadach niebytu senacie. Zdając sobie sprawę z ryzyka, otoczenie Lecha Wałęsy było zgodne, że warto pozytywnie ustosunkować się do zaproponowanych przez władze rozmów przy Okrągłym Stole, ale warunkiem wstępnym i niepodważalnym musi pozostać powrót Solidarności na legalną scenę.

Od 31 sierpnia 1988 roku, kiedy to doszło do pierwszego po latach spotkania Wałęsy z namaszczonego przez gen. Jaruzelskiego do rozmów z opozycją gen. Czesławem Kiszczakiem, do końca stycznia 1989 roku przedstawiciele opozycji i władzy prowadzili zacięty i niejednokrotnie zastygający w martwym

punkcie spór o ponowną legalizację związku. Ostateczna zgoda władzy na włączenie tego wątku do głównych punktów planowanych i wielokrotnie przekładanych oficjalnych rozmów przy Okrągłym Stole otworzyła drogę do ich inauguracji 6 lutego 1989 roku. Obrady podzielono tematycznie na trzy stoliki: ds. gospodarki i spraw społecznych, ds. pluralizmu związkowego – ten stolik miał rozstrzygnąć sprawę legalizacji Solidarności – oraz ds. reform politycznych, gdzie skoncentrowano się m.in. na ordynacji wyborczej.

Bój o ordynację

Początkowo podczas rozmów Okrągłego Stołu zgodę na udział w wyborach parlamentarnych postrzegano w kategoriach ceny, jaką Solidarność miała zapłacić za ponowne uznanie. Dla opozycji było jasne, że władze chcą przerzucić na nią odpowiedzialność za państwo, a zwłaszcza bolesne reformy gospodarcze, lecz bez utraty pełnej kontroli nad biegiem zdarzeń.

Rozstrzygnięcie sprawy legalizacji Solidarności – trzy dni po rozpoczęciu obrad – sprawiło, że punktem ciężkości ►

mających trwać dwa miesiące negocjacji stały się negocjacje stolika ds. reform politycznych, który, zgodnie z ustaleniami, miał być forum uzgadniania ceny za pluralizm związkowy, czyli wypracowywania kształtu ordynacji wyborczej. Podczas wcześniejszych rozmów opozycja zgodziła się na jednorazowy udział w niekonfrontacyjnych wyborach, ale pod warunkiem, że będą one odstępstwem od przyszłej reguły wolnych wyborów.

W trakcie obrad Okrągłego Stołu zagadnienie wyborów po raz pierwszy poruszono 18 lutego podczas drugiego spotkania stolika ds. reform politycznych. Reprezentanci władzy przedstawili szczegółowy projekt zmian ordynacji wyborczej, jednak wiele z jego punktów opozycja odrzuciła. Władze chciały wspólnej dla obozu rządzącego i opozycji kartki wyborczej oraz umieszczenia przedstawicieli obu stron na liście krajowej. Rządzący wysunęli też propozycję powołania komisji weryfikującej, kompetentnej do wykreślenia z listy kandydatów na posłów osób naruszających podczas kampanii wyborczej konstytucję lub porozumienia Okrągłego Stołu. Przyjęcie takiego rozwiązania oznaczałoby możliwość uzyskania przez władzę wpływu na skład reprezentacji opozycji w parlamencie.

Ile procent wolności?

Najbardziej zacięty spór dotyczył wszakże określenia zakresu wolności wyborów – toczył się wokół podziału mandatów na z góry przyznane koalicji rządowej i pozostałe, które podlegałyby wolnej walce wyborczej. Za punkt wyjścia strony obrały propozycję Cioska z wiosny 1988 roku, dotyczącą podziału mandatów sejmowych na 60 proc. zarezerwowanych dla obozu władzy i 40 proc. dla opozycji. O ile jednak władze w tej drugiej puli widziały sprzymierzone ze sobą stronnictwa katolickie (Stowarzyszenie PAX, Unię Chrześcijańsko-Społeczną i Polski Związek Katolicko-Społeczny), o tyle opozycja uznała, że powinny im przypaść miejsca spośród zarezerwowanych dla PZPR i jej satelitów.

Nieustępliwość stron sparaliżowała prace stolika. W związku z tym za konieczne uznano zorganizowanie po-

ufnego spotkania w węższym gronie z udziałem Kiszczaka i Wałęsy oraz przewodniczących zespołów i głównych doradców obu stron. Odbyło się ono w Magdalence 2 marca, lecz początkowo niewiele wskazywało, że uda się osiągnąć jakikolwiek kompromis.

Wielogodzinny impas w rozmowach niespodziewanie przerwał Aleksander Kwaśniewski, który ku zaskoczeniu innych przedstawicieli obozu władzy wysunął propozycję całkowicie wolnych wyborów do senatu, a ceną za to była m.in. zgoda opozycji na limit 35 proc. miejsc dla siebie w wyborach do sejmu. Dało to podstawę do dalszych negocjacji nad szczegółowymi zagadnieniami, choć wielokrotnie powracano też do spraw już rozstrzygniętych, z których władze desperacko próbowały się jeszcze wycofać. Jedną z nich była m.in. propozycja przeprowadzenia dwóch tur wyborów, które zgodnie z umową miały się odbyć 4 i 18 czerwca. Zacięty spór toczył także na temat osobnych dla każdego mandatu kart do głosowania, o co walczyła opozycja. Władze długo obstawały

przy pomysłach jednej karty, motywując to m.in. koniecznością oszczędności papieru, ostatecznie jednak ustąpiły. W tej sytuacji trafne wydawało się stwierdzenie, które pojawiło się na łamach opozycyjnego „Tygodnika Mazowsze”: „Negocjacje z tzw. »koalicją« w sprawie wyborów przypominają grę w chińczyka: mozolnie posuwamy się do przodu, by nieoczekiwanie stanąć na kółku »wróc do początku« albo »cofnij się o pięć pól«”.

Kolejną kwestią sporną była lista krajowa. Władze starały się przekonać opozycję do wspólnego jej utworzenia, co ta kategorycznie odrzuciła. Uzgodniono natomiast, że aby kandydat z listy krajowej wszedł do parlamentu, musi otrzymać ponad 50 proc. głosów w skali kraju. Jak się wkrótce okazało, decyzja ta miała zgubne dla władz konsekwencje, gdyż w ordynacji wyborczej nie przewidziano, co należy zrobić w sytuacji, gdyby kandydaci z listy nie przekroczyli wymaganego progu.

Konieczne było również ustalenie minimalnej liczby podpisów, jaką kandydaci ubiegający się o miejsce z puli 35 proc. muszą zgromadzić, aby wpisano ich na

► Obrady przy Okrągłym Stole trwały od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 roku



listy wyborcze. Było to szczególnie ważne w obliczu braku organizacyjnego przygotowania strony społecznej (czyli opozycyjnej) do wyborów i ich bliskiego terminu. Władze proponowały, aby do wpisania na listy wymagane było zebranie 5 tys. podpisów, lecz ostatecznie zgodziły się na 3 tys.

Strony uzgodniły także, że każdemu kandydatowi – zarówno na posła, jak i na senatora – będzie przysługiwało prawo wyznaczania mężów zaufania, uprawnionych do przebywania w lokalach wyborczych od chwili plombowania urn wyborczych do zamknięcia protokołu z głosowania.

Zaskakująca propozycja Kwaśniewskiego sprawiła, że niezwłocznie rozpoczęto prace nad założeniami ordynacji do senatu. Ustalono, że aby znaleźć się na liście kandydatów do tej izby, konieczne będzie zebranie co najmniej 3 tys. podpisów. Zasada ta obowiązywała wszystkich, niezależnie od tego, czy kandydat był opozycjonistą, czy członkiem partii. Początkowo władze nie chciały zaakceptować takiego rozwiązania, ale opozycja

zagrała na ich ambicjach, stwierdzając, że jeśli dysponującym rozbudowanym aparatem wojewódzkim organom partii nie udałoby się zebrać 3 tys. podpisów, będzie to kwestionowało zdrową kondycję partii.

Proporcjonalnie czy większościowo?

Władze kategorycznie odrzuciły pomysł opozycji, aby w wyborach do senatu liczba mandatów wiązała się z liczbą mieszkańców danego województwa, co oznaczałoby przyjęcie proporcjonalnego systemu wyborczego. Rządzący chcieli, aby w wyborach obowiązywał większościowy system wyborczy, w czego wyniku z każdego z 49 województw wybierano by po dwóch senatorów. Partyjni analitycy oceniali, że Solidarność jest najsilniejsza w stolicy i w dużych miastach, natomiast w słabiej zaludnionych województwach, jak przewidywano, łatwiej będzie ją pokonać. Opozycja uważała taki podział za niesprawiedliwy z uwagi na ogromną – nawet piętnastokrotną – dysproporcję zaludnienia między województwami.



Ostatecznie władze nie dały się przekonać do innej opcji niż wybór wyłącznie dwóch senatorów z jednego województwa, ale drobnym ustępstwem była zgoda na wybór po trzech kandydatów z województw warszawskiego i katowickiego, dzięki czemu w izbie mogłoby zasiąść stu senatorów. Ustalono również, że na jednej karcie wyborczej do głosowania zostaną umieszczone wszystkie nazwiska kandydatów. Przyjęto, że głos będzie uznawany za ważny, gdy na karcie do głosowania pozostaną nieskreślone najwyżej dwa nazwiska, a w przypadku dwóch wyżej wymienionych województw – trzy. Warto tu przypomnieć, że obowiązywało wówczas głosowanie negatywne – wyborca wykreślał kandydatów, których nie wybierał, a zostawiał nazwiska tych, którym chciał przyznać mandaty.

Władze, mając świadomość, że wolne wybory do senatu znacznie utrudniły ich sytuację, próbowały się jeszcze z nich wycofać. W połowie marca zaproponowano, aby kilkunastu senatorów pochodziło

z nominacji prezydenta. Podczas innego spotkania rządzący starali się przekonać opozycję, aby z każdego województwa kandydowały tylko dwie osoby, z których wybierano by jedną. Senat liczyłby wtedy tylko 49 członków. Przyjęcie takiej opcji zdecydowanie ograniczałoby możliwość wyboru, czyniąc z drugiej izby instytucję fasadową.

Niemal do końca obrad spierano się na temat uprawnień senatu, a także większości sejmowej zdolnej przełamać jego weto. Wcześniej już ustalono bowiem, że gdy senat odrzuci ustawę przyjętą przez sejm, wraca ona pod obrady pierwszej izby w celu ponownego głosowania. Władze chciały, aby do odrzucenia weta senatu wystarczyła większość 3/5 posłów (60 proc.). Opozycja obstawała przy postanowieniu o większości 2/3 posłów (67 proc.). Wobec braku kompromisu, rozważano nawet przyjęcie większości pośrednich między 3/5 a 2/3 – tj. 13/20 lub 26/40 – co Bronisław Geremek skwitował stwierdzeniem: „Cała Europa umrze ze śmiechu”. Wielotygodniowy spór udało się zakończyć podczas ostatniego spotkania w Magdalence, 3 kwietnia, na dwa dni przed planowanym uroczystym zamknięciem obrad. Kiszczak ogłosił, że władze zgodziły się na formułę większości 2/3 głosów niezbędnych do odrzucenia weta senatu, pod warunkiem przyjęcia analogicznej zasady podczas uchwalania zmian w konstytucji, odrzucania weta prezydenta oraz wnioskowania o postawienie go przed Trybunałem Stanu.

Sejm galopujący

5 kwietnia, sześćdziesiąt dni po inauguracji w Pałacu Namiestnikowskim, odbyła się uroczystość zakończenia obrad Okrągłego Stołu. Dwa dni później sejm IX kadencji przegłosował ordynacje wyborcze do sejmu i senatu. Odbyło się to w ekspresowym tempie – pierwszego czytania projektu ordynacji wysłuchano bowiem 22 marca. Ponieważ władze przekazały projekt ordynacji wyborczej pod obrady sejmu jeszcze w trakcie obrad Okrągłego Stołu, bez informowania o tym opozycji, a co więcej – bez uwzględnienia wynegocjowanych i kluczowych dla niej postulatów, wywołało to kolejny impas w negocjacjach. Wobec nacisków opozycji, 7 kwietnia, na kolejnym posiedzeniu sejmu, wprowadzono do projektów ordynacji szereg autopoprawek, zgodnych z postanowieniami Okrągłego Stołu, i przegłosowano je.

Tempo prac sejmu nad ordynacją oraz to, że w istocie sprowadzały się one do zatwierdzenia wsześciejszych ustaleń Okrągłego Stołu, spotkały się z głosami krytyki. Bezpartyjny poseł Ryszard Bender skarżył się: „Mieliśmy w naszych dziejach Sejm Wielki, był sejm niemy, obawiam się, że obecny może przejść do historii jako sejm galopujący”. Burzę oklasków wywołał także sprzeciw – również bezpartyjnej – Małgorzaty Niepokulczyckiej wobec traktowania sejmu jako „kolejnej maszyny do głosowania, która ma tylko zaklepywać to, co gdzieś tam w jakichś Magdalenkach czy innych Zofiówkach zostało uzgodnione. [...] Okrągłemu Stołowi wolno było się zbierać prawie przez pięć miesięcy? Wolno było. A nam nie wolno popracować nad ustawami ustrojowymi w trybach normalnych, tylko nadzwyczajnych. A cóż

to, obce wojska stoją pod naszymi granicami?”. Głos ten świadczył zapewne o obawach przed nadchodzącymi zmianami, które mogłyby skutkować kresem pracy w parlamencie.

Kolejnym – po przegłosowaniu ordynacji przez sejm – krokiem zbliżającym do dnia wyborów było utworzenie przez Radę Państwa 108 okręgów wyborczych, którym przypisano w zależności od liczby mieszkańców od dwóch do pięciu mandatów. W województwach, w których Solidarność była stosunkowo słaba, Rada przeznaczyła dla bezpartyjnych znaczną pulę mandatów – 50–60 proc. przypadających na okręg wyborczy. Natomiast w województwach, gdzie związek miał wykształcone i silne struktury, np. we wrocławskim, krakowskim, łódzkim, szczecińskim, bydgoskim, na miejsca dla bezpartyjnych przeznaczono zaledwie 20–30 proc. ogólnej liczby mandatów. Taki ich podział wywołał protest Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, co spowodowało zmiany w części okręgów.

Skutkiem zawartego przy Okrągłym Stole kontraktu wyborczego było powołanie przez Radę Państwa Państwowej Komisji Wyborczej przy Radzie Państwa (PKW), która była pierwszym – po ponad czterdziestu latach zdominowania wszystkich instytucji przez PZPR – organem państwowym o pluralistycznym składzie członków. W PKW zasiadło 21 osób, z których sześć było przedstawicielami strony solidarnościowo-opozycyjnej. Ich udział w pracach komisji spowodował, że wiele zagadnień formalnie traktowanych jako techniczno-prawne nabrało politycznego znaczenia.

W stenogramach z posiedzeń PKW wyraźnie odbija się nieufność przedstawicieli Solidarności do władzy. Za swój główny cel członkowie komisji wywodzący się z opozycji obrali przeciwdziałanie tworzeniu przez władze warunków dla ewentualnych nadużyć prowadzących do „cudów nad urną”. W tym kontekście nie-



wątpliwym sukcesem ludzi Solidarności było wprowadzenie nadzoru cywilnych członków okręgowych i wojewódzkich komisji wyborczych nad pracami komisji w obwodach zamkniętych, w których zasiadali tylko wojskowi. Opozycji udało się także zmusić władze do utworzenia siedmiu nowych obwodów wyborczych w państwach zachodnich, gdzie, jak słusznie przewidywano, zdecydowana większość głosów miała przypaść Solidarności. Jeszcze większe znaczenie miało wymuszenie na Ministerstwie Spraw Zagranicznych drukowania w kraju kart wyborczych dla zagranicy. Miało to zapobiec ewentualnemu drukowi niekontrolowanej liczby kart w placówkach zagranicznych. Te same względy skłoniły przedstawicieli Komitetu Obywatelskiego do zmuszenia władzy do likwidacji rejonów pośrednich. Do nich trafiałyby protokoły z komisji obwodowych, a to wykluczałoby zbiorcze ich przekazanie do komisji wyższego szczebla. Likwidacja rejonów była więc kolejnym zabezpieczeniem przed ewentualnymi próbami oszustw ze strony przedstawicieli władzy.

Kolejny wygrany spór dotyczył umieszczanych na obwieszczeniach symboli werbalnych i nazw orientacji politycznych. Wywalczone, aby komisje wyborcze uznawały dopuszczalność symbolu werbalnego „Solidarność” z zachowaniem stylistyki liternictwa, choć w czarnym kolorze. Inicjatywą przedstawicieli KO było także wyraźne wyodrębnienie wizualne karty z listą krajową, aby zminimalizować liczbę pomyłek. Komisja zaaprobowała ostatecznie także skreślenia „na X” na liście krajowej jako ważne. Chodziło o to, że nie trzeba było skreślać każdego nazwiska z osobna, lecz wystarczyło przekreślić całą listę dwoma kreskami.

Papierek lakmusowy

Każda z wyżej wymienionych zdobyczy opozycji solidarnościowej przybliżała ją do niespodziewanego wyniku wyborów, który otworzył drogę do transformacji ustrojowej. Niemniej bez wątpienia największą zdobyczą opozycji od momentu podjęcia rozmów z władzami do dnia

4 czerwca, czyli terminu pierwszej tury wyborów, pozostało wprowadzenie zasady wolnych wyborów do senatu. Sekretarz KO Henryk Wujec po latach wspominał: „Kompromis przy Okrągłym Stole został zawarty, bo każdej ze stron dawał nadzieję [...], że jest dla niej korzystny. Nam dawał nadzieję, że jest element testu – papierka lakmusowego – wybory do senatu są wolne, więc pokażą, co ludzie myślą. Oni sądzili, że mają przewagę w Zgromadzeniu Narodowym i w sejmie”.

izb powołanych w latach 1989–1993. Było to więc potencjalnie sprzeczne z ustaloną podczas obrad jednorazowością kontraktu. Ograniczenia czasowego w tytule nie zastosowano w przypadku ordynacji do drugiej izby, nazywając ją *Ordynacją wyborczą do Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*. Niemniej uchwalenie prawa wyborczego członkowi przedstawicieli opozycji, jak np. Geremek, oceniali pozytywnie: „Tekst ordynacji, który z wielkim trudem udało



Fot. PAP

► Milicjant legitymuje przedstawicieli strony opozycyjnej przed wejściem do Pałacu Namiestnikowskiego

Rzeczywiście, ekipa gen. Jaruzelskiego była przekonana, że udało się jej znaleźć rozwiązanie umożliwiające zarówno utrzymanie pakietu kontrolnego pozwalającego zachować władzę, jak i uwikłanie w jej tryby opozycję. Symbolem postawy obozu rządzącego był fakt, że sejm zmienił wynegocjowany przy Okrągłym Stole tytuł ordynacji na *Ordynacja do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej X kadencji, na lata 1989–1993*, co – zaskakując i irytując opozycję – stanowiło pewną sprzeczność i powodowało trudności interpretacyjne. Nie wynikało z niego jasno, czy obowiązuje tylko w przypadku sejm X kadencji, czy też – w razie gdyby jego kadencja uległa skróceniu – wszystkich

nam się wywalczyć, był bodaj pierwszym w całym bloku komunistycznym aktem ustawowym jasno i jednoznacznie wykładającym swoją polityczną treść. Z absolutną otwartością zostało bowiem napisane i uchwalone jako prawo, że udało nam się uzyskać od władz 35 procent demokracji, 35 procent wolnych wyborów. Po raz pierwszy zmusiliśmy partię do powiedzenia światu, że wszystkie wcześniejsze powojenne wybory były niedemokratyczne i niewolne”.

dr Paulina Codogni – politolog, prorektor ds. współpracy z zagranicą Collegium Civitas, adiunkt w Zakładzie Europy Środkowo-Wschodniej Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, autorka m.in. monografii *Wybory czerwcowe 1989 roku. U progu przemiany ustrojowej* (2012)

Kartki na kartki

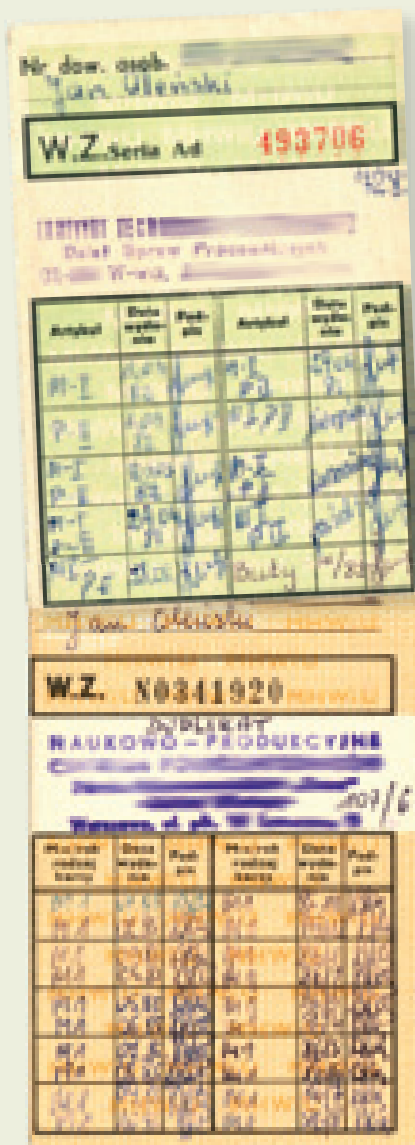
Jan Oleński

Od marca 1982 roku, aby dostać kartkę uprawniającą do zakupu poszczególnych towarów, trzeba było mieć specjalną wkładkę do dowodu osobistego.

System reglamentacji artykułów pierwszej potrzeby, który w roku 1981 zmieniano w PRL kilkakrotnie, od stycznia 1982 roku wchodził w fazę pewnej stabilizacji. Wprowadzono wówczas podstawowe typy kartek: M-I, M-II, G, G-I, O i MC, choć ta ostatnia, mniejsza od pozostałych, w pierwszym miesiącu nosiła wyjątkowo symbol M-II, ten sam co duża kartka mięsna. Typy te pozostały niezmienione do końca reglamentacji, czyli do 1989 roku. Zwiększono też kontrolę nad wydawaniem kartek, wprowadzając specjalne „kartki na kartki” – zwane oficjalnie „wkładkami zaopatrzenia” (w skrócie W.Z.) lub „wkładkami do dowodu osobistego” – w których odnotowywano wydanie obywatelowi każdej kartki. Tego rodzaju „usprawnienia” weszły w życie w marcu 1982 roku. Zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług wprowadzające wkładki zaopatrzenia wydano 2 grudnia 1981 roku, lecz z mocą obowiązywania dopiero od 1 marca 1982 roku. Data ta spotykana jest na większości zachowanych egzemplarzy jako pierwszy wpis do wkładki, potwierdzający wydanie kartek na marzec. Wynika ona właśnie z terminu wejścia w życie zarządzenia. Ciekawostką jest wkładka, w której wpisu dokonano jeszcze w lutym 1982 roku, czyli zanim zaczęło obowiązywać wymienione zarządzenie. Być może było to wbrew prawu, ale za to zgodnie z rzeczywistością i zdrowym rozsądkiem.

Miliony wkładek

Pierwsze wkładki były drukowane na białym kartonie z giloszem w kolorze zielonym i z czerwonym numerem serii. Ze względu na wielki nakład i tylko sześciocyfrowy numerator drukowa-



Fot. ze zbiorów autora

no je w seriach oznaczanych kolejnymi literami alfabetu przed numerem. Po wyczerpaniu wszystkich liter zaczęto poprzedzać numer serią dwuliterową, z pierwszą literą A, tj.: Aa, Ab, Ac itd. Serie jednoliterowe miały następujące notki drukarskie informujące o zamówieniu: WDK 1518/81, WDK 1519/81 oraz WDK 1520/81, a dwuliterowe –

WDK 1521/81 i WDK 1522/81. Ponieważ każde zamówienie liczyło prawie 8 mln sztuk (osiem serii, z których każda miała prawie milion numerów), oznacza to, że łączny nakład wyniósł prawie 40 mln sztuk. Margines powyżej liczby ludności kraju (wtedy wynosiła ona ok. 36 mln) był potrzebny dla nowo narodzonych dzieci, osób przyjeżdżających do Polski z zagranicy i tych, które ten dokument zgubiły. Z numerów zamówień wynika, że projekt opracowano jeszcze w 1981 roku, gdy wciąż nie było dokładnie wiadomo, jak owe wkładki mają funkcjonować. Zawierały one bowiem rubrykę „Artykuł”, w którą wpisywano typ wydanej kartki. Rubryki były dość duże, w związku z czym bardzo często do jednej rubryki wpisywano więcej niż jedną kartkę, a nawet, dla oszczędności miejsca, wykorzystywano jedną rubrykę w dwóch kolejnych miesiącach. Wydanej wkładki obywatel musiał strzec jak oka w głowie. Zgubienie tego dokumentu wiązało się bowiem z kolosalnymi kłopotami. Oprócz kar pieniężnych istniał obowiązek zamieszczenia ogłoszenia w jednej z poczytnych gazet i dopiero po przedstawieniu dokumentu potwierdzającego zamówienie ogłoszenia można było otrzymać duplikat wkładki. W tym czasie całe strony takich gazet jak „Życie Warszawy” były wypełnione ogłoszeniami o zagubieniu wkładek.

Pierwszy nakład – wkładek zielonych – wkrótce się skończył i w drugiej połowie 1984 roku osobom, którym wyczerpały się rubryki, zaczęto wydawać wkładki z nowego nakładu, z pomarańczowym giloszem i numerami serii w kolorach czarnym i czerwonym. W nowych wkładkach poprawiono nagłówek, w którym zamiast rodzaju artykułu pojawił się rodzaj karty. Nakład, w jakim wydano wkładki pomarańczowe, jest trudny do oszacowania. Numer miał już wprawdzie siedem cyfr, lecz używano tylko sześciu. Na pierwszym miejscu zawsze występowała cyfra zero. Dla wkładek z numerami czarnymi, podobnie jak w przypadku wkładek zielonych, przed numerem występowały serie jednoliterowe lub dwuliterowe.

Znanych jest mi piętnaście oznaczeń jednoliterowych i 28 dwuliterowych, a wśród wkładek z numeracją czerwona – siedemnaście serii dwuliterowych. Biorąc pod uwagę możliwości numeratora, dałoby to 60 mln łącznego nakładu, a zakładając, że wiele serii jeszcze nie trafiło do mojego zbioru, można przypuszczać, że całkowity nakład mógł osiągnąć 100 mln sztuk. Wkładki miały, tak jak poprzednie, po trzydziestu rubryk do wpisania wydanych kartek (jeden wpis zawierał typ kartki, datę i podpis osoby wydającej). Dało to możliwość wpisania 3 mld kartek, a gdyby wpisywać po dwie do jednej rubryki – nawet 6 mld! W tym momencie warto zdać sobie sprawę z tego, jak ogromna rzesza pracowników musiała być zaangażowana do wykonywania tak wielkiej pracy. W każdym zakładzie pracy stworzono specjalną komórkę do rozdzielania kartek, powstały też terenowe punkty rozdziału kartek obsługujące osoby niezatrudnione. Poza wydawaniem kartek cały ten potężny aparat urzędniczy musiał pilnować, by pracownicy dostawali właściwe kartki stosownie do stanowis-

ka, wieku dzieci itp., a także prowadzi sprawozdawczość, bo przecież kartki były drukami ścisłego zarachowania.

Nieaktualna nazwa

Tak wielki nakład wkładek pomarańczowych powinien był wystarczyć do końca reglamentacji, czyli do 1989 roku. Tymczasem dość szybko, bo prawdopodobnie w roku 1986, wkładek zaczęło brakować i rozpoczęto druk nowych, tym razem z giloszem w kolorze niebieskim. Wkładki te, które wydawano już w początkach 1987 roku, miały zasadniczą przewagę nad poprzednimi: numerator pozwalał na używanie pełnego zakresu siedmiu cyfr. Wydrukowano tylko dwie serie: A i B, ale dzięki nowemu numeratorowi można było uzyskać nakład w każdej serii po 10 mln, czyli razem prawie 20 mln sztuk. W rezultacie w tym samym czasie jednym osobom wydawano wkładki pomarańczowe ze starych zapasów, a innym nowe, niebieskie. Wkrótce jednak okazało się, że dalszych serii nie będzie, bo w październiku 1987 roku zmieniła się nazwa ministerstwa (z Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług na Ministerstwo Rynku Wewnętrznego) i skrót MHWiU w giloszu okazał się nieaktu-

alny. Nie przeszkadzało to w wydawaniu klientom wydrukowanych już wkładek niebieskich nawet w czerwcu 1989 roku, ale w pogotowiu trzymano nowe dwie serie A i B wydrukowane w nakładach dziesięciomilionowych, z różowym giloszem zawierającym właściwy skrót nazwy emitenta – MRW. Zdecydowana większość tych wkładek nie została nigdy wydana ludności, do rzadkości należą wkładki używane (z 1989 roku). Wraz z zakończeniem reglamentacji w lipcu 1989 roku te niewykorzystane musiały zostać zniszczone, na szczęście przedsiębiorczy urzędnicy wzięli sobie na pamiętkę trochę tych rarytasów, które już bardzo rzadko pojawiają się na aukcjach internetowych.

Na koniec powróćmy jeszcze do sposobu wydawania obywatelom tych nietypowych dokumentów reglamentacji. Dostając pierwszą wkładkę, obywatel otrzymywał wpis w dowodzie osobistym. Gdy wyczerpały się rubryki wkładki, można było ubiegać się o następną, ale, aby ją uzyskać, trzeba było oddać poprzednią. Można sobie wyobrazić, co czuła dusza kolekcjonera, który musiał rozstać się z tak ciekawym dokumentem. Postanowiłem więc zgłosić zaginięcie mojej osobistej wkładki zielonej, co zresztą było prawdą, gdyż zagubiła się ona gdzieś w moich zbiorach. Na początek dowiedziałem się, że popełniłem poważne wykroczenie i w moim macierzystym instytucie nie można tej sprawy załatwić. Udałem się więc do jednostki nadrzędnej i tam sytuacja się powtórzyła. Wysłuchałem dłuższego pouczenia, a następnie zapytano mnie, czy zgadzam się na wymierzenie mi (niezbyt dokuczliwej) kary pieniężnej. Wyraziłem oczywiście zgodę i pani w okienku przekazała mi z szacunkiem wkładkę pomarańczową. Wcześniej ostemplowała mi dowód osobisty, wpisując, że otrzymałem duplikat wkładki zaopatrzenia. Od tej chwili każdy kontrolujący mnie milicjant po zajrzeniu do mojego dowodu osobistego mógł się dowiedzieć, z jak wysoce aspołeczna jednostką ma do czynienia. 🍅

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora



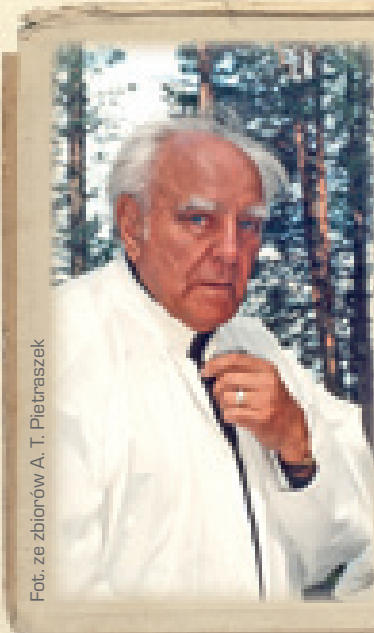
Tęsknota za Polską zwycięską – relacja ks. Zdzisława Peszkowskiego

Atak Związku Radzieckiego z 17 września 1939 roku na broniącą się przed III Rzeszą Polskę zaważył na losach wielu polskich rodzin. Wyraźnie widać to na przykładzie oficerów pojmanych przez Sowietów i osadzonych w obozach jenieckich. Tylko małej grupie spośród uwięzionych dane było ponownie spotkać się z rodzinami. Do tego grona należał Zdzisław Peszkowski. Obozowe przeżycia oraz świadomość, że niemal cudem uniknął losu zamordowanych kolegów, sprawiły, że młody wówczas żołnierz postanowił zupełnie inaczej pokierować swoim życiem i wybrał służbę kapłańską.

Niewola i pobyt w Kozielsku

Zdzisław Peszkowski po zdaniu matury w sanockim Gimnazjum Męskim im. Królowej Zofii został powołany do służby wojskowej. Po wybuchu II wojny światowej 20. Pułk Ułanów, w którym służył młody Zdzisław, wycofywał się w kierunku Lwowa. W miejscowości Pomorzany stacjonujący w pałacu oddział został otoczony przez Sowietów, a oficerowie wzięci do niewoli. Przetransportowano ich do Wołoczysk, a następnie dalej pociągami do Kozielska. Zdzisław Peszkowski tak wspominał później jeden z epizodów tej podróży:

„Przydzielono nam [...] raczej składające się z małych ryb, które przypominają śledzie. W wagonie transportowym był z nami wojskowy, którego widziałem pierwszy raz w życiu. Powiedział mi, że podczas I wojny światowej siedział już w niewoli bolszewickiej. Przestrzegł mnie: »Druhu, żebyś tylko nie wziął tego 'śledzia' do ust. Jeśli nie dadzą nam wody do



Fot. ze zbiorów A. T. Pietraszek

Ks. Zdzisław Peszkowski herbu Jastrzębiec – ur. 23 sierpnia 1918 roku w Sanoku, zm. 8 października 2007 roku w Warszawie. Od młodości związany z ruchem harcerskim, w 1938 roku powołany do wojska, ukończył Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. W czasie wojny obronnej dowodził 20. Pułkiem Ułanów i 23 września 1939 roku dostał się do niewoli sowieckiej. Jeniec obozów w Kozielsku, Pawliszczew Borze, Griazowcu. Po zawarciu układu Sikorski–Majski brał udział w działaniach wojennych w składzie 2. Korpusu Polskiego, dowodząc kompanią w 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Po wojnie uzyskał tytuł magistra i stopień doktora filozofii. W roku 1954 przyjął święcenia kapłańskie. Harcmistrz, naczelny kapelan Związku Harcerstwa Polskiego poza granicami Kraju oraz kapelan Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie.

picia, to nas wykończą». Od razu powtórzyłem te informacje wszystkim kolegom z wagonu. Dwa dni później siedziałem w pobliżu otworu, przez który wpadało nieco świeżego powietrza. Było tam zimniej, ale za to było czym oddychać. Wtedy podszedł do mnie jeden z kompanów i poprosił, czy mógłby przez chwilę poodychać tym świeżym powietrzem. Oczywiście się zgodziłem. Ale nigdy nie zapomnę jego warg, strasznie popękane, pocięte jakby nożem. Nigdy czegoś podobnego wcześniej nie widziałem. I to była prawda, nie dali nam przez trzy dni wody, wydawało się, że będzie źle. Dopiero potem dostaliśmy jakąś lichą zupę. I wreszcie pierwszego listopada stanęliśmy w Kozielsku”.

Pobyt w klasztorze zajęтым przez Sowietów i przekształconym w obóz jeńców oficerów był nowym rozdziałem w życiu Zdzisława Peszkowskiego.

„[...] z daleka zobaczyłem wieżycę klasztoru [tzw. Pustelni Optyńskiej]. Później dowiedziałem się, że ten klasztor był kiedyś w polskich rękach, to była część Polski przez bardzo długi czas... Podobno wszyscy mnisi, którzy tu przebywali, zostali rozstrzelani, wymordowani. Ten sam oficer, który już siedział w sowieckiej niewoli, powiedział mi, że u Sowietów tak zwykle jest, że bolszewicy przerabiają klasztory na więzienia. [...] Tam, w obozie, rozpoczął się nowy rozdział w moim życiu. Przede wszystkim uderzyła mnie ogromna ilość oficerów, którzy są w niewoli. Ja sam musiałem się przyzwyczaić do tego, że... że coś strasznego się w tym wszystkim dzieje. [...] Pamiętam do dnia dzisiejszego, cerkiew była pełna pięciopiętrowych rusztowań, na których znajdowały się miejsca do spania. Na jednej ze ścian widniała namalowana duża twarz

Chrystusa, a w miejscu, gdzie powinny być oczy, umieszczono dwie żarówki. To był straszny widok. Do tego po wejściu do cerkwi zawsze był szum, ale to nic dziwnego, skoro trzymano tam około dwóch tysięcy ludzi. Przy drzwiach stały ruch, tłoczno. Wszędzie błoto, bo nie było na czym wytrzeć butów”.

Innym powtarzającym się elementem codziennego życia w niewoli sowieckiej było propagandowe radio.

„Po jakimś czasie bolszewicy pozwolili nam wysłuchiwać wiadomości radiowych, nadawanych o godzinie dziewiętej. Oprócz tego to radio cały czas grało, gadało i pyskowało, wiadomo – radio bolszewickie. Ale z tych wiadomości czerpaliśmy naszą wiedzę o świecie”.

Duże wrażenie na przyszłym kapłanie wywarły spotkania z wybitnymi osobami oraz prowadzone z nimi, niejednokrotnie długie, rozmowy.

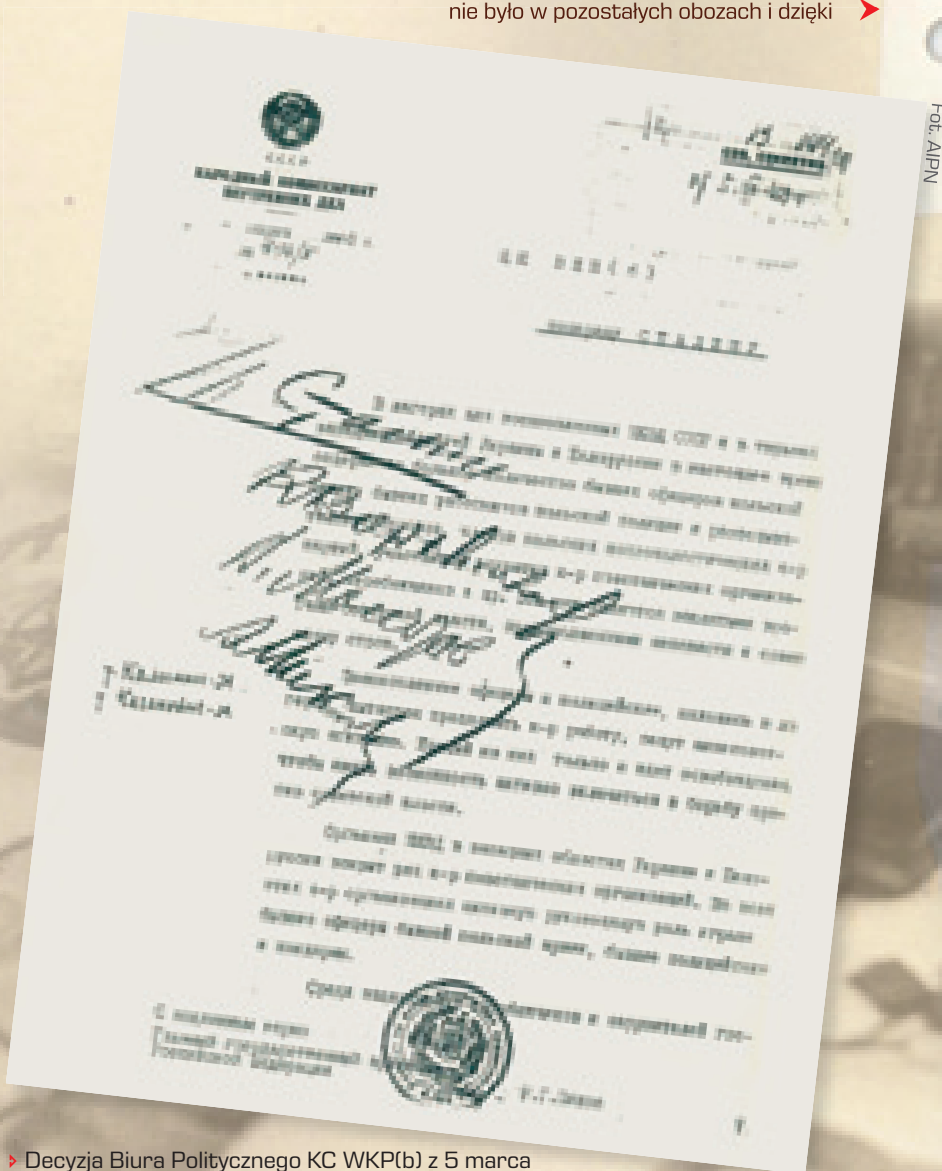
„Wtedy odkryłem Kozielsk w najpiękniejszy sposób, jaki sobie można wyobrazić. Mianowicie, spotkałem fantastycznych ludzi – uczonych, wojskowych – znaczną większość z rezerwy. I od czasu do czasu spotykałem kogoś, kogo nazwisko znałem z gazet. Wielu było wśród nas profesorów uniwersyteckich, często znających różne obce języki. Korzystałem z każdej chwili, żeby dowiedzieć się ich historii. Meldowałem się po wojskowemu i długo rozmawialiśmy. Wtedy stało się ze mną coś dziwnego, poczułem ogromną potrzebę studiów, głód wiedzy. [...] Często dyskutowaliśmy między sobą, dlaczego przegraliśmy wojnę, ale nie tak, żeby tylko biadolić, ale również, jak nasza Polska ma wyglądać w przyszłości. Na tym polu zdarzały się ostre wymiany zdań, ponieważ na przykład ktoś widział ją taką bardziej socjalistyczną. Ale większość z nas była za tym, że Polska to kraj wolnych ludzi, którzy chcą żyć i kultywować nasze najpiękniejsze wartości. Dlatego mogę powiedzieć, że w kozielskim obozie odkryłem i mocno przeżyłem kontakt z polską inteligencją”.

Stało się to również impulsem do poszerzenia wiedzy o świecie oraz umocnienia patriotycznej postawy.

„Wokoło miałem wielu mądrych ludzi i ja też chciałem zmyśleć. Więc szukałem kogoś, kto mógłby uczyć mnie języków obcych i innych rzeczy. W tym celu zrobiłem taką sitwę, było nas kilku kolegów, harcerzy. Poszedłem do bolszewików i powiedziałem, że mogę wykonywać najgorszą pracę. A najgorsze było mycie podłogi w kuchni i »jadalni«. Dzięki temu mieliśmy cały dzień wolny i mogliśmy się uczyć, ponieważ sprzątanie odbywało się dopiero wieczorem. Na dodatek zawsze coś podkradaliśmy z tej kuchni. Każdy z profesorów, który przekazywał nam wiedzę, zawsze coś od nas dostawał. A dodatkowe zapasy były na wagę złota, pomagały przetrwać”.

Rodziny więźniów w okupowanym kraju dowiadywały się o losach swoich bliskich za pośrednictwem listów, które władze sowieckie pozwoliły wysłać jeńcom. Tak o pisaniu listów mówił po latach Zdzisław Peszkowski:

„Kiedy ktoś pyta mnie, czy było coś, co sprawiało nam trudność, odpowiadam, że pisanie listów. Po pewnym czasie bolszewicy wydali pozwolenie na korespondencję z rodzinami, powiedzieli, że jeńcy mają do tego prawo. Podali nam adres, ale na kartach pocztowych mogliśmy umieścić zaledwie kilka krótkich zdań. Przy czym nie mogliśmy napisać całej prawdy, na przykład że coś jest źle. Później dowiedziałem się, że podobnie było w pozostałych obozach i dzięki



► Decyzja Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 roku w sprawie rozstrzelania polskich jeńców



► Informacje ujawnione przez Niemców w polskojęzycznej gadzinówce

temu Polska usłyszała, że powstały obozy jeńców w Starobielsku, Ostaszkowie – tam gdzie byli przetrzymywani policjanci – oraz w Kozielsku. Sztuką było w tych pięciu czy sześciu zdaniach zawrzeć to wszystko, co chcieli przekazać się bliskim, że się ich kocha i o nich pamięta, żeby nie tracili nadziei”.

W roku 1940 nagły brak korespondencji zaczął wzbudzać niepokój rodzin. Wtedy jeszcze nie przypuszczano, co było przyczyną.

Przygotowania do zbrodni

Tuż przed końcem 1939 roku Sowieci wywieźli z Kozielska wszystkich duchownych. Dla więźniów było to trudne przeżycie, zważywszy na okres, w jakim się to stało.

„Był dzień Wigilii Bożego Narodzenia. Wszyscy nastroszeni w najwyższe tony, przepełnieni tęsknotą za domem i bliskimi. Proszę sobie wyobrazić święta

z dala od rodziny! I właśnie w tym dniu bolszewicy zrobili nam straszną rzecz. Zabrali wszystkich kapłanów, duchownych, nawet rabina, który był bardzo bojowy. Trzech synów tego człowieka zginęło za Polskę i jego też zabrali. Wszystkich ich wywieźli z obozu. Poczuliśmy się nagle, jakby na chwilę Bóg nas opuścił. Cały ten dzień przeżywaliśmy w straszny sposób. Tęsknota za krajem i świadomość, że jesteście teraz bez naszych kapłanów”.

Początek roku 1940, jak wspominał ks. Peszkowski, to poczucie wielkiej niepewności. Ze strony sowieckiej napływały sprzeczne informacje dotyczące przyszłości więźniów. Mówiono, że rozpoczną się zwolnienia, a jeńcy wrócą do domów lub będą mieli możliwość wybrać emigrację.

„Od momentu, kiedy przyszedł nowy rok, zaczęły się znaki zapytania, co będzie z nami. Rozważaliśmy różne wa-

rianty, co z nami mogą zrobić. Otrzymaliśmy wreszcie zawiadomienie, że będzie wywózka, że będzie ten obóz nasz opustoszały. Podobno przysły rozkazy bezpośrednio z Moskwy wraz z listami nazwisk tych, którzy mają zostać wywiezieni. Oprócz tego nic nie było wiadome”.

Nadzieję na lepszy los dawały więźniom pewne poczynania Sowieców.

„Powiedziano nam, że musimy przyjąć szczepionkę przeciwko tyfusowi, żeby w obozie nie było żadnej epidemii. Wtedy nikt z nas nie myślał, że może stać się coś złego, skoro tak o nas dbają. Teraz już wiem, że te działania to była czysta gra z ich strony. Myślałem, że nadal mamy przed sobą przyszłość, a już był na nas wydany wyrok śmierci”.

Pozorowane działania miały na celu osłabić ewentualny opór polskich oficerów, dać im nadzieję na lepsze traktowanie, a co za tym idzie – ukryć prawdziwe zamiary władz w stosunku do nich. Proponując rozstrzelanie polskich jeńców – w notatce, którą wystosował do Stalina – szef NKWD Ławrientij Beria tłumaczył, że są to „zatwardziali, nierokujący poprawy wrogowie władzy radzieckiej”.

Z początkiem kwietnia 1940 roku rozpoczęły się wywózki jeńców z obozu.

„Szukaliśmy jakiegoś klucza, którym kierowali się Sowieci, tworząc listy nazwisk osób przeznaczonych do transportu. Dlaczego w takiej liczbie, dlaczego akurat ci ludzie. Kiedy ktoś wyjeżdżał, trochę mu zazdrościliśmy, zwłaszcza że bolszewicy cały czas powtarzali, że to powrót do rodziny. Tym, którzy wyjeżdżali, przekazywaliśmy adresy bliskich, aby w ten sposób dać im jakiś znak o sobie. Ileż ja tych maleńkich kartek z adresem napisałem! Maleńkich, ponieważ przed wyjazdem była jeszcze szczegółowa rewizja i należało je jakoś ukryć. A potem pożegnania, wzruszające, a nawet uroczyste, z posiłkiem. Zawsze jednak pozostawało to uczucie w człowieku, że koledzy już jadą, a ja nadal zostaję”.

Ksiądz Peszkowski, mówiąc o transportach, wspominał o rodzinnych dramatach żołnierzy.

„Wstrząsający moment był wtedy, kiedy wyczytali kogoś, a on miał na przykład syna w obozie. Pamiętam takie dwa przypadki. Przy pierwszym ojciec prosił Sowietów, aby syn mógł jechać razem z nim. Odpowiedź była stanowcza: on do ciebie później dojedzie. Drugi przypadek – syn i senior nosili imię Henryk. I kiedy przysła lista do transportu, to nie wiedzieli, którego z tych Henryków mają zabrać. Padło na ojca, a że jego syn był bardzo młody, ułan z cenzusem, tak to się mówiło, to przed samym wyjazdem prosił mnie, żebym zaopiekował się jego synem. [...]”

Zdarzyła się jeszcze taka historia, kiedy wyjeżdżał mój przyjaciel Julek Bakoń [ur. prawdopodobnie 2 lutego 1919 roku, choć podawane bywają też inne daty – 1917 i 1920 rok; służył w 20. Pułku Ułanów, absolwent Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu]. Akurat nie miał żadnych cieplejszych butów ani płaszcza. Zorganizowaliśmy dla niego zbiórkę, żeby zrobić coś w rodzaju onucy. Do tego dostał ode mnie koc, na którym znajdowało się moje nazwisko”.

W ten sposób nazwisko Peszkowski znalazło się na liście katyńskiej. O tym jednak on sam mógł się dowiedzieć znacznie później, kiedy w roku 1943 w czasie niemieckich ekshumacji podano listę zidentyfikowanych osób.

„Nasz obóz był bardzo duży, ale stale pustoszał, odchodziło coraz więcej transportów. Wtedy przeniesiono nas ze skitu [pustelnia dla mnichów, erem, budynek odosobniony] do dużego obozu, a teren, na którym wolno było nam przebywać, zagrodzono drutem kolczastym. Tak dotrwaliliśmy do dwunastego maja [1940 roku], do ostatnich transportów. Dlaczego wszyscy wyjeżdżają, a my nadal czekamy?”

Transport – kolejny obóz

Ostatnia grupa wojskowych opuściła Kozielsk w transporcie kolejowym

12 maja 1940 roku. Jednak zmieniło się dotychczasowe zachowanie sowieckich strażników w stosunku do jeńców.

„W tym ostatnim transporcie załadowali nas do dwóch wagonów, stłoczyli nas jak śledzie. W drodze do wagonów każdy niewłaściwy ruch, odstępstwo od narzuconej nam dyscypliny było piętnowane krzykami. Tak



Fot. ze zbiorów A.T. Pietraszek

► Ksiądz Peszkowski i dziennikarka Anna Pietraszek podczas ekshumacji w Miednoje, 1995 rok

załadowani czekaliśmy kilka godzin, zanim pociąg ruszył. Używając dwóch ostatnich zapalek, odkryliśmy na ścianie wagonu napisy w języku polskim – »opuszczamy Smoleńsk«. Niedługo po tym stanęliśmy na stacji Gniezdowo”.

Więźniowie ci nie przeszli drogi towarzyszy niedoli z wcześniejszych transportów. Wagony skierowano do miejscowości Pawliszczew Bór.

„Wreszcie wysadzili nas i pognali do obozu. Ale to, co zobaczyliśmy, nie pasowało nam do bolszewii. To było coś w rodzaju ośrodka wypoczynkowego. Pierwszy raz od dłuższego czasu zezwolono nam na kąpiel. Mogliśmy wreszcie wmyć się porządnie. Zdaliśmy także

nasze ubrania do odwszawienia, a do tego dostaliśmy prawdziwą bieliznę. Nie wierzyliśmy w to wszystko, co się działo. Ale następna rzecz była jeszcze dziwniejsza, każdy z nas otrzymał swoje łóżko. Pierwszy raz od pobytu u Sowietów mogłem wypaść się na łóżku. Posiłki przynosiły nam do jadalni kobiety. To wszystko sprawiało, że trudno było sobie wyobrazić, że nadal jesteśmy w tej samej rzeczywistości. Wydawało się, że nasz los zmierza ku dobremu”.

Z czasem do obozu przybywali kolejni polscy jeńcy. W rozmowach z rodakami okazywało się, że przetransportowano ich z innych miejsc internowania znajdujących się na terenie ZSRR.

„Stało się coś fantastycznego, dotarli do nas dwie nowe grupy więźniów. Jedni to oficerowie z obozu w Starobielsku, drudzy – policjanci z Ostaszkowa. Proszę sobie wyobrazić, co działo się w tych pierwszych kilku dniach. Ożywione rozmowy, ciągle pytania: »Gdzie byliście, co się z wami działo?«. Wtedy dowiedzieliśmy się, że były trzy obozy. I tak przez trzy czy cztery tygodnie było dobrze, po ludzku. Nie było takiego chamstwa w stosunku do nas, nikt nas nie trapił”.

W czerwcu więźni w Pawliszczew Borze zostali przetransportowani do obozu w Griazowcu, w pobliżu Wołody.

„Dotarliśmy do Griazowca i znowu umieścili nas w klasztorze. W pomieszczeniach na górze znajdowało się jeszcze takie małe więzienie, trzymali tam ludzi o chlebie i wodzie. Wraz z kolegami postanowiliśmy, że trzeba im jakoś pomóc, i przeprowadziliśmy zbiórkę. Zrobiliśmy małą paczkę, każdy dał, co mógł – trochę cukru, trochę chleba. Kiedy więźniowie wychodzili do ustępu, nikogo w tym »małym więzieniu« nie było. I ja wchodziłem po schodach na górę i podkładałem im te paczki. W tym wszystkim najważniejsza była machorka. Ci, którzy palili papierosy, to umierali, że nie mają ►

machorki. Więc w ten sposób przez dłuższy czas udawało się dostarczać im takie paczki”.

W tym obozie jeńców zastało kolejne Boże Narodzenie. Znowu widoczne wśród rodaków stały się solidarność i chęć niesienia pomocy bliźniemu.

„Jak przyszło Boże Narodzenie, to doszliśmy do przekonania, że tym, którzy tam siedzą [w „małym więzieniu”] – było ich pięciu czy sześciu – to trzeba jakoś pomóc, żeby było im trochę lepiej. A wtedy już byliśmy całkiem bezczelni w stosunku do Sowietów. Zatem poszedłem do strażników i zameldowałem, że skoro oni są takim kulturalnym narodem, to na święto trzeba posprzątać i ja mogę wymyć podłogi. Oni o tym święcie w ogóle nic nie wiedzieli, nie rozumieli, o czym ja mówię. Więc wszystko im wyjaśniłem, że w tym czasie modlimy się, panuje taki podniosły nastrój, no i co to jest to Boże Narodzenie. Udało mi się ich przekonać, machnęli ręką i pozwolili nam. Kiedy myłem podłogę w tym »małym więzieniu«, wyciągnąłem deskę z podłogi, a ziemię zabrałem do kieszeni. I znowu, zrobiliśmy mały pakunek, oczywiście machorka, kawałek ciasta i takie nieduże niby drzewko świąteczne.

To wszystko schowałem pod tą deską i kiedy wrócili do cel, mogli sobie to znaleźć. Wieczorem na dodatek zaczęli śpiewać razem kolędy. Kiedy strażnik, który tam pilnował, to usłyszał, zaczął krzyżeć, żeby przestali. A jak to nie poskutkowało, wysłali do celi trzech ludzi, bojców, żeby ich uciszyli. Wtedy zobaczyli, co oni mają w tej celi, jedzenie i tak dalej, zdenerwowali się i naraz zrobili nam wszystkim rewizję, dali nam wtedy w kość. Zresztą rewizję robili dość często, ale teraz się okazało, że mają konkretny powód. Odkryli, że ktoś do »małego więzienia« dostarcza paczki. Na szczęście żadne większe konsekwencje dla nas, więźniów, z tego nie wyniknęły”.

Wolność

Rok 1941 okazał się dla internowanych przełomowy. Wybuch wojny pomiędzy III Rzeszą a Związkiem Radzieckim spowodował zwrot na arenie między-

narodowej. Rząd brytyjski pośredniczył w rozmowach między przedstawicielami władz polskich na uchodźstwie a decydentami w ZSRR w sprawie przywrócenia stosunków dyplomatycznych. W rezultacie 30 lipca podpisano układ Sikorski–Majski, zakładający m.in. amnestię dla obywateli polskich znajdujących się w więzieniach



► Matka Boska Katyńska; linoryt Danuty Staszewskiej *Madonna Rozstrzelanych*

i obozach. Tak wydarzenia te wspominał ks. Peszkowski:

„Dotarły do nas wiadomości, że między [gen. Władysławem] Sikorskim a Stalinem prowadzone są jakieś rozmowy. Podobno będzie ugoda i zostanie utworzona polska armia. 24 sierpnia do naszego obozu przybył sam generał [Władysław] Anders. Chudy, podpierał się laską, wyszedł bezpośrednio z więzienia. Przyjechał i tak mówi: »Wy jesteście trzonem polskiej armii, która będzie się tutaj tworzyła«. Więc wtedy nie wytrzymał, tylko zaczęliśmy pytać: »Panie generale, a gdzie jest reszta? Gdzie oni są?«. Generał odpowiedział: »Będziemy ich szukać«. Groza na nas padła, szukać u NKWD? Oni mają wszystko spisane. Każdego mają w garści. I wtedy generał Anders powiedział do nas serdeczne słowa: „Będziemy tworzyli armię” i wsparł nas jeszcze kilkoma wzniosłymi słowami. Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy w tej chwili już wolni”.

We wrześniu wolni już oficerowie wyruszyli w podróż z Griazowca do Tockoje, gdzie formowano Armię Polską pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Stamtąd po ewakuacji armii Zdzisław Peszkowski trafił do polskiego ośrodka w Valivade w Indiach. W tym czasie zajmował się m.in. szkoleniem młodzieży oraz organizowaniem drużyn harcerskich jako oficer kulturalno-oświatowy. Po zakończeniu działań wojennych wybrał życie na emigracji. Rozpoczął studia w Oksfordzie i w Londynie na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, a następnie w Polskim Seminarium Duchownym w Orchard Lake w USA. 4 czerwca 1954 roku przyjął święcenia kapłańskie. Stałe angażował się w sprawę Zbrodni Katyńskiej, w latach dziewięćdziesiątych uczestniczył w pracach archeologiczno-ekshumacyjnych polskich oficerów, inicjował budowę wielu pomników. Do ojczyzny powrócił na stałe w roku 1989. Po latach wspominał:

„Przede wszystkim, jak patrzę na pobyt w obozie w Kozielsku, to widzę ogromną tęsknotę za Polską. Tęsknotę taką, która była bardzo trudna. Trudna do zniesienia, ponieważ nie była to rzeczywistość, w której chciało się być. Więc gdy wspominam Kozielsk i tak myślę o tym obozie, i o obecności tam w niewoli, to dokładnie pamiętam nasze uczucia... Tęsknota za Polską zwycięską, za Polską, która na pewno z tego wyjdzie obronną ręką. Później to, że... że jesteście kimś”.

Ksiądz Zdzisław Peszkowski zmarł 8 października 2007 roku w Warszawie. Zgodnie z decyzją metropolity warszawskiego kard. Józefa Glempa został pochowany w Panteonie Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej. ❀

oprac. Piotr Wiejak

ks. prałat Zdzisław Peszkowski

Sygnatura: N-0001

Data nagrania: 11–12 października 2006 roku

Czas nagrania: około 13 godzin
Archiwum Historii Mówionej
BEP IPN, Anna T. Pietraszek

Orły na policyjnych hełmach wz. 25

Tomasz Zawistowski

Projektanci współczesnych mundurów policyjnych kierują się przede wszystkim względami pragmatycznymi. Obecność na ulicach funkcjonariuszy w czapkach rodem z amerykańskich stadionów sportowych i odblaskowych kamizelkach zapewnia, rzecz jasna, obywatelom bezpieczeństwo, a policjantom wygodę. Czasem przypominają się jednak postaci policjantów ze starych zdjęć, w mundurach niedzisiejszych, może i niepraktycznych, lecz noszących znamiona dawnej elegancji. Elegancji znaczącej szczególnie u policjantów, reprezentujących państwo.

Pierwszy przepis mundurowy dla Policji Państwowej został opracowany w lutym 1920 roku. Jako nakrycie głowy była w nim przewidziana okrągła, granatowa czapka z czarnym daszkiem. Poniżej orła państwowego, na otoku czapki, miał być umieszczany numer osobisty policjanta. Ten sam przepis uwzględnił konieczność używania przez policjantów hełmów. Określono od razu sposób ich oznakowania: „z orłem dużego formatu z numerem osobistym policjanta”, czyli powtórzony został układ godła i numeru stosowany na czapkach.

Jak widać, już od początku było jasne, że policji przyjdzie wypełniać zadania, przy których potrzebna będzie dodatkowa ochrona głowy. Najbardziej oczywistym rozwiązaniem wydawało się użycie

ekwipunku wojskowego. I tak się rzeczywiście z czasem stało, bo Policja Państwowa używała hełmów wojskowych, początkowo obcej produkcji, przede



► Zarzucony projekt hełmu z roku 1920



► Orzeł wz. 19 przeznaczony do noszenia na hełmie policyjnym wz. 25 przez wyższych funkcjonariuszy Policji Państwowej

Fot. ze zbiorów autora

wszystkim niemieckich i austriackich, a później – polskich wz. 31.

Stosowanie hełmów wojskowych było rozwiązaniem skutecznym, jeśli chodzi o ochronę głowy przed urazami, lecz brakowało rozwiązania pośredniego między czapką a hełmem stalowym. Poszukiwano nakrycia głowy, które pełniąc w pewnym stopniu funkcje ochronne, odpowiadałoby dwóm dodatkowym założeniom. Po pierwsze miało być lżejsze i wygodniejsze od hełmu stalowego, po drugie zaś – miało się stać swoistą wizytówką, elementem charakterystycznym munduru polskiego policjanta. Rozwiązania tego typu były wówczas stosowane w innych krajach europejskich. Brytyjski *custodian helmet* i niemiecki *Tschako*, zaadaptowane z wzorów wojskowych, czy fibrowe hełmy policji i żandarmerii ►



Fot. NAC

czechosłowackiej stały się charakterystycznym elementem umundurowania funkcjonariuszy policji tych krajów. Podobnie wyglądała sytuacja w policji hiszpańskiej i włoskiej, a w pewnej mierze również w polskiej. Podstawową różnicą był brak intencji całkowitego zastąpienia hełmem czapki, co miało miejsce w wymienionych krajach.

Hełmy wz. 1925

Pierwotna wersja przepisu mundurowego z 1920 roku, zamieszczona w lutym w „Gazecie Policji Państwowej”, przewi-

dywała noszenie hełmów wzorowanych na brytyjskim *custodian helmet* i zawierała ich rysunek. Z wersji ostatecznej, młodszej od pierwotnej o zaledwie trzydzieści dni (daty zatwierdzenia to 18 lutego i 2 marca, rok 1920 był zaś przestępnym) i ogłoszonej w marcowym Dzienniku Ustaw, rysunek usunięto, dodano za to uwagę, że „termin wprowadzenia hełmów i przepisy, dotyczące ich noszenia na służbie, zostaną ustalone rozporządzeniem późniejszym”. Przyczyną zmiany mogła być kwestia ekonomiczna – w początkach roku 1920 budżet państwa

► Funkcjonariusze policji: posterunkowy, przodownik i aspirant w nowych hełmach zatwierdzonych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

nie był, delikatnie mówiąc, w najlepszej sytuacji.

Na blisko pięć lat sprawa ucichła. Ostatecznie wygląd hełmów dla funkcjonariuszy Policji Państwowej został zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych dopiero w styczniu 1925 roku, a ogłoszony formalnie w Dzienniku Ustaw w kwietniu tegoż



Fot. Archiwum Państwowe w Katowicach

► Reprodukacja zdjęcia prasowego przedstawiającego hełmy wz. 25; od lewej: funkcjonariuszy od podinspektora w górę, niższych funkcjonariuszy konnych i pieszych

roku. Organ PP „Na Posterunku” zamieścił następujący komentarz, dotyczący wprowadzenia nowego elementu munduru: „Komenda główna PP, opierając się na wzorach zagranicznych, powzięła w swoim czasie zamiar zamiany dotychczasowego ubioru głowy funkcjonariuszy służby zewnętrznej – na hełmy. Opracowane zostały wzory hełmów policyjnych, przy czym brano pod uwagę nie tylko względy praktyczne, lecz estetyczne oraz historyczne, opierając się na wzorach dawnych polskich nakryć głowy. Wykonanie egzemplarzy próbnych zlecono najwyraźniej zarówno firmom krajowym, jak i zagranicznym, bowiem prasa wspomniała, że hełm PP wykonany przez rzemieślników polskich uznany został za lepszy od wyrobu zagranicznego”.

W myśl ustawy hełmy były tłoczone ze skóry malowanej na czarno. Miały przyszywane przedni i tylny daszek, a cała ich dolna krawędź okuta była białą blachą. Wierzch hełmu był zdobiony grzebieniem, lakierowanym na czarno w hełmach funkcjonariuszy niższego szczebla bądź opatrzony wytłaczanym z białej blachy ornamentem liści dębowych u funkcjonariuszy wyższej rangi (do 1928 roku obowiązywała w PP pragmatyka dzieląca kadre na funkcjonariuszy niższych, zwanych w latach późniejszych szeregowymi PP, i funkcjonariuszy wyższych, czyli oficerów PP), to znaczy od aspiranta do nadkomisarza. Hełmy funkcjonariuszy od posterunkowego do nadkomisarza policji konnej miały na grzebieniach metalowych dodatkowo, czarne nadgrzebienie z końskiego włosia (zwane niekiedy liszką). Najstarsi rangą funkcjonariusze, poczynając od stopnia podinspektora policji konnej i pieszej, mieli prawo noszenia hełmów z nadgrzebieniami z koń-



► Podkomisarz Kazimierz Musiał w hełmie wz. 25, Przemyśl, 1932 rok

skiego włosia barwy białej.

Wprowadzenie hełmów nastąpiło niemal natychmiast, o ile wierzyć dokładności dat zapisanych we wspomnieniach ówczesnego mieszkańca warszawskiej Starówki, Zdzisława Kalicińskiego. Zapamiętał on, jak ogromne wrażenie na nim – wówczas kilkulatku – wywarł konny policjant w hełmie, stojący obok kolumny Zygmunta, a dzieć się to miało przed wyprowadzką autora wspomnień ze Starówki, co nastąpiło w maju 1925 roku.

Prezentowane na s. 62 zdjęcia, wykonane w 1925

roku dla „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, przedstawiają jedno z pierwszych egzemplarzy hełmów wz. 25: funkcjonariuszy niższych policji konnej i pieszej oraz wyższych – od podinspektora w górę. Wyraźnie widać, że policjantom rozkazano założyć hełmy z cudzymi numerami służbowymi; ponadto stojący po prawej stronie podkomisarz ma na głowie hełm przysługujący od stopnia podinspektora, w dodatku z założonym orłem ze wstęgą, przeznaczonym tylko dla niższych funkcjonariuszy.

Orzeł państwowy, wytłoczony z blachy białej

Przepis wprowadzający hełmy określił dwa typy orła przewidziane do noszenia. Hełmy funkcjonariuszy wyższej rangi zdobiło godło państwowe wz. 19 wysokości 110 mm. Orły na hełmach niższych funkcjonariuszy były identycznego rysunku i dodatkowo trzymały w szponach wstęgę, na której ażurowo wycinano numer

osobisty policjanta. Całkowita wysokość emblematu wynosiła 135 mm.

W przeciwieństwie do godła noszonych na czapkach, orły przeznaczone na hełmy dość dokładnie odwzorowywały rysunek z projektu. Wszystkie znane egzemplarze pochodzą od jednego wytwórcy, wybite są z blachy z białego metalu i srebrzone. Mocowano je do hełmów za pomocą trzech par rozginanych blaszek.

Mimo starannego odwzorowania rysunku i uzyskania ładnego, głębokiego reliefu orły wykonane z nazbyt cienkiej blachy, co skutkowało ich nietrwałością. Najczęściej spotykanym defektem było oblamywanie się dolnych końcówek wstęg. Wielu godłom tak uszkodzonym przywracano symetrię, obcinając drugą, symetryczną do brakującej, końcówkę.

Opracowanie polskiego wzoru zakończyło się efektem dość niespodziewanym. Powołując się na rzekome wzorce historyczne, zatwierdzono i wprowadzono do użycia hełmy wzorowane na rosyjskich kaskach kirasjerskich model 1808, używanych w żandarmerii Królestwa Polskiego, a ta formacja nie pozostawiła po sobie zbyt dobrej pamięci. Faktem jest, że barwa armii Królestwa Kongresowego, ostatniego polskiego wojska regularnego przed wybuchem I wojny światowej, przywoływana była wielokrotnie przez autorów dwudziestowiecznych mundurów Wojska Polskiego. Można ewentualnie podejrzewać, że nawiązano,

podobnie jak i przy projektowaniu innych elementów symboliki policyjnego munduru, do wzorców klasycznych. Tak czy inaczej, powołując się na polski jakoby charakter hełmu, jego projektanci całkowicie rozminęli się z prawdą. Mimo to nowy ►



► Posterunkowy konny Tadeusz Grzyb, Łódź, marzec 1929 roku; zwraca uwagę ułamana końcówka wstęgi pod orłem

helm, tak anachroniczny w swej formie i drogi w produkcji, może właśnie dzięki pewnej egzotyczności zyskał sympatię i dużą popularność. Chociaż z pewnością mało wygodny, przetrwał w charakterze paradnego nakrycia głowy aż do końca istnienia II Rzeczypospolitej.

Anachroniczne, ale podziwiane

Orzeł państwowy z roku 1919 był w zamyśle ustawodawcy rozwiązaniem tymczasowym. Warianty prowizoryczne mają tendencję do trwania przez czas znacznie dłuższy od pierwotnie zakładanego i pierwsze godło odrodzonego Państwa Polskiego istotnie nie stało się wyjątkiem od tej reguły. Dopiero w końcu roku 1927 wprowadzone zostało nowe, wybrane drogą konkursu, a zgłoszone przez prof. Zygmunta Kamińskiego. Formalnie datą wprowadzenia nowego godła był 28 marca 1928 roku, od kiedy to rozporządzenie Prezydenta RP weszło w życie. Od tej właśnie chwili zaczęto zastępować stare godła nowymi. Były jednak od tej reguły wyjątki. Mimo dość szybkiego zaktualizowania wzoru orła na czapkach Policji Państwowej uznano najwyraźniej, że orły na hełmach wz. 25 są ich nieodłącznym elementem i kształt nowe-

go godła nie będzie w dotychczasowe miejsce pasował. Co prawda, w latach trzydziestych wprowadzone zostały odpowiednich rozmiarów orły wz. 27 na hełmy stalowe używane w policji, ale nie podjęto próby używania ich na hełmach skórzanych.

Mimo zmiany wzoru godła państwowego, a także późniejszego wprowadzenia w Policji Państwowej hełmów stalowych, hełmy skórzane wz. 25 z orłami wz. 19 pozostały w użyciu. Traktowano je jako element mundurów galowych i noszono zarówno indywidualnie, jak i podczas oficjalnych wystąpień oddziałów. W zasobach Narodowego Archiwum Cyfrowego zachowało się zdjęcie oddziału konnego występującego w hełmach skórzanych podczas trzeciomajowej rewii na warszawskim Polu Mokotowskim w roku 1936. Znane są również zdjęcia dokumentujące wystąpienie oddziału Policji Województwa Śląskiego z okazji tego samego święta w Katowicach w 1933 roku. Najpóźniejsze zachowane odbitki dowodzą, że hełmy skórzane wz. 25 wraz z orłami wz. 19 pozostały w użyciu aż do 1939 roku.

Anachroniczne nakrycie głów policjantów cieszyło się sympatią nie tylko noszących je funkcjonariuszy. Siłą

rzeczy zauważane przez społeczeństwo, wzbudzało prawdziwy zachwyt najmłodszej jego części. Przywoływany wcześniej Zygmunt Kaliciński w swoich barwnych wspomnieniach *O Starówce, Pradze i ciepokach* zapisał: „Koło Kolumny Zygmunta siedział na koniu policjant z szablą u boku, na głowie miał piękny, błyszczący hełm. To też był obiekt naszego podziwu. Piękny koń, srebrna szabla i ten hełm! Hełm srebrny, błyszczący, miał z tyłu do samego szczytu szczotkę z czarnego włosia końskiego. Taki hełm widziałem na obrazach w kościołach, w takich hełmach przedstawiani byli rzymscy żołnierze, a na żywo widziałem taki na jasełkach na Freta u braciszków zakonnych. Nosił go Rzymianin, ubrany w krótką spódniczkę, metalowy napierśnik i tarczę. Ale na jasełkach to było na niby, a policjant był prawdziwy i jego koń też!”

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Autor składa serdeczne podziękowanie pp. Adamowi Hemplowi i Jackowi Walaszczykowi za cenne konsultacje.

► Komendant policji warszawskiej inspektor Edmund Czyniowski składa raport prezydentowi Stanisławowi Wojciechowskiemu podczas przeglądu oddziałów PP w parku Sobieskiego z okazji 10. rocznicy utworzenia służb bezpieczeństwa; wrzesień 1925 roku



„SU-czki” ze wschodu

Michał Mackiewicz

W latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej sztuki wojowania Rosjanie uczyli się od Niemców, a seria radzieckich zwycięstw, zapoczątkowana w 1943 roku wygraną bitwą na Łuku Kurskim, okazała się nie mniej imponująca od podbojów Wehrmachtu. Chociaż ikoną walk na wschodzie jest czołg T-34, to olbrzymi wkład w ostateczny sukces Armii Czerwonej wniosły lekkie działa samobieżne SU-76, czyli popularne „suczki”.

Można zaryzykować śmiałą tezę, że w chwili napaści Hitlera na ZSRR armii Stalina pod względem bojowego wyposażenia niczego nie brakowało (zwłaszcza na tle potencjału przeciwnika). Prawie, gdyż wśród imponującego arsenału środków bojowych nie było artylerii samobieżnej przeznaczonej do bezpośredniego wsparcia różnych rodzajów wojsk. I nie chodziło tutaj o jakieś ograniczenia radzieckiego przemysłu, który rozwijał się w błyskawicznym tempie, a jego moce przerobowe wydawały się nieograniczone. Także biura konstrukcyjne zdobyły już bogate doświadczenie i zaprojektowanie nowego typu uzbrojenia nie nastęczało żadnych trudności. Po prostu potencjału dział samobieżnych nie dostrzegano, tym bardziej że gigantyczny park artyleryjski zaopatrzone w monstrualne ilości ciągników.

Nadrobić niedopatrzenie

Tymczasem wojna szybko zweryfikowała ten błąd, a potrzeba wyposażenia wojska w mobilną i niezawodną artylerię, która mogłaby wspierać w natarciu piechotę oraz stale towarzyszyć oddziałom pancernym i zmechanizowanym, stała się oczywista. Pierwsze projekty ▶



▶ Polacy wkraczają do Warszawy; styczeń 1945 roku

Fot. NAC

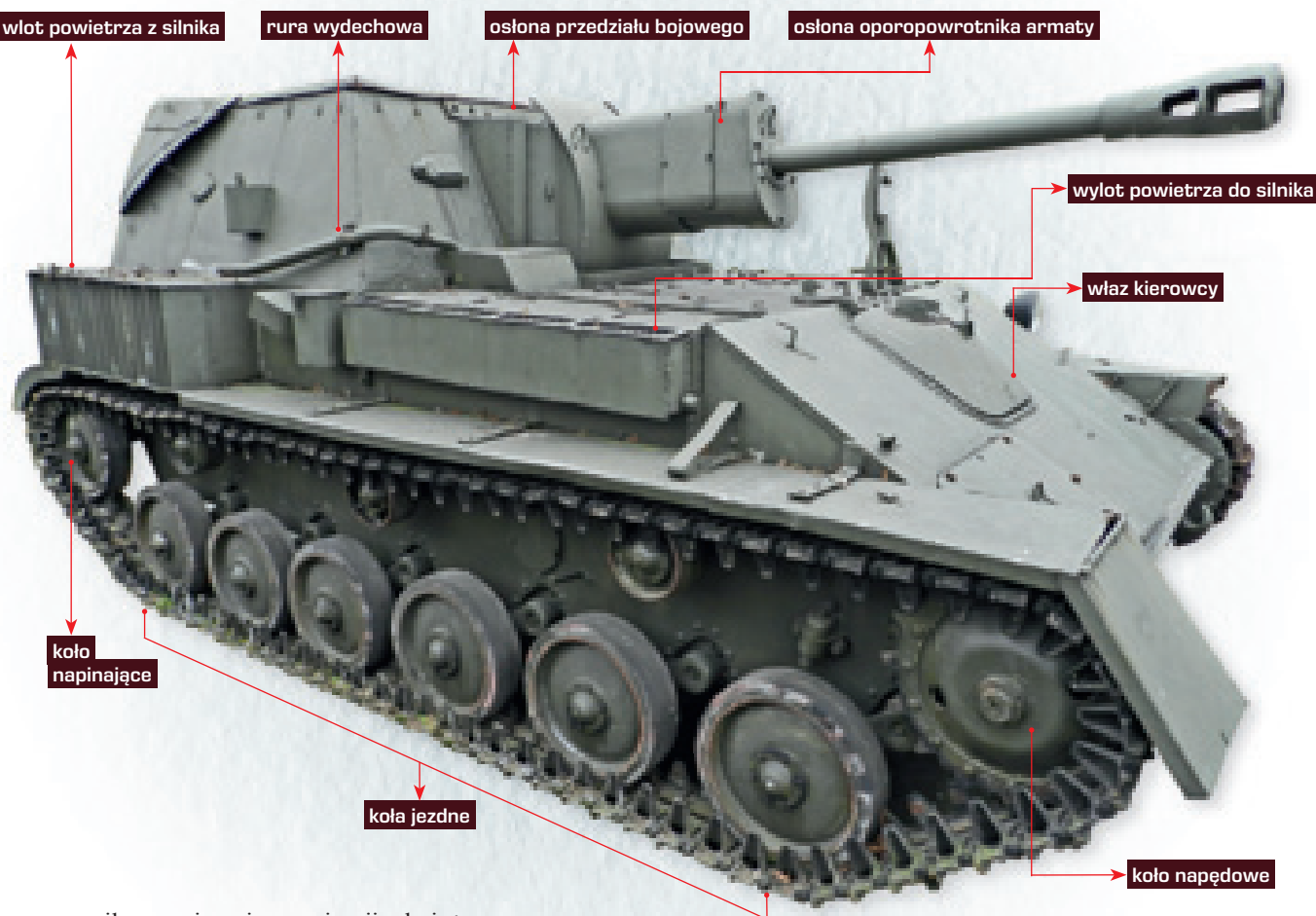


▶ SU-76 z dywizjonu wchodzącego w skład 2. Dywizji Piechoty; Chełm, lipiec 1944 roku

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

dane taktyczno-techniczne:

masa	11,2 t
napęd	2 x GAZ-203 (140 KM łącznie)
paliwo	benzyna lotnicza B-70
prędkość maksymalna	45 km/h
zasięg	320 km
uzbrojenie	armata 76,2 mm i kaem DT 7,62 mm
opancerzenie	10–35 mm
załoga	4 ludzi



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

nosiły znamiona improwizacji, ale już w początkach 1942 roku inicjatywę przejęły „czynniki wyższe”, przede wszystkim Główny Zarząd Artylerii, w którego gestii leżało stworzenie całego systemu artylerii samobieżnej (a więc dział o różnych kalibrach i przeznaczeniu) i opracowanie wymagań taktyczno-technicznych dla nowych pojazdów. Za realizację projektu odpowiadały dwa ludowe komisariaty (ministerstwa): uzbrojenia oraz przemysłu czołgowego. Pieczę nad wszystkim sprawował konstruktor Siemion Ginzburg z Ludowego Komisariatu Przemysłu Czołgowego i to on uchodzi za ojca SU-76. Oczywiście, powzięto słuszne założenie, że należy w jak największym stopniu oprzeć się na sprawdzonych i produkowanych już podzespołach. W przypadku lekkich dział samobieżnych, a tak sklasyfikowano późniejsze SU-76, zamierzano skorzystać z podwozi lekkich czołgów T-60 i T-70 (zunifikowanych podwozi dla dział samobieżnych), silników samo-

chodów ciężarowych GAZ i ZIS oraz armat ZIS-3 kal. 76,2 mm. Choć prace ruszyły rażno, zwłaszcza że zaangażowane były w nie rozmaite biura konstrukcyjne, to nadmierny pośpiech (zupełnie typowy dla przedsięwzięć realizowanych w trakcie wojny) musiał skutkować wieloma nieudanymi projektami.

Krwawa lekcja nad Wołchowem

Po próbach poligonowych latem 1942 roku odrzucono m.in. prototyp zbudowany w fabryce nr 37. Bitwa o Stalingrad wpłynęła nieco na opóźnienie projektu, ale jesienią 1942 roku znów nabrał on realnych kształtów. Kolejnym testom poddano dwie maszyny – SU-71 i SU-12. Pierwszą opracowano w Zakładach GAZ im. Mołotowa w Gorkim, drugą – w fabryce nr 38 im. Kujbyszewa w Kirowie. SU-71 nie przeszedł prób i ostatecznie w grudniu 1942 roku podjęto decyzję

o seryjnej produkcji dział SU-12, które w nomenklaturze wojskowej otrzymały nazwę SU-76 (od: *samochodnaja ustanowka*), czyli podstawa samobieżna dla działa kalibru 76 mm.

Pojazd zbudowano na zmodyfikowanym podwoziu opartym na podzespołach czołgów lekkich T-60 i T-70. Z tyłu kadłuba znajdował się przedział bojowy, całkowicie osłonięty walcowanymi płytami pancernymi pochylonymi pod kątem, w którym stanowiska zajmowali dowódca oraz ładowniczy i celowniczy obsługujący zmodyfikowaną armatę 76,2 mm. Z przodu kadłuba umieszczono układy napędowe i transmisyjny (przeniesienia napędu) oraz stanowisko kierowcy-mechanika. Przed stanowiskiem kierowcy, na przedniej płycie pancerza, znajdował się właz; pozostali członkowie załogi wchodzili do wnętrza drzwiami osadzonymi w tylnej części kadłuba. Wobec

dramatycznej sytuacji na froncie te niedopracowane pojazdy (z pierwszej serii produkcyjnej) już w styczniu 1943 roku rzucono do walki nad Wołchow, gdzie w morzu krwi topiono całe radzieckie armie. Krwawe zmagania obnażyły wszystkie niedostatki SU-76. Podstawowym problemem był zdublowany układ napędowo-transmisyjny. Dwa gaźnikowe silniki GAZ-202 ustawiono niezależnie wzdłuż boków kadłuba. Oba napędzały po jednej gaśienicy, każdą za pośrednictwem oddzielnej, niesynchronizowanej skrzyni biegów. Doświadczeni kierowcy fabryczni radzili sobie niezgorzej, jednak w warunkach polowych system okazał się nazbyt skomplikowany i wielce awaryjny.

Gołodupy Ferdynand

Wszystko to sprawiło, że SU-76 trzeba było dopracować, wstrzymując jednocześnie seryjną produkcję. Do lata 1943 roku udało się zbudować nową wersję – SU-76M. Zachowała ona poprzedni układ napędowo-transmisyjny, ale dzięki zamortyzowaniu łoż silników i wprowadzeniu sprężystych przegubów na wałach wzrosła niezawodność (wyeliminowano nadmierne drganie, będące przyczyną kłopotów z synchronizacją). Zmodernizowane pojazdy wzięły udział w bitwie na Łuku Kurskim.

Pod koniec 1943 roku pojawiła się ostateczna wojenna wersja działa. Oparto ją na zmodernizowanym czołgu T-70. Zastosowano o wiele doskonalszy napęd w postaci dwóch sprzężonych i ułożonych wzdłużnie silników GAZ-203 (umieszczono je na prawej burcie kadłuba), dzięki czemu można było zastosować jedną skrzynię biegów. Pozbyto się też ostatecznie górnej płyty pancernej przedziału bojowego. Zapewniała ona tylko iluzoryczną ochronę, powodując ciasnotę, problemy z wentylacją, a przede wszystkim utrudniając załodze szybkie wydostanie się z płonącego pojazdu. W razie złych warunków atmosferycznych przedział bojowy zabezpieczano od góry brezentową plandeką. Zewnętrznie „suczki” przypominały słynnego niemieckiego Ferdynanda, ze względu jednak na odkryty przedział bojowy przylgnęła do nich żartobliwa nazwa – *gołozopyj Fierdynand*, czyli „gołodupy Ferdynand”.

Ta najbardziej masowo produkowana wersja działa nosiła wojskowe oznaczenie SU-76, nie zaś SU-76M, jak podaje wiele opracowań. Okazała się stosunkowo udana, a dzięki prostocie konstrukcji łatwa w produkcji (zakłady GAZ w Gorkim). Przy odpowiedniej taktyce walki działa SU-76 okazywały się niezastąpione, doskonale sprawdzając się

w roli mobilnego artyleryjskiego wsparcia piechoty, a także oddziałów pancernych i zmechanizowanych.

SU-76 przeciwko Moczarowi

Pierwotnie artyleria samobieżna podlegała Dowództwu Artylerii, jednakże wobec wzrastającego znaczenia broni pancernych, a co za tym idzie – rosnącego zapotrzebowania na pojazdy bojowe, szybko podporządkowano ją Dowództwu Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych. To niestety stało się przyczyną wysokich strat, działa samobieżne zaczęto bowiem wykorzystywać w charakterze czołgów. Tymczasem zarówno słaba armata, jak też cieniutki pancerz (10–35 mm) zupełnie nie predysponowały „suczki” do tej roli, a frontalne ataki kończyły się zazwyczaj masakrą. SU-76 organizowano w dywizjony przydzielane dywizjom strzeleckim oraz w pułki wchodzące w skład korpusów pancernych i zmechanizowanych. Z czasem zaczęto tworzyć także większe związki taktyczne – brygady dział samobieżnych.

W okresie II wojny światowej jedynym użytkownikiem dział SU-76 oprócz Armii Czerwonej było Wojsko Polskie (nie licząc oczywiście zdobycznych egzemplarzy wykorzystywanych przez Niemców). „Suczki” trafiły do uzbrojenia dywizji piechoty 1. i 2. Armii (samodzielne dywizjony dział samobieżnych), w ramach I Korpusu Pancernego sformowano zaś 27. pułk, uzbrojony w działa tego typu. Polskie SU-76 brały udział w działaniach bojowych od lipca 1944 roku (m.in. w walkach o Dęblin, warszawską Pragę, Kołobrzeg, Budziszyn).

W okresie PRL pojazdy nierzadko pojawiały się na planie filmowym. „Zagrały” m.in. w *Jarzębinie czerwonej*, wspomniałym batalistycznym dziele o walkach o Kołobrzeg, ale też w *Barwach walki*, gdzie ucharakteryzowano je na... niemieckie działa samobieżne, użyte w akcji przeciw partyzantom Mieczysława Moczara na Kielecczyźnie. 🇵🇱

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kłuszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



► Przedział bojowy SU-76 zabezpieczony przed deszczem

Święty ogień, święty człowiek

Grzegorz Wolk

Ofiara życia to największe poświęcenie, do jakiego zdolny jest człowiek. Płonący mnisi buddyjscy czy student Jan Palach są do dziś symbolami protestu przeciwko zniewoleniu własnego kraju i narodu. Postać i czyn Walentego Badyłaka powinny zająć bardziej eksponowane miejsce w naszej narodowej pamięci.

W europejskiej strefie cywilizacyjnej samobójstwo nie jest akceptowalnym sposobem walki. Samospalenie to krok dramatyczny i niewielu obywateli polskich zdecydowało się na taki wyraz protestu. Szmul Zygielbojm nie mógł znieść bierności aliantów wobec ludobójstwa swoich żydowskich współpracowników; czarę goryczy przelał nadchodzący nieuchronnie upadek powstania w getcie warszawskim. Ryszard Siwiec zaprotestował przeciwko haniebnej inwazji wojsk Układu Warszawskiego, w tym polskich jednostek, na Czechosłowację w 1968 roku. Walenty Badylak, o którym opowiada film załączony do „Pamięci.pl”, dokonał samospalenia tuż przed czterdziestą rocznicą mordu katyńskiego, aby poruszyć sumienia mieszkańców Krakowa i przypomnieć o sowieckiej zbrodni.

21 marca 1980 roku. Zwyczajny poranek na krakowskim rynku. Pogoda nie rozpieszczała przechodniów, pomimo że był to pierwszy dzień wiosny. Nikt ze spacerujących nie spodziewał się z pewnością widoku płonącego człowieka. Miasto było oblepione hasłami propagandowymi przypominającymi o zbliżających się wyborach do Sejmu PRL. Reżimowe media walczyły o jak najwyższą frekwencję.

O czterdziestej rocznicy rozstrzelania przez NKWD polskich oficerów w lesie katyńskim milczano. O prawdę na ten temat dbały zagraniczna Polonia i Radio Wolna Europa, a w kraju – rodziny ofiar oraz nieliczne grupki opozycjonistów. Jednak ich siła oddziaływania była niewielka. Wszyscy oni przygotowywali się na kwiecień, który był powszechnie traktowany jak „miesiąc katyński” – to właśnie w kwietniu 1940 roku wyruszyły bowiem pierwsze transporty jeńców kierowanych na egzekucję. Do rocznicy przygotowywała się także Służba Bezpieczeństwa, która starała się wyeliminować wszelkie informacje o prawdziwych sprawcach mordu. Sowietci przyznali się do zbrodni dopiero w kwietniu 1990 roku. Właściwie przez cały okres PRL za podważanie sowieckiej wersji, według której mordu dokonali Niemcy w 1941 roku, groziły wyroki więzienia bądź inne represje.

Nawet zapalenie znicza na symbolicznej mogile katyńskiej, np. na warszawskich Powązkach, mogło pociągnąć za sobą kłopoty. Nękanie przez SB, szykany w pracy bądź szkole, niekiedy nawet zwolnienie z pracy, a w czasach stalinowskich więzienie. To była cena, którą zapłacić decydowało się niewielu.

Gdy Badylak przypinał się solidnym łańcuchem do hydrantu na rynku, zadbał o wszelkie szczegóły, by jego czyn nie poszedł na marne. Starannie wrył na metalowej tabliczce słowa: „Płatni przez katyńskich morderców renegaci wyrzucili 15-letniego jedynaka ze szkoły, z solidnej piekarni zrobili knajpę. Jedynek rozpił się”. Zdania te nie oddają pełni dramatu człowieka, którego śmiało można określić mianem współczesnego Hioba. Całe życie Walentego Badyłaka naznaczone było pasmem tragicznych wydarzeń. Wychował się przed wojną w biednej rodzinie i już jako dwunastoletni chłopiec był zmuszony pracować fizycznie. W końcu jednak zdobył wykształcenie i został piekarzem. Ożenił się z Niemką. Urodził im się syn. Zapewne dość spokojne i szczęśliwe życie przerwała II wojna światowa. Walenty został żołnierzem Armii Krajowej, a żona podpisała volkslistę. Według przekazów rodzinnych, ukochany syn wstąpił do Hitlerjugend.

Po wojnie, którą przeżyła cała rodzina, Walenty rozwodził się, uzyskując opiekę nad synem. Szukał szczęścia na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdzie otworzył piekarnię. Wywłaszczyli go z niej komuniści. Kolejną ciężką próbą była dla niego decyzja syna – wspomnianego jedynaka wyrzuconego ze szkoły – o wstąpieniu do UB. Kolejnym dramatem była śmierć drugiej żony Walentego, wdowy po oficerze rozstrzelanym w Katyniu. Być może to dzięki jej opowieściom zaczął zgłębiać tajemnice sowieckiej zbrodni.

Tego jednak nie wiemy. Nie pozostawił po sobie pamiętników ani ideowego testamentu. W jego skromnym mieszkaniu milicjanci znaleźli jedynie list pożegnalny skierowany do rodziny: „Kochani – jeżeli tam nie ma nicości, a są duchy bratnie, będę was wspomagał, a w chwilach szczególnych odczujecie moją obecność – ojciec i dziadek”. Jego śmierć wywołała duże poruszenie. Postawiono na nogi całą krakowską SB, był tematem rozmów członków Biura Politycznego KC PZPR. Starano się przekonać mieszkańców Krakowa, że był chory psychicznie, na co jednak brak dowodów.

Czy to właśnie tak ciężkie doświadczenia życiowe pehnęły Walentego Badyłaka do tego dramatycznego czynu? Autorzy *Świętego ognia* próbują zrekonstruować nie tylko przebieg wydarzeń z 21 marca 1980 roku, lecz także postać bohatera filmu. Nie było to zadanie proste. Pomimo że dotarli do członków rodziny, dawnych znajomych, a nawet funkcjonariuszy krakowskiej SB, nie odnaleźli żadnego zdjęcia Walentego Badyłaka. Chociaż pozostaje on „człowiekiem bez twarzy”, film *Święty ogień* oddaje mu należne miejsce w historii. Miejsce jednego z najodważniejszych przeciwników kłamstwa katyńskiego.

Dziś, gdy prawda o Katyniu jest powszechnie znana i za jej głoszenie nie grożą żadne konsekwencje, tym bardziej winniśmy pamięć osobom, które ją kultywowały w latach PRL. ■

Grzegorz Wolk – historyk, politolog, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, doktorant w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego

Zbrodnia Katyńska w filmie

Karol Wisłocki

W marcu 1940 roku władze sowieckie wydały wyrok śmierci na ponad 20 tys. polskich obywateli. Do dołów śmierci trafiła duża część polskiej elity budującej niepodległe państwo polskie. To było jedyne „przestępstwo”, jakie udało się udowodnić skazańcom. Tej elity zabrakło Polsce po wojnie. W tym roku mijają 74 lata od tej zbrodni. Wielu twierdzi, że o Katyniu wiemy już wszystko i nie ma sensu wciąż o nim przypominać. Wydarzenia ostatnich miesięcy, a nawet tygodni, wskazują na coś zupełnie innego.

Prawie ćwierć wieku po upadku komunizmu Rosja, prawna spadkobierczyni ZSRR, wciąż unika odtajnienia wszystkich dokumentów zebranych w śledztwie dotyczącym zbrodni. Znowu nasilają się głosy o niemieckiej odpowiedzialności za mord z 1940 roku. Przykładem jest obłudny artykuł opublikowany w marcu na łamach „Komsomolskiej Prawdy”. Zanegowano w nim rozstrzelanie przez NKWD w Kalininie (dzisiejszym Twerze) ponad 6 tys. polskich jeńców wojennych z obozu w Ostaszkowie. W tekście mowa tylko o 1803 zamordowanych Polakach. Jednocześnie w Moskwie kontynuuje się akcję na rzecz umniejszania znaczenia mordu, jako jednego z wielu dokonanych w XX wieku. Próbowano wskazać, że Polacy na jeńcach z wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku także dokonali ludobójstwa. Rok 1940 był więc swoistą zemstą. I choć historycy (także rosyjscy) uznali to za brednię, wersja ta wciąż pojawia się w publicystyce. Także w Polsce pojawiają się – na szczęście bardzo nieliczne – głosy negujące okoliczności zbrodni, a, co gorsze, nawet ją usprawiedliwiającej.

Dowodzi to potrzeby działania na rzecz upamiętnienia ofiar oraz utrwalenia wiedzy o zbrodni. Jedną z takich inicjatyw jest przegląd filmowy Echa Katynia, po raz pierwszy zorganizowany przez IPN w 2010 roku. Co roku w kwietniu prezentujemy kilka filmów tematycznie związanych ze Zbrodnią Katyńską oraz innymi zbrodniami totalitarnymi, zwłaszcza komunistycznymi. W ciągu pięciu przeglądów zaprezentowaliśmy już trzydzieści filmów, nie tylko polskich. Wiele z nich nie doczekało się emisji w żadnej z polskich stacji telewizyjnych.

Filmy upominające się o prawdę

Prezentowane przez nas filmy często poruszają nieznane szerzej wątki. Dobrym przykładem jest obraz *Kuropaty. Droga sumienia* (prod. Telewizja Bielsat), prezentowany podczas tegorocznego przeglądu. O usytuowanych pod Mińskiem Kuropatach mało kto słyszał, a o zamordowaniu i pogrzebaniu tam Polaków z tzw. bia-



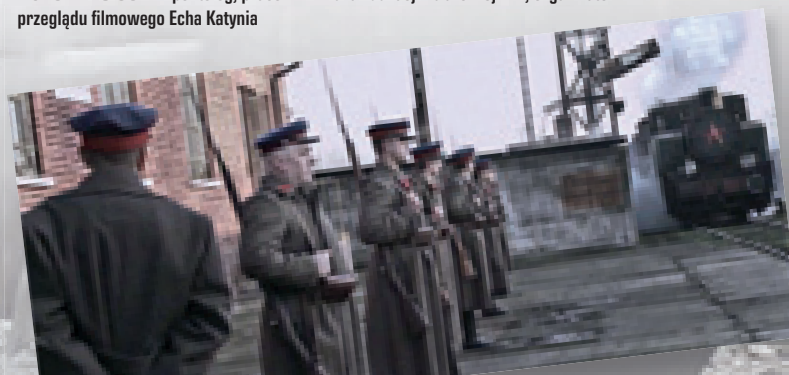
łoruskiej listy katyńskiej możemy wciąż mówić tylko w trybie przypuszczającym. Próżno też oczekiwać powstania tam piątego cmentarza katyńskiego. Władze białoruskie robią wszystko, by pamięć o Kuropatach została zniszczona, mimo że spoczywają tam przede wszystkim Białorusini zamordowani przez NKWD w latach 1937–1941. Trudno podać dokładną liczbę pochowanych w tym miejscu ofiar. Władze białoruskie mówią o kilku tysiącach zamordowanych, a niezależni historycy nawet o ćwierci miliona. Niewiele też wiedzą okoliczni mieszkańcy, co zresztą film dobitnie pokazuje. W Kuropatach nie ma kompleksu upamiętniającego pomordowanych, są jedynie postawione przez działaczy społecznych krzyże i kamienie z ikonami – zresztą co jakiś czas dewastowane.

Co dalej?

Pierwsze trzy edycje przeglądu organizowaliśmy tylko w Warszawie. W ubiegłym roku pokazy odbyły się w dziewięciu miastach, a w tym zorganizowano je już w trzynastu. Wprowadziliśmy kolejną nowość – transmisję *online* w internecie z towarzyszącymi filmom dyskusjami prowadzonymi w Warszawie. W kontekście ostatnich wydarzeń na wschodzie i zakłamań w sprawie Zbrodni Katyńskiej w rosyjskiej prasie, bardzo istotny jest temat ostatniego dnia warszawskiego przeglądu, poświęcony postaci Olega Zakirowa, byłego oficera KGB, który na własną rękę w latach osiemdziesiątych dochodził prawdy o Zbrodni Katyńskiej. Za to został wyrzucony z KGB i pozbawiony jakiegokolwiek pracy, wielokrotnie grożono mu śmiercią. W końcu, kilkanaście lat temu, przeprowadził się do Polski. Żyje tu w ubóstwie i jest, niestety, niedocenionym bohaterem sprawy katyńskiej.

W czasie projekcji często zastanawiam się, jak dana produkcja zostanie odebrana przez widzów. Są filmy, po których na sali zapada absolutna cisza, a na twarzach widzów pojawia się żal i smutek. Bywają i takie, po których emisji natychmiast rozlegają się brawa. Okazuje się, że Zbrodnia Katyńska to wciąż ważny, budzący emocje temat, do którego nie można nie powracać. 📌

Karol Wisłocki – politolog, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, organizator przeglądu filmowego Echa Katynia



Bard, który nie chciał być bardem. Jacek Kaczmarski (1957–2004)

Krzysztof Gottesman

Dzisiaj już nie ma takich artystów, których by znała cała Polska. Jacek Kaczmarski był jednym z ostatnich. Jego pieśni słuchali i śpiewali studenci, robotnicy, intelektualiści. W wielkich salach i małych mieszkaniach. Często rozumiejąc na opak jego intencje. 10 kwietnia minęła dziesiąta rocznica jego śmierci.

Należę do pokolenia, które dużą część życia przeżyło z jego piosenkami i pieśniami. Pod koniec lat siedemdziesiątych zachwyłem się *Murami*, choć opacznie rozumiałem ich sens. Śpiewałem z innymi przez całe lata osiemdziesiąte: „Wyrwij murom zęby krat! Zerwij kajdany, połam bat! A mury runą, runą, runą I pogrzebią stary świat!”. I nie chciałem słuchać (a kto chciał?!) końca pieśni:

„Patrzył na równy tłumów marsz,
Milczał wsłuchany w kroków huk,
A mury rosły, rosły, rosły,
Łańcuch kołysał się u nóg...”.

Mówi się do dziś, że urodzony w 1957 roku Jacek Kaczmarski roku był głosem Solidarności, głosem antykomunistycznej opozycji. Był nim na pewno, ale był też kimś więcej. Jeśli już chcemy go nazywać bardem, to powinniśmy go nazwać bardem wolności, bardem sprzeciwu wobec wszelkich totalitaryzmów. A także – wobec pochopnych nadziei i naiwnych przekonań.

Jedną z moich ulubionych piosenek Kaczmarskiego jest napisane w maju 1982 roku *Świadectwo*.

„Jaja w kraju niewyjęte –
Solidarność dała ciała,
Spawacz gra w bambuko z Glempem,
Partia trzyma się na pałach.
W dzień handelek, czym podleci
Za to w nocy ostrza bania –
Pieniądz tańszy już od śmieci,
Milion poszedł bez gadania”.



Czy ktoś „od nas” tak pisał – w maju 1982 roku! – o Polsce, o stanie wojennym, o Solidarności?

Kończył Kaczmarski *Świadectwo* jeszcze ostrzej, jeszcze bardziej gorzko:

„Tam nie wracaj, grunt spalony,
Nie ma życia, stan krytyczny.
Słuchaj, czy na paszport WRONY
Dadzą ażyl polityczny?”.

Świadectwo pisał Kaczmarski na emigracji. Bo wiele lat przeżył poza Polską, przed którą – tak mi się wydaje – uciekał. Lata osiemdziesiąte spędził na przymusowej emigracji. Stan wojenny zastał go we Francji. Postanowił przeczekać. To wtedy w smutnej Warszawie słuchaliśmy przemycanych z Zachodu lub przegrywanych z Wolnej Europy piosenek Kaczmarskiego, dyskutowaliśmy nad jego komentarzami wygłaszanymi w audycji „Fakty – Wydarzenia – Opinie”. Podobały nam się, dawały nadzieję, imponowały przenikliwością. Podziwialiśmy, jak w *Świadectwie*, odwagę. Z tego okresu pochodzi inna moja ulubiona piosenka: *Marsz intelektualistów*.

„Jestem postacią na wskroś tragiczną
Najtrudniejszym dokonał wyboru,
Między obozem dla nieprawomyślnych
A honorami i łaską dworu”.

Tu trzeba dodać, że piosenkę Kaczmarski dedykował wszystkim, którzy przyczynili się do umacniania reżimu komunis-

tycznego w Polsce, „ze szczególnym uwzględnieniem Daniela Passenta, Jerzego Urbana i Mieczysława F. Rakowskiego”.

„Ja wiem, ja także z wami marzyłem
Dalem się ponieść mglistym mirażom
Lecz tylko siłą zwalczymy siłę
I zادهczymy groby, gdy każą!”.

To były wtedy, na początku 1982 roku, słowa gorzkie, wyjątkowo celne i prawdziwe. Dużo było wówczas naokoło ludzi, którzy wybrali „Realpolitik”, hamletyzując przy tym nad swoim losem, wykonując jednak jak najgorszą robotę – wśród nich ci trzej, którym Jacek Kaczmarski poświęcił osobistą dedykację. A koniec, jak to często u Kaczmarskiego, jest jeszcze smutniejszy i proroczy:

„A kiedy wszystko do ładu wróci
W szafach należne miejsce mundurom,
Snów filozofów młodzież się uczy
A ręka zmienia pałkę na pióro...”

Wrócił Kaczmarski do Polski w 1990 roku. Odbił tryumfalną trasę koncertową, wszędzie entuzjastycznie witany, fetowany. Ciężko mu się z tym żyło. Już jesienią 1990 roku napisał współczesną wersję *Kariery Nikodema Dyzmy*. To nie była prymitywna propaganda w wyborach prezydenckich, choć utwór korespondował z trwającą wówczas kampanią i rywalizacją między Mazowieckim a Wałęsą:

„Nikodem! Mąż opatrnościowiy!
Bez wad charakter, bez rozterek!
Oto Polaka portret nowy!
Tylko mu w ręce dać siekierę!
Lecz zmilczę. Ma nade mną władzę
I zapowiedział mi to w porę,
Że jeśli go w czymkolwiek zdradzę
Natychmiast wyśle mnie do Tworek!”

Może dlatego wyjechał. Tym razem – w 1995 roku – na koniec świata, do Australii. Słońce, dobrobyt, kochająca i kochana kobieta. Pisał piosenki, książki. Był szczęśliwy? Nie sądzę. Jego wrażliwość, wewnętrzne napięcie i emocje nie pozwalały na to. Ciągle chciał nam opowiedzieć więcej, niż mógł, choć przecież opowiedział tak dużo. Kiedyś pomagał alkohol.

Dlatego ciągle wracał i znowu wyjeżdżał. I wracał. Szczególnie gdy ciężko – okazało się, że śmiertelnie – zachorował. „Wyrwałem się z oblawy tej, schowałem w obcy las,
Lecz ile szczęścia miałem w tym to każdy chyba przyzna
Leżałem w śniegu, jak nieżywy, długi, długi czas
Po strzale zaś na zawsze mi została krwawa blizna!
Lecz nie skończyła się oblawa i nie śpią gończe psy
I giną ciągle wilki młode na całym wielkim świecie
Nie dajcie z siebie zdrzeć skór! Brońcie się i wy!
O bracia wilcy! Brońcie się nim wszyscy wyginiecie!”.

Słynną *Oblawę* napisał Kaczmarski na podstawie tekstu Włodzimierza Wysockiego jako młody człowiek, na początku swojej kariery. Towarzyszyła mu przez całe życie. ❀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta,
pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

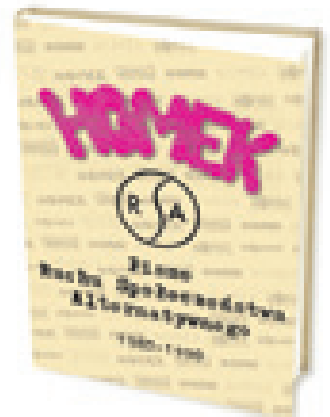
„Homek” powraca

Publikacja gdańskiego IPN zawiera reprint „Homka” – pisma Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego z lat 1983–1990, a więc z okresu walki społeczeństwa polskiego z ustrojem komunistycznym. Są to najciekawsze dokumenty ukazujące przebieg, formę i kierunek walki uczestników RSA z panującym wtedy systemem. Walki młodzieży, poszukującej – wbrew ówczesnej polityce państwa – własnej tożsamości, pragnącej wolności, niezgadającej się na zastaną rzeczywistość, proponującej alternatywizm, który ostatecznie okazał się anarchizmem czy neoanarchizmem. Trzeba w tym miejscu podkreślić, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku działalność i poglądy uczestników RSA nazywano raczej neoanarchizmem niż anarchizmem, jak zrobiono by to dzisiaj. Po części wpływ na to miały koncepcje ówczesnych polskich anarchistów, daleko odbiegające od poglądów klasyków tej dziewiętnastowiecznej doktryny, jak również brak w polskiej myśli politycznej anarchistycznych tradycji, na co zwrócił uwagę historyk doktryn, prof. Franciszek Ryszka.

Reprint „Homka” poprzedzony został obszernym wprowadzeniem w historię RSA, podzielonym na dwie zasadnicze części. Pierwsza poświęcona jest działalności anarchistycznej ruchu, drugą stanowią – wzbogacone o fotografie – biogramy twórców RSA: Krzysztofa Galińskiego, Wojciecha Jankowskiego, Wojciecha Mazura, Krzysztofa Skiby, Zbigniewa Stybla oraz Cezarego i Janusza Waluszków. We wprowadzeniu można znaleźć informacje o okolicznościach powstania (w tym wymyślenia tytułu „Homek”), wydawania i kolportażu pisma RSA, konspiracyjnej działalności, pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa wymierzonej w gdańskich anarchistów oraz informacji na temat samych twórców RSA, których poglądy, aktywność i determinacja składają się dziś na myśl współczesnego polskiego ruchu anarchistycznego. Nowością wśród dotychczas opublikowanych materiałów i badań na temat RSA są informacje odnoszące się do metod i technik konspiracyjnych stosowanych przez anarchistów.

Szczególnie cenna w badaniach nad współczesnym polskim anarchizmem, zwłaszcza w badaniach nad RSA, jest analiza materiałów operacyjnych Służby Bezpieczeństwa dotyczących inwigilacji uczestników RSA i próby rozpracowania polskiego ruchu anarchistycznego lat osiemdziesiątych XX wieku. Dotychczas ukazały się nieliczne publikacje na ten temat. ❀

Radosław Antonów



„Homek” – Pismo Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego (1983–1990), red. Grzegorz Berendt, Krzysztof Brzechczyn, Zbigniew Stybel, Janusz Waluszko, IPN, Gdańsk 2013, 226 s.

Apostoł rewolucji

Ziemianin sławiący robotniczą rewolucję. Bolszewik uważający się za chrześcijanina. Czarna owca licznej, szlacheckiej, polskiej rodziny. Sylwia Frołow w swojej książce rysuje pełen sprzeczności obraz pierwszego czekisty – Feliksa Dzierżyńskiego.

Dzierżyński urodził się w 1877 roku. Jako młody chłopak zafascynował się ideałami socjalizmu. Przez lata działał w konspiracji, był wielokrotnie skazywany na zesłanie i więzienie. Od ostatniego wyroku uwolniła go rewolucja 1917 roku. Jego polityczne sympatie skierowały go w szeregi partii bolszewickiej i doprowadziły do stanowiska szefa policji politycznej.

Jako twórca i pierwszy przewodniczący Nadzwyczajnej Komisji ds. Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (Czeka) stał się na lata legendą komunistycznych służb specjalnych, których funkcjonariusze z dumą określali siebie mianem czekistów. W 1982 roku, w okresie stanu wojennego, Wojciech Jaruzelski apelował do członków kierownictwa MSW: „Przypomnijcie sobie postać Feliksa Dzierżyńskiego, bezwzględnie wobec wrogów rewolucji, ale jednocześnie symbolu troski i opieki nad bezdomnymi dziećmi”. Władze PRL wynosiły Dzierżyńskiego na piedestał i kreowały na ideał komunisty, podczas gdy zwykli Polacy widzieli w nim sadystycznego mordercę i szaleńca. Jednym z symboli przełomu 1989 roku jest obalenie jego warszawskiego pomnika.

Frołow w swojej książce przytacza wiele faktów, które nie pasują do utrwalonego obrazu Dzierżyńskiego. Wyjątkowe zdziwienie mogł budzić na przykład jego religijne fascynacje. „Ja jestem tylko chrześcijaninem, ja wierzę w naukę Chrystusa, w Jego Ewangelię, w miłość Jego niezmierną ku ludziom nieszczęśliwym” – tłumaczył w liście do siostry. Wydaje się, że pisał szczerze, chociaż należy pamiętać, że Chrystus w przekonaniu socjalistów był społecznym rewolucjonistą, który gardził własnością. Ich zdaniem Kościół przeinaczył jego nauki dla własnych korzyści. Wielu komunistów wyniosło z domu czy szkoły religijne wychowanie. Stalin kształcił się w szkole cerkiewnej, potem w seminarium w Tbilisi. Castro miał za sobą szkołę prowadzoną przez jezuitów, Jaruzelski przez marianów.

Dzierżyński był religijnym dzieckiem, z czasem jednak jego miłość do Boga przemieniła, pozostała potrzeba zarliwej wiary. „Fanatyczną wiarę przeniósł w komunizm” – wspominał Nikołaj Bierdiajew, przesłuchiwany przez szefa Czeka. Przez całe życie Dzierżyński był niez mordowanym rewolucjonistą, który poświęcał swoje życie osobiste i zdrowie dla walki o nowy porządek. Był ascetą – od tej cechy, nie od bezwzględności, wziął się jego przydomek „żelazny”.

Spojrzenie za maskę „żelaznego Feliksa” i opisanie go jako człowieka jest dużą zasługą Sylwii Frołow. Autorka stara się nakreślić portret psychologiczny Dzierżyńskiego i zgłębić motywacje jego życiowych decyzji. Jest to możliwe dzięki sięgnięciu do prywatnych listów, nie tylko tych wydanych. Obraz Dzierżyńskiego uzupełnia szczególnie korespondencja z siostrą Aldoną, osobą mu bliską, pomimo zupełnie innego spojrzenia na politykę i sprawy społeczne. W większości autorka opiera się na

opracowaniach i źródłach drukowanych. O ile sprawdza się to w przypadku opisu życia Dzierżyńskiego „przed Czeka”, to późniejszym rozdziałom nie zaszkodziłoby sięgnięcie do liczniejszych opracowań i źródeł, w tym z archiwów moskiewskich, które nie są już tak niedostępne jak kiedyś.

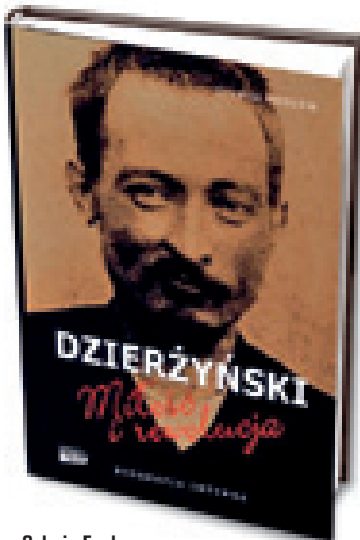
Książka Sylwii Frołow jest sprawnie napisana i nie znudzi czytelnika. Przedstawienie Dzierżyńskiego jako człowieka z krwi i kości, postaci niejednoznacznej, sprawia, że opracowanie to jest niezwykle ciekawe. Podnoszone zarzuty o „ucławiecanie potwora” są niesłuszne. To, że autorka starała się zgłębić motywacje jego działania, nie sprawia, że „żelazny Feliks” staje się bohaterem. Opisanie jego historii jest krokiem do zrozumienia postaci, nie do usprawiedliwienia.

Zastrzeżenia można mieć do pewnych aspektów opisu działalności Dzierżyńskiego w latach 1917–1926. Autorka słusznie zwraca uwagę na spiralę przemocy nakręcaną w Rosji przez wszystkie strony wojny domowej: bolszewików, „białych” i „zielonych”. Jednak przecenia jej wpływ na kształtowanie polityki terroru przez tych pierwszych. Nie docenia natomiast ideologii i filozofii władzy stojącej za podejmowanymi decyzjami. Bolszewicy od samego początku realizowali projekt politycznego terroru. Nie był to tylko teatr wystawiany na potrzeby mas i zdobycia poparcia. Dzierżyński w 1918 roku tłumaczył: „My przedstawiamy sobie zorganizowany terror”. Wtórował mu jego zastępca Martyn Łacis: „W trakcie śledztwa nie szukamy dowodów [...]. Pierwsze pytanie, jakie należy postawić, brzmi: do jakiej klasy należy? Jakie jest jego pochodzenie, wykształcenie, zawód? [...] Na tym polega istota czerwonego terroru”. Od samego początku wdrażano w życie założenia terroru masowego, skierowanego przeciwko rzeczywistym lub urojonym wrogom bolszewików – wybranym grupom etnicznym, klasom społecznym, duchowieństwu.

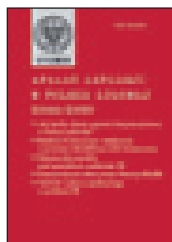
Frołow kilkakrotnie zaznacza, że Dzierżyński był karnym wykonawcą rozkazów, co do których miał wątpliwości. Ten morderca z za biurka w osobistym kontakcie ze swoimi ofiarami okazywał nieraz łaskę i np. zwalniał z więzienia. Autorka przywołuje definicję „banalnego zła”, którą Hannah Arendt przedstawiła w swojej klasycznej pracy dotyczącej Adolfa Eichmanna. Problem polega na tym, że tak jak Arendt wzięła za dobrą monetę linię obrony przedstawioną przez nazistowskiego zbrodniarza, tak Frołow nie docenia momentami wkładu Dzierżyńskiego w kreowanie masowego terroru. Mordercami z za biurka byli przecież także Lenin i Stalin. Ten drugi też był „łaskawy” i wykrywał czasem starych przyjaciół z list „zdrajców” do rozstrzelania.

Bolszewicy, również Dzierżyński, byli przekonani o tym, że prowadzą krucjatę. Zwalczali brutalnie i bez wahania rzeczywistych bądź wymagowanych wrogów. Dziś zazwyczaj uważa się Dzierżyńskiego za pozbawionego sumienia mordercę. On sam powiedziałby chyba, że złożył swoje sumienie na ołtarzu rewolucji. Jego biografia opisuje drogę, jaką przebył młody socjalista, by stać się zbrodniarzem. ❄

Tomasz Kozłowski



Sylwia Frołow, *Dzierżyński. Miłość i rewolucja*, Znak, Kraków 2014, 352 s.



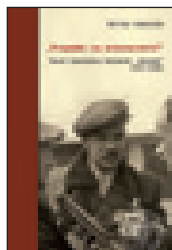
■ „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” nr 1 (111)/2013, IPN, Rzeszów 2013, 440 s.



■ Przemysław Ochnia, *Radomski Czerwiec 1976*, IPN, Lublin–Radom 2013, 64 s.



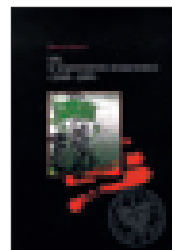
■ *Sowiecki system obozów i więzień. Przykłady wybranych państw*, red. J. Bednarek, IPN, Łódź 2013, 288 s.



■ Dariusz Iwaneczko, „Przypadek czy przeznaczenie?” *Karol Kazimierz Kosteki „Kostek” (1917–1998)*, IPN, Rzeszów 2013, 288 s. + 24 s. wkł. zdj.



■ „Przegląd Archiwalny Instytutu Pamięci Narodowej”, t. 6 (2013), IPN, Warszawa 2013, 479 s.



■ Mateusz Szpytma, *ZSL w województwie krakowskim (1949–1956). Geneza – ludzie – działalność*, IPN, Kraków 2013, 544 s.



■ Krzysztof Kaczmariski, *O Wielką Polskę na wojennym wychodźstwie. Stronnictwo Narodowe wobec rządu gen. Władysława Sikorskiego (1939–1943)*, IPN, Rzeszów 2013, 400 s. + 24 s. wkł. zdj.



■ *PZPR a Solidarność 1980–1981. Tajne dokumenty Biura Politycznego*, wstęp T. Kozłowski, IPN, Warszawa 2013, 919 s.



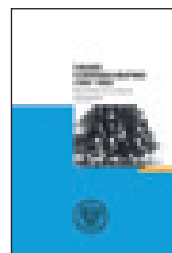
■ *Twórcy na służbie. W służbie twórczości*, red. S. Ligarski, IPN, Warszawa 2013, 216 s.



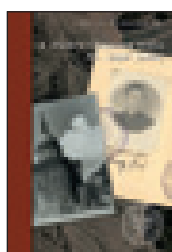
■ Jerzy Kirszak, *Armia Rezerwowa gen. Sosnkowskiego w roku 1920*, IPN, Warszawa 2013, 447 s. + 64 s. wkł. zdj. + 2 mapy.



■ Janusz Przemysław Ramotowski „Przem”, *Sto razy głową w mur. Historia o tych, co chcieli zrobić coś innego niż druk bibuły*, IPN, Warszawa 2013, 592 s.



■ Marcin Węgliński, *Twarze tczewskiej bezpieki (1945–1990). Biogramy funkcjonariuszy i rys historyczny*, IPN, Gdańsk 2013, 316 s. + 10 s. wkł. zdj.



■ Mariusz Krzysztofiński, *W służbie Chrystusa Króla. Ks. Józef Sondej*, IPN, Rzeszów 2013, 288 s. + 40 s. wkł. zdj.



■ *Realny socjalizm – Solidarność – kapitalizm. Wokół myśli politycznej Leszka Nowaka*, red. K. Brzechczyn, IPN, Poznań 2013, 120 s.



■ *Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych na Środkowym Nadodrzu w latach 1956–1970*, red. E. Wojcieszek, IPN, Poznań 2013, 217 s.



■ *Narodziny Solidarności. Krajowa Komisja Porozumiewawcza 17 września – 10 listopada 1980*, wstęp, oprac. T. Kozłowski, IPN, Warszawa 2013, 548 s.



■ Ewa Rogalewska, *Getto białostockie. Doświadczenie Zagłady – świadectwa literatury i życia*, wyd. II, IPN, Białystok 2013, 320 s.



■ Marcin Zwolski, *Śladami zbrodni okresu stalinowskiego w województwie białostockim*, IPN, Białystok 2013, 456 s.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:

w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie: tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88; 22 431 82 89; faks 22 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

ORGANIZATOR:



PATRONAT HONOROWY:



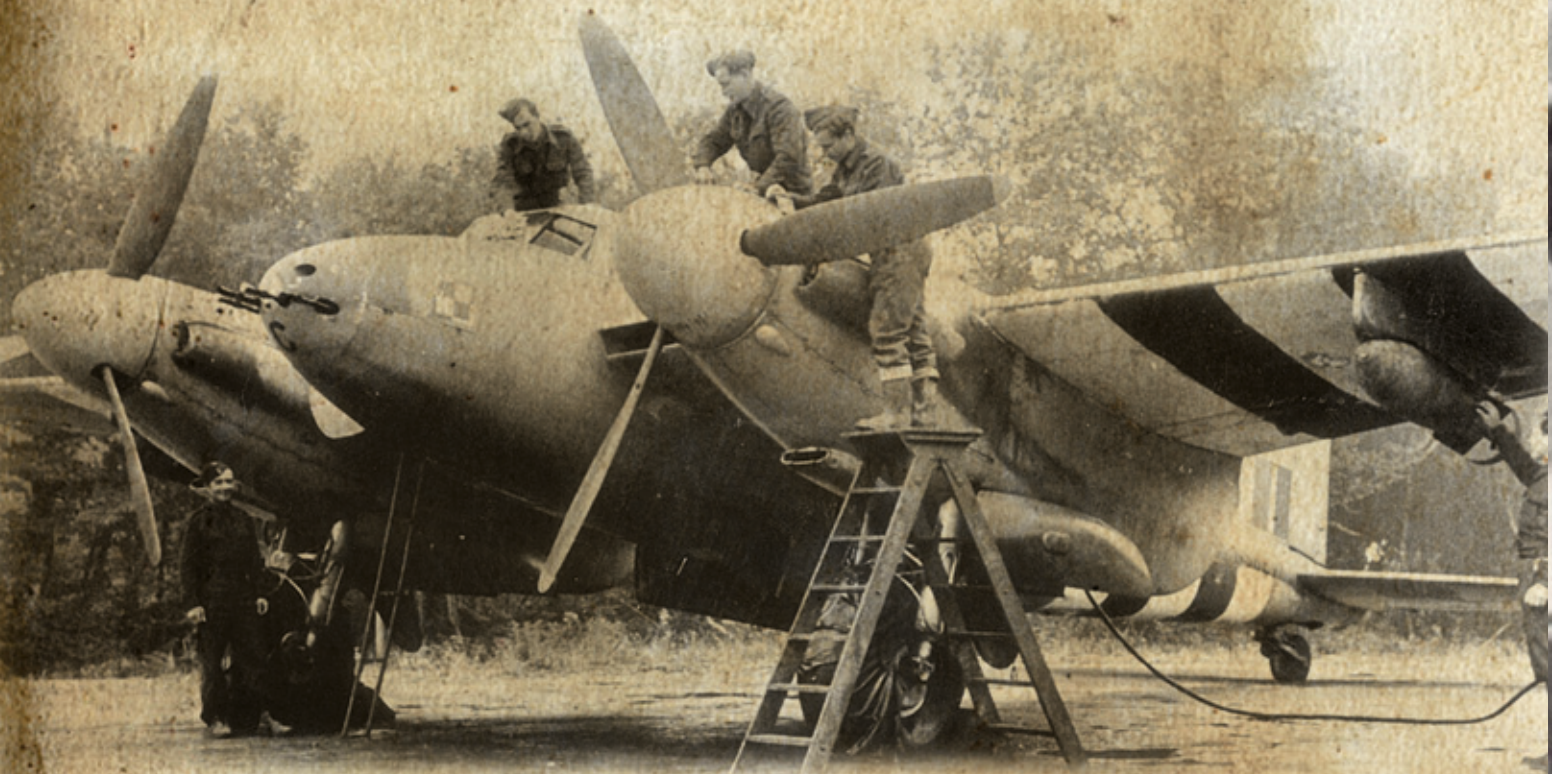
PODNEBNI BOHATEROWIE

— POLSKIE SIŁY POWIETRZNE NA ZACHODZIE —

70. ROCZNICA LĄDOWANIA ALIANTÓW W NORMANDII 6 VI 1944 - 6 VI 2014

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA INSTYTUT LOTNICTWA W WARSZAWIE 6 CZERWCA 2014

**WYSTAWA FOTOGRAFII
30 MAJA - 29 CZERWCA 2014
OGRÓD BOTANICZNY UW, AL. UJAZDOWSKIE 4
WERNISZAŻ: 30 MAJA, GODZ. 17:00**



THE HEROES OF THE SKIES

— POLISH AIR FORCE IN THE WEST —

THE 70TH ANNIVERSARY OF LANDING OF ALLIED FORCES IN NORMANDY 6 VI 1944 - 6 VI 2014

**INSTYTUT LOTNICTWA
AL. KRAKOWSKA 110/114
WARSZAWA**



WWW.ILOT.EDU.PL/DDAY